



HANNA
WINTER

GIŃ

KRYMINAL

fabryka słów

Hanna Winter

Giń

Tłumaczyła Urszula Płóciennik

*Złe rzeczy przytrafiają się zawsze komuś innemu.
(powiedzenie)*

PROLOG

Berlin. Chłodny kwietniowy poranek 2005 roku...

Czekanie zdawało mu się z minuty na minutę coraz bardziej nieznośne. Jego serce biło jak oszalałe z pożądania. Mimo to mężczyzna zmusił się, by zdławić w sobie żądzę, jaką odczuwał na samą myśl o nagim zniekształconym ciele, i skoncentrować się na tym, co miało zdarzyć się niebawem.

Opierał się o drzwi swojego samochodu campingowego, nerwowo zaciągając się papierosem i błędząc wzrokiem po zniszczonych fasadach okolicznych budynków.

Po raz kolejny przywołał w pamięci piątkowe popołudnie sprzed sześciu tygodni, kiedy to Franciszka Hoffmann przyjmowała jego zamówienie w barze szybkiej obsługi przy Alexanderplatz. Była typem dziewczyny, który można by określić mianem szarej myszki. Ale po tym jak ujrzał ją po raz pierwszy, mężczyzna ciągle wspominał jej twarz i słyszał szept: „Ona będzie tą właściwą. Ona będzie następna...”.

– Przepraszam? Czy chciałby pan coś zamówić? – zapytała ponownie.

Nieprzytomnym wzrokiem przesunął po tabliczce

z nazwiskiem na piersi kelnerki, nie zważając na wydłużającą się kolejkę.

Wspominając to zdarzenie, często zastanawiał się, czyjej głos był podobny do tamtego z przeszłości, czy tylko tak mu się zdawało...

Od owego dnia podążał za Franciszką Hoffmann krok w krok. Zaczął studiować jej plan dnia, zainteresowania i nawyki. Podglądał w siłowni. Wiedział, gdzie kobieta mieszka i jakich ma przyjaciół. Kradł jej pocztę ze skrzynki na listy i przeszukiwał jej śmieci. Wiedział, jakie czasopisma czytuje i skąd zamawia pizzę. Wiedział, jakich perfum używa, jakie jedzenie kupuje dla psa, jakie stosuje maszynki do golenia i wkładki higieniczne. Znał nawet jej ulubioną markę prezerwatyw. I wiedział też, że dokładnie tego dnia kwadrans po drugiej, skończywszy poranną zmianę w szpitalu Virchow, Franciszka Hoffmann znajdzie się właśnie tutaj. Jak zwykle wyprowadzała swojego pinchera na spacer przed stawieniem się na drugi etat w barze szybkiej obsługi.

Opuszczony parking, gdzie w cieniu kontenera na gruz mężczyzna zaparkował busa, znajdował się w pobliżu mieszkania kobiety.

I na trasie jej spaceru z psem.

Mężczyzna spojrzął na zegarek i zaczerpnął głęboko powietrza. Z zamyślenia wyrwało go ujadanie psa i zaraz zza rogu wyłoniła się Franciszka Hoffmann. Mężczyzna

butem zagasił niedopałek, naciągnął czapkę z daszkiem głęboko na oczy i zaczął majstrować przy bagażniku rowerowym samochod.

Kątem oka zauważył jasnoblękitną sukienkę, w której już raz ją widział i która tak ładnie podkreślała figurę. Kasztanowe włosy Franciszki powiewały na wietrze. Jeszcze tylko kilka metrów, zanim młoda kobieta dotrze do parkingu.

Czas rozpocząć zabawę.

Mężczyzna zaczął udawać ciężki napad kaszlu. Od-dychał głęboko, aż krew uderzyła mu do głowy i żyły na szyi nabrzmiały. Rzęzenie zamieniło się w charkot. Ramieniem oparł się o ścianę wozu, drugą dłoń wsunął do kieszonki z przodu kamizelki i zacisnął na rękojeści noża.

– O Boże, moje serce! Moje serce! – wychrypiał, chwytając się kurczowo za pierś.

Kiedy tylko młoda kobieta zwróciła na niego uwagę, natychmiast pospieszyła mu z pomocą. Dlaczego miałyby tego nie zrobić? Zareagowała, jak przystało na pielęgniarkę. Do tego był przecież środek dnia, a parking znajdował się zaledwie sto pięćdziesiąt metrów od jej mieszkania. A co najważniejsze – stawką było ludzkie życie.

Stawką było ludzkie życie!

Skąd mogła wiedzieć, że chodziło o jej własne?

– Na Boga, czy wszystko w porządku?

Pinczer ujadał.

– Czy mam zadzwonić po karetkę?

Zamiast odpowiedzi mężczyzna sapnął przeraźliwie i zdając się tracić równowagę, zatoczył się niebezpiecznie na Franciszkę Hoffmann. Ta sięgała już po telefon, by wbić numer pogotowia. Symulując kolejny dramatyczny zawał, mężczyzna zatoczył się i w ostatniej chwili wytrącił jej telefon z ręki. Gdyby istniała nagroda za najlepiej zagrany atak serca, on z pewnością by ją dostał.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Udając, że walczy o życie, objął smukłą talię kobiety lewą ręką, jakby chciał się wesprzeć. Prawą dźgnął błyskawicznie. Jeden raz. Drugi. Prosto w brzuch.

Franciszka Hoffmann zapadła się w sobie.

Dla kogoś, kto obserwowałby zdarzenie z daleka, musiało to wyglądać, jakby młoda kobieta ugięła się pod ciężarem mężczyzny. I zanim się spostrzegła, zaciągnął ją do busa.

* * *

Później skulona i obolała leżała z rękami i nogami związanymi grubym sznurem na łóżku obciągniętym jasną plandeką samochodową. Znajdowało się ono w tylnej, zaciemnionej części busa, gdzie pośród licznych butelek

z chemikaliami walały się kostki do wc, ostry, gryzący aromat cytryny miał maskować zapach strachu i zakrzepłej krwi.

Mężczyzna opadł na łóżko obok młodej kobiety.

– Nie, proszę, zostaw mnie! – błagała pielęgniarka głosem tak drżącym, że ledwo można było rozróżnić słowa.

Przez zaklejone okna prześwitywały słabo promienie światła, ale to wystarczyło, by mężczyzna mógł się przyjrzeć swojej najnowszej zdobyczy. Wciąż była zbyt przerażona, żeby odczuwać ból.

To miało się jednak wkrótce zmienić...

Mężczyzna brutalnie zepchnął z posłania psa, który wskoczył za właścicielką na tył samochodu. Teraz zwierzę, skowycząc, wyleciało na zewnątrz.

Mężczyzna zamknął drzwi. Franciszka Hoffmann leżała na plecach w bezruchu. Oddychała nierówno. Materiał jej błękitnej sukienki nasiąkał powoli krwią, zmieniając kolor wokół ran na brunatny, a potem prawie czarny. Krew ściekała równymi strużkami po płachcie posłania.

Boże, jak on kochał ten moment. To uczucie nieskończonej władzy, jaką posiadał nad jej marnym życiem. Miał szczerą nadzieję, że nie uszkodził żadnej żyły – nie chciał, by śliczna panienska Hoffmann umarła, nim zdąży się nią nacieszyć.

– Proszę! Nie mam przy sobie żadnych pieniędzy! –

wychrypiała, lecz mężczyzna zaśmiał się jedynie, kręcąc głową. Dlaczego wszystkie zawsze myślały, że chodzi mu o pieniądze?

– Ciiiiiii... Spokojnie – szepnął jej do ucha.

Wsunął dłoń we włosy młodej kobiety i owinąwszy je sobie wokół pięści, przyłożył ostrze noża do jej drobnej krtani. Przycisnął lekko, aby zimna stal nie przecięła delikatnej skóry.

– Piśniesz i jesteś martwa, zrozumiano?

Przytaknęła niepewnie.

– Jak zrobisz, co ci każę, nic ci się nie stanie...

Z jakiegoś powodu wszystkie w to wierzyły, co znacznie ułatwiało sprawę.

Ponownie przytaknęła.

– Tak dobrze... moja mała, śliczna Franciszko – powiedział cicho, prawie szeptem, zaciągając się zapachem jej świeżo umytych włosów. Czuł, jak wzrasta mu ciśnienie, gdy ostrze noża powoli poruszało się po szyi kobiety, wzdłuż jej dekoltu.

Nieme łzy spływały po policzkach Franciszki Hoffmann, zaciskała powieki tak mocno, że zniekształcało to jej twarz. Drżała na całym ciele, kiedy mężczyzna przeciągał nóż po jej płaskim brzuchu... pod spódnicę. Kobieta wzdrygała się, kiedy rozcinał jej czarne nylonowe pończochy oraz cienki materiał majtek.

– Pieprzyłaś się kiedyś z nożem?

Spojrzał w jej wytrzeszczone oczy.

– Nie! BŁAGAM! Błagam, nie! – wrzasnęła. – Błagam, zostaw mnie, obiecuję, że nikomu nie powiem!

Na wargach mężczyzny wykwitł drwiący uśmieszek.

– Co ty nie powiesz...

Kochał tę wspaniałą grę ze strachem i mógłby się w nią bawić jeszcze długo, ale był najwyższy czas na ucieczkę. Nie chciał ryzykować. I tak pozostawał na tym parkingu zbyt długo. Dlatego należało działać rozsądnie. Rozpoczęcie procedury musi jeszcze poczekać.

Odłożył nóż i na wszelki wypadek zakleił pielęgniarce usta szerokim kawałkiem taśmy. Wiedział bowiem, że Franciszka Hoffmann i tak nie będzie wołać o pomoc. Tak jak większość, i ona wierzyła, że ujdzie z życiem, jeśli tylko będzie grzecznie wykonywać rozkazy.

Następnie zmienił zachlapanie krwią ubranie na świeży T-shirt i czyste dżinsy i usiadł za kierownicą w odgradzonej zasłonką kabinie kierowcy. Z zadowolonym wyrazem twarzy troskliwego ojca rodziny wjechał na ulicę, zmierzając do miejsca, w którym mógłby w ciągu nadchodzących dni zająć się Franciszką Hoffmann, nim zaprezentuje ją publiczności.

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Piątkowy wieczór, 3 czerwca...

Mały lokal na końcu Mulackstrasse pękał w szwach. Posiadanie własnej kawiarni zawsze było marzeniem Lary.

Po rozstaniu z Rafałem kafejka miała nadać życiu kobiety nowy sens. Postawić ją przed nowymi wyzwaniami.

Przyjęcie z okazji otwarcia było pomysłem Torbena, lekarza sądowego w klinice berlińskiej, a zarazem najlepszego przyjaciela Lary. Jej lepszej połowy, jak lubili mawiać w żartach, i jedynej osoby, której po śmierci rodziców mogła się zwierzać.

Lara zastanawiała się, czy zaprosił też Rafała i czy ten w ogóle się pojawi. Słuchała nowinek o postępującej odnowie miasta. Mówiła: „Witam, miło, że przyszliście” do gości, którzy dopiero się pojawiali, „Naprawdę? To bardzo interesujące” – odpowiadała tym, którzy byli już na miejscu, oraz: „Dziękuję za wizytę” do tych, którzy się zegnali.

Mimo woli zerkała ciągle na drzwi, jakby częste spoglądanie w ich stronę miało sprawić, że Rafał przyjdzie.

I rzeczywiście, przyszedł. Późno, ale przyszedł. Na dodatek zjawiał się sam, co Lara przyjęła z wyraźną ulgą.

Prędko odwróciła się od drzwi, udając, że nie zauwa-

żyła jego przybycia.

– Cześć, Lara, pięknie wyglądasz – powitał ją zaraz potem. W dzinsach i cienkiej skórzanej kurtce wyglądał doskonale.

Lara to właśnie chciała od niego usłyszeć. A kiedy tak się stało, zapragnęła tylko zmienić tę cholernie ciasną sukienkę, w której tak lubił ją oglądać, na porozciągany T-shirt i wygodne spodnie. Nawet po tylu latach wciąż chciała Rafałowi zaimponować.

– Proszę, proszę, jednak dotarłeś – udała zdziwienie.

– Wszystkiego najlepszego dla ciebie i kawiarni. – Wręczył jej bukiet kwiatów.

Chryzantemy. Wciąż pamiętał. Kiedy jeszcze byli parą, na początku przynosił jej bukiet chryzantem w każdy piątek; później zaledwie co drugi lub trzeci, aż w końcu w ogóle przestał.

– Dziękuję. – Lara powąchała kwiaty. – Napijesz się szampana?

– Tylko po to przyszedłem. – Rafał z uśmiechem puścił oczko do przystojnego kelnera, który spojrzał znużony zza baru. – Nad obsługą musisz jeszcze popracować, chyba nie chcesz, żeby twoi goście uschli z pragnienia? – dociął jej. – Pozwól, że przyniosę nam obojgu.

I zniknął w tłumie, nim Lara zdążyła odpowiedzieć.

– Wszystko w porządku?

Pytanie zadał Torben Landsberg.

– Jasne – westchnęła.

– Ha–ha, nie daj się wciągnąć znowu w te stare gierki, w końcu dzisiaj jest twój wielki wieczór. – Torben podążył wzrokiem za Rafałem. – Rozejrzyj się, ludzie świetnie się bawią i ty też powinnaś!

Lara zmusiła się do uśmiechu.

– Przynajmniej miał tyle przyzwoitości, żeby przyjść samemu, bez tej... tej...

– E tam, ona to już historia – parsknął Torben, który tak samo jak Lara wykazał się słabym doborem partnerów.

Po rozwodzie z Rafałem tylko Torben był dla niej oparciem, silnym ramieniem, na którym mogła się wyplakać.

– A propos zabawy... – Uśmiechnął się i spojrzał uradowany w kierunku baru. – Kim jest ten przystojniak w fartuszkach?

– Ach, to tylko Daniel. – Trochę ją przerażało, że mężczyzna wciąż się na nią gapił. – Mój pomocnik.

Torben uśmiechnął się lekko.

– Ach tak. Jemu dałbym się chętnie kiedyś obsłużyć...

Lara powstrzymała uśmiech.

– Uważaj, na nim sparzysz sobie paluszki. Daniel jest w stu procentach hetero.

– Jaka szkoda... Znacie się od dawna?

– Nie – skłamała. Dobrzy przyjaciele opowiadają sobie co prawda wiele, ale nie wszystko.

– Ale chyba nie zatrudniłaś go tylko po to, żeby Rafał był zazdrosny?

– Nie, nie, Daniel ubiegał się o tę pracę zaledwie kilka dni temu. I jakoś...

– I jakoś tak pomyślałaś, że możesz upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Czy naprawdę tak łatwo mnie przejrzeć? – zaśmiała się Lara, zerknąwszy ponownie w stronę Rafała. Zdążył już poderwać małą blondynkę, która mogłaby być jego córką.

Pewnie czekałabym w nieskończoność na tę obiecaną lampkę szampana.

Lara zastanawiała się, czy Rafał robił to specjalnie, żeby ją sprowokować, gdy Torben wyczarował zza pleców prezent owinięty w kolorowy papier.

– Taaa! To dla ciebie!

Zabrał od niej kwiaty i obserwował wykwitający na jej twarzy pełen oczekiwania uśmiech, gdy rozrywała kolorowy papier.

– Paralizator? – Zaśmiała się głośno, zauważywszy, że prezent Torbena przyciągnął wzrok gości stojących nieopodal. – Jeśli to ma być ostrzeżenie, że mam na ciebie

uważać...

– Na mnie? Musiałabyś być facetem... – zażartował, ale Lara nie odwzajemniła jego uśmiechu. – Myślałem, że przyda ci się jako świeżo upieczonej właścicielce kawiarni, nigdy nie wiadomo, jaki klient ci się trafi... A na dodatek jeszcze te straszne morderstwa ostatnimi czasy – mruknął pod nosem. – Najpierw zmasakrowane zwłoki tej prawniczki, potem stewardesa, a ostatnio młoda pielęgniarka... Na pewno czytałaś o tym w gazecie, ale uwierz mi, miałem te panie na stole sekcyjnym i widok był...

Lara spiorunowała go wzrokiem.

– Cały Berlin o tym słyszał, Torben. Poza tym wolałabym, żebyśmy nie rozmawiali o tym dzisiejszego wieczora.

Przygryzł usta.

– Ups, przepraszam, zapominam czasami, że to nie jest temat na imprezy.

Lara uścisnęła go, podziękowała i z uśmiechem szybko schowała podarunek do torebki, którą wsunęła za ladę. Goście naokoło powoli powracali do swoich rozmów.

– No cóż, wypijmy za coś – zaproponowała Lara i gestem przywołała Daniela. – Wypijmy za kawiarnię i za to, żebym nigdy nie musiała użyć twojego prezentu.

Daniel napełnił kieliszki. Wtedy właśnie spostrzegła mężczyznę, od którego wynajmowała lokal. Namierzył Larę w tłumie i ruszył w jej stronę. Twarz miał równie

czerwoną jak romby na swoim okropnym krawacie, tym samym, który nosił przy podpisywaniu umowy najmu. Lara prawie zapomniała, że jego również zaprosiła.

– Dobry wieczór, pani Simons.

– Panie Eberts, cieszę się, że mógł pan przyjść.

Lara uścisnęła wyciągniętą dłoń i już miała przedstawić Torbena, kiedy podszedł Daniel z tacą pełną kieliszków szampana.

– Lara, czy mógłbym zamienić z tobą słówko w kuchni?

– Ależ oczywiście – westchnęła. Mimo woli zerknęła nad ramieniem kelnera na Rafała z blondynką. Osiemnastka. No, może dziewiętnastka. – Przepraszam na chwilę. – Pozostawiła Torbena i Eberta samym sobie i podążyła za Danielem do kuchni.

– Och, Lara... – Rafał zaczepił ją, kiedy go mijiała, i z miną zbitego psa wręczył jej lampkę szampana.

– Nie, dziękuję. Możesz sobie zatrzymać swojego zwietrzałego szampana – odpowiedziała z irytacją i żeby mu przeszkodzić w podrywie, dodała jeszcze: – Aha, prawie bym zapomniała, czy mógłbyś w poniedziałek odebrać Emmę ze szkoły? Nie dam rady dopiąć wszystkich spraw związanych z kawiarnią.

Rafał uśmiechnął się z przymusem. Zastanowił się, po czym odparł:

– Co mam zrobić?

– Czy mógłbyś w poniedziałek odebrać naszą córkę ze szkoły? – powtórzyła głośno, jakby rozmawiała z osobą niedosłyszącą.

– Nie, nie, chodziło mi o magiczne słówko.

Nienawidziła go.

– Czy mógłbyś ją, PROSZE, odebrać ze szkoły.

Uśmiechnął się.

– No skoro mnie tak ładnie prosisz...

Lara uśmiechnęła się kwaśno i przelotnie spojrzała na blondynkę, która zarumieniwszy się lekko, stała między nimi.

– Może obie chodzą do tej samej szkoły, będziesz miał tylko jedną podwózkę.

Rafał wysunął podbródek i uśmiechał się głupawo. Ledwo Lara zatrzasnęła za sobą drzwi do kuchni i zdążyła się odwrócić, stanął przed nią Daniel.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, co tutaj robi twój były? – zapytał wzburzony.

– A co ci do tego? – warknęła. Wyjęła wazon z szafki i wstawiła do niego chryzantemy, które Torben wcześniej przyniósł do kuchni.

Daniel zbliżył się z uśmiechem.

– Chcesz koniecznie grać nieosiągalną, co?

Lara próbowała się wywinąć, lecz przyparł ją do drzwi. Usiłował ją pocałować, wpychając kobiecie rękę między nogi i ściskając pierś. Lara odtrąciła go gniewnie.

– Nie dotykaj mnie nigdy więcej!

– Wcześniej ci się przecież podobało...

Ktoś zapukał do drzwi.

– Lara?

Torben.

Lara piorunowała Daniela wzrokiem, dopóki się nie odsunął.

– Zaraz wracam! – krzyknęła przez drzwi.

Wygładziła sukienkę, nasłuchując oddalających się kroków Torbena.

– Wynoś się! – syknęła do Daniela. – I nie pokazuj się tu nigdy więcej.

Rzucił jej swój czarny fartuch pod nogi.

– Proszę, jak chcesz...

Z twarzą bez wyrazu zapalił papierosa, upuścił palącą się zapałkę na stos papierowych serwetek i ruszył do tylnego wyjścia. Serwetki natychmiast zajęły się ogniem.

– Odbiło ci?!

Lara błyskawicznie złapała wazon i wylała jego zawartość na płonące serwetki, nim ogień zdążył przeskoczyć na drewniane szafki i karton z ekspresem do kawy

stojący obok. Ledwie udało się zagasić płomienie. Wybiegła potem i w bladym świetle sączącym się z okien mieszkań ujrzała Daniela znikającego za bramą prowadzącą do głównej ulicy.

– Palant! – wrzasnęła, trzęsąc się ze złości.

Wbiegła do kuchni, zatrzasnęła drzwi i dysząc ciężko, oparła się o nie plecami.

Minęła dłuższa chwila, nim uspokoiła się na tyle, by wrócić na przyjęcie.

Na wszelki wypadek zamknęła tylne wyjście na oba zamki, zanim opuściła kuchnię.

Tej samej nocy...

Już od kilku godzin siedział w taksówce, bezpieczny pod osłoną nocy, niczym drapieżne zwierzę wypatrując ofiary za oknami kawiarni po drugiej stronie ulicy. Sam widok Lary Simons sprawiał, że mężczyźni przyspieszały puls. Od tygodni czuł znowu to pożądanie. Mroczne, a zarazem wyraźne jak otaczająca go czerwcową noc.

Boże, jak długo czekał na ten wieczór! Przeupocona koszulka kleiła mu się do pleców. Mężczyzna zapadł głębiej w fotel, penis stwardniał mu pod ciasnymi džinsami. Kciukiem przesuwiał po ostrzu noża, wyobrażając sobie, jak rozcina nim czarną sukienkę Lary. Będzie leżała przed

nim drżąca, ze związanymi rękoma i nogami. Będzie błagała o łaskę, jak wszystkie inne.

Po kilku dniach uwolni dziewczkę i zada jej zasłużony cios łaski, a w poniedziałek rano ludzie zastaną tylko zamknięte drzwi kawiarni. Rodzina i znajomi zaczną się powoli martwić o zaginioną bez siadu Larę Simons, myśląc, że może ją to wszystko przerosło.

Po obowiązkowych czterdziestu ośmiu godzinach policja również przyłączy się do poszukiwań. Na podstawie szczątkowych dowodów, które mężczyzna im rzuci, śledczy będą zakładać, że chodzi o napad. Podejrzenie, które miało się już za kilka dni potwierdzić, kiedy zmasakrowane ciało zostanie odnalezione w wybranym przez mężczyznę miasteczku.

Oczywiście wyobraźni widział już nagłówki w gazetach... gdy nagle otworzyły się drzwi do kawiarni.

Młody przystojniak opuścił przyjęcie w towarzystwie wystrojonej grubaski i oboje ruszyli w noc.

Dwoje mniej.

Peruka, którą mężczyzna założył pod baseballówkę, drapała tak, że prawie doprowadzała go do szału. Schował nóż w przedniej kieszeni bluzy z kapturem i zapalił papierosa. Chyba już jedenastego lub dwunastego. W wyobraźni po raz kolejny prześledził przebieg zdarzeń. Z rutyny wyrastała niedbałość, a ta prowadziła do błędu – nikt nie wiedział tego lepiej niż on.

Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę, by mógł sobie pozwolić na najdrobniejsze uchybienie. Zamknął oczy i zabębnił palcami w kierownicę. Nagle usłyszał stukanie w szybę. Kątem oka dostrzegł dwie sylwetki. Młodziak i grubaska. Błyskawicznie naciągnął czapkę głębiej na oczy i spokojnie palił papierosa. Dopiero po ponownym, silniejszym stukaniu zgasił peta o konsolę i odrobinę opuścił szybę.

– Przepraszam, czy jest pan wolny? – Młody oparł ramię o dach samochodu i pochylił się z olśniewającym bielusieńkim uśmiechem.

– Nie, nie jestem.

– Naprawdę? Ma pan zapalonego koguta z napisem „Taxi” i dlatego pomyślałem...

– Głuchy jesteś? Powiedziałem NIE! No! NIENIE!
A teraz zmykaj!

Młody wyprostował się gwałtownie, podnosząc dłonie do góry, jak gdyby ktoś trzymał go na muszce.

– Dobra, dobra!

Ujął grubaskę za rękę i pociągnął ją za sobą, przeklinając pod nosem.

Mądry wybór...

Gdy tylko ci dwoje zniknęli za następnym zakrętem, mężczyzna w taksówce spojrział ponownie w stronę „U Lary”. Garstka gości osuszała ostatnie kieliszki. *Niedługo*

oni też wyjdą, a wtedy dziwka zamknie lokal i pójdzie do domu. Zwilżył usta, a dłoń powędrowała mu do krocza.

Już niedługo.

Dwadzieścia pięć minut później...

Lara zgasiła światło, zamknęła lokal na klucz i wyszła na ulicę, gdy nagle za jej plecami pojawił się Torben.

– Skąd ty się tu nagle wzięłeś? – spytała zaskoczona.

Torben opuścił kawiarnię już jakiś czas temu. Lara wyszła z założenia, że przyjaciel znudził się harmidrem.

– Chciałem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, w środku było strasznie duszno. – Machnął ręką z zatroskaną miną. – Przecież powiedziałem, że po tej akcji z Danielem nie puszcze cię samej do domu.

Objął Larę ramieniem i zaczęli iść wzdłuż ulicy.

– Czy ten facet jeszcze się pojawił?

Potrząsnęła głową.

– Jeszcze TEGO by brakowało...

– Kto by pomyślał? – westchnął Torben. – Ten typ miał naprawdę nierówno pod sufitem. Nie boisz się go? On jest nieobliczalny. Jak chcesz, załatwię z moim prawnikiem, żeby...

– Daj spokój... – przerwała Lara, chcąc zmienić temat.

Torben zatrzymał się w słabym świetle latarni.

– Czyli jednak znasz go bliżej, co?

Lara podniosła wzrok poirytowana.

– No dobrze już – powiedział Torben szybko. – Nie musimy o tym rozmawiać, jak nie chcesz...

Ruszyli dalej wzdłuż ulicy w całkowitej ciszy.

– Nie przejmuj się, nikt nie zauważył tej wpadki w kuchni. A poza tym impreza z okazji otwarcia była całkowitym sukcesem – przełamał milczenie Torben. – I kawiarnia też będzie.

Lara uśmiechnęła się niepewnie.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Jasne, zobaczysz. Jak tylko w poniedziałek rano zaparzysz pierwszą kawę, klienci zaczną walić drzwiami i oknami.

– Mam nadzieję. Włożyłam w to wszystkie oszczędności, nie mówiąc o kredytach...

Torben uszczypnął ją w bok.

– Hej, gdzie się podziała moja dzielna wojowniczką? Przeważnie nie tak łatwo cię przygnębić...

– Zaparkowałam zaraz za rogiem – westchnęła Lara, próbując zmienić temat. – Miło z twojej strony, ale naprawdę nie musisz mnie odprowadzać do domu.

– Na pewno? – spytał Torben. – Może lepiej, żebym

jednak z tobą pojechał.

– Daj spokój, poradzę sobie – zapewniła Lara, wy-
ciągając kluczyki z torebki.

– No dobra, jak chcesz – poddał się w końcu.

– Podwieźć cię gdzieś?

Torben dotknął brzuszka rysującego się pod koszulką.

– Dzięki, ale chyba się przejdę. Trochę ruchu mi nie zaszkodzi.

Pocałował Larę w czoło na pożegnanie.

– Gdyby ten Daniel jednak się pojawił, to...

– To od razu do ciebie zadzwonię.

– Grzeczna dziewczynka – przytaknął z uśmiechem,
po czym ruszyli każde w swoją stronę. – Ach, Lara... –
zatrzymał ją jeszcze przyjaciel.

Przystanęła i spojrzała na niego pytająco.

– Obiecuj, że dzisiaj już nie będziesz myśleć o Rafale!

– Rafał? A kto to taki? – zażartowała i wsiadła do
swojego niebieskiego mini coopera.

Po rozstaniu Rafał zostawił jej samochód, głównie by
uspokoić sumienie. Jakby to mogło wynagrodzić zdradę.
Lara do dzisiaj nie wybaczyła mu skoku w bok, ale coopera
postanowiła zatrzymać, w końcu teraz to ona musiała wo-
zić Emmę do szkoły.

Włączyła silnik i wyprowadziła samochód z miejsca

parkingowego. Teraz gdy powoli schodziło z niej napięcie, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. *Szybki prysznic i prosto do łóżka* – pomyślała Lara, lecz nagle usłyszała trzask.

Samochód zaczęło znosić na prawo niezależnie od tego, w którą stronę obracała kierownicę.

– Cholera!

Lara zjechała na pobocze i wysiadła. Zostawiwszy otwarte drzwi, obeszła samochód i zakląła na widok przebitej przedniej opony. Rozejrzała się bezradnie, lecz w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby pomóc zmienić koło.

Gdy zastanawiała się, czy zadzwonić do Torbena, Rafała, czy pomocy drogowej, zza zakrętu wyłoniła się taksówka.

Szczyście w nieszczęściu.

Lara postanowiła odłożyć zmianę opony do rana i zatrzymała taksówkę. Wyjęła torebkę z samochodu, zamknęła go i wsiadła na przednie siedzenie taryfy, gdyż kanapę z tyłu zajmowały dwa dziecięce foteliki. Kobieta podała kierowcy swój adres i usadowiła się wygodnie na skórzanym fotelu. *Byle do domu.*

Stłumiła ziewanie, obserwując znaki drogowe i światła migające za oknem.

– Niech pan pojedzie drogą dla niepełnosprawnych, będzie szybciej – poprosiła, zauważywszy, że jadą okrężną trasą.

Barczysty kierowca w czapce z daszkiem i bluzie z kapturem nic nie odpowiedział.

– Najlepiej, jak pan zawróci tam z przodu – poinstruowała go Lara.

Lecz mężczyzna nie zdradzał chęci, aby posłuchać.

Milczał i jechał ciągle przed siebie.

Lara spięła się, lecz zmusiła do zachowania zimnej krwi.

– Słyszał pan, co powiedziałam? Jedziemy złą trasą!

Może kierowca po prostu nie rozumiał po niemiecku albo nie lubił pouczenia przez przemądrzałych pasażerów.

Lecz gdy zauważyła, że mężczyzna nosi skórzane rękawiczki w środku lata i nie włączył nawet licznika, obleciał ją zimny strach.

– Niech pan się natychmiast zatrzyma! Chcę wysiąść!
– wrzasnęła i zwinnie odpięła pasy. Zmęczenie ustąpiło i nagle dotarło do niej, że foteliki na tylnym siedzeniu też nie znalazły się tam przypadkiem. Taksówkarz chciał, żeby Lara usiadła z przodu. Obok niego.

Muszę się stąd wydostać! Natychmiast!

W panice zaczęła szarpać za drzwi. *Cholera, zamknięte.*

– Kazałam ci się ZATRZYMAĆ!

Nawet na nią nie spojrział. Nie powiedział ani słowa. Nie wykonał żadnego gestu. Nic.

Nagle skręcił w nierówną szosę prowadzącą na teren starej stoczni. Całkowita izolacja. Nie było tam nawet latarni ulicznych. Tylko ciemność.

Serce Lary zaczęło walić jak szalone. Tu, na odludziu, nikt nie usłyszy jej krzyków. Nikt nie przyjdzie z pomocą. Wnętrze taksówki nagle wydało się kobiecie ciasne i przytłaczające. W dłoniach ścisnęła torebkę, myśląc o zmasakrowanych ciałach kobiet, o których opowiadał jej Torben. Torben! Paralizator!

– Co... Czego pan ode mnie chce? – gdy tylko wypowiedziała te słowa, mężczyzna zwolnił. Sięgnął do schowka na drzwiach i nagle Lara poczuła nóż przy gardle.

– Jeden pisk i... – szepnął mężczyzna z przejęciem – po tobie!

Ani drgnęła. Bała się nawet odetchnąć. Jechali teraz wolno, wdzierając się coraz głębiej w ciemność starego portu. I nagle samochód się zatrzymał. Zgasły przednie światła i zapadł mrok. W głowie Lary kłębiło się tysiące myśli, podczas gdy ręka zanurzała się coraz głębiej w otchłań torebki. *Teraz!* – krzyknęła kobieta w duchu i odchyliwszy się, wyciągnęła paralizator. Już miała przepuścić sto tysięcy woltów przez ciało napastnika, lecz mężczyzna wbił jej nóż w ramię. Lara krzyknęła z bólu, gdy ostrze przeszło przez miękką skórę. Ostatkiem sił udało jej się wbić mu paralizator w bok. W mroku rozbłysły iskry, a oprawca puścił broń i zwinął się konwulsyjnie.

Lara szarpała klamkę z całej siły, lecz wszystko na nic. Serce waliło jej jak szalone, gdy obejrzała się na skulonego mężczyznę. Nie była pewna, czy naprawdę stracił przytomność, lecz jedyna droga ucieczki z tej przeklętej taksówki prowadziła właśnie koło niego. *Cholera, gdzie jego nóż?* Lara panicznie rozglądała się po kabinie, lecz w samochodzie było zbyt ciemno, by cokolwiek dojrzeć. Zebrała się na odwagę i spróbowała przedostać przez jego kolana, w rękę wciąż ściskając paralizator. Adrenalina pulsowała jej w żyłach, gdy przepychała się po bezwładnych kończynach mężczyzny. Wstrzymywała oddech, dopóki nie dotarła do drzwi. Zapała się o nie z całej siły i po chwili była już na zewnątrz. Skręcając się z bólu i zaciskając palce na zakrwawionym ramieniu, zaczęła kuśtykać przez mrok. Trochę trwało, zanim zdołała odnaleźć szosę, którą przyjechali. Lara zmusiła się, by nie spoglądać za siebie, tylko stawiać kolejne kroki. Byle do przodu. Nagle jednak przystanęła.

Moja torebka!

Miała tam dokumenty z adresem i danymi osobowymi, klucze do mieszkania, telefon, wszystko! Krew spływała jej po ramieniu. Odwróciła się i spojrzała w stronę, skąd przyszła. Przez chwilę walczyła z instynktem, lecz zaraz zarzuciła myśl o powrocie i pokuśtykała dalej. Po kilkunastu minutach, które Larze zdawały się wiecznością, w oddali zamajaczyły światła stacji benzynowej. Tam nieprzytomna osunęła się na podłogę.

Sobota, 4 czerwca, południe...

Lara przeżyła noc koszmaru. Nadal jednak była wstrząśnięta do głębi, a świeża rana bolała przy najdrobniejszym nawet ruchu. Siedziała z Emmą przy śniadaniu ubrana w koszulkę i dżinsy, przeklinając się za to, że nie pozwoliła lekarzowi przepisać najsilniejszych leków przeciwbólowych.

Jak zwykle nakryła w salonie. Wciąż nie mogła znieść pustego miejsca przy stole kuchennym, gdzie zawsze siedział Rafał. Smarowała kromkę chleba masłem, przeglądając przy tym „Berliner Zeitung”. Z ulgą stwierdziła, że nigdzie nie pojawiła się wzmianka o wczorajszym napa-
dzie.

Tylko skandalu jej brakowało! Przecież dopiero co otworzyła kawiarnię. Popijając kawę, przyglądała się siedzącej koło okna Emmie, która wydłubywała rodzinke z płatków śniadaniowych. Lara zwykle nie pozwalała na oglądanie bajek z rana, ale dopóki telewizor był włączony, córka przynajmniej nie zadawała pytań na temat zaban-
dażowanego ramienia mamusi – co było kobiecie na rękę, gdyż bardzo nie lubiła kłamać własnemu dziecku. Odłożyła gazetę i przejrzała pocztę. Rachunki, zaproszenie na jakiś wernisaż, gazetki reklamowe i jeszcze więcej rachunków. Ale choć bardzo się starała zachowywać nor-

malnie, jak zawsze, wszystko budziło w niej STRACH! Uczucie, którego za żadne skarby świata Lara nie chciała do siebie dopuścić.

Obroniła się. Nie była OFIARĄ! Wmawiała to sobie raz po raz. Z zamyślenia wyrwał ją nagły dzwonek do drzwi. Lara zaniepokojona rozejrzała się po pokoju. Emma poderwała się, by jak zwykle być pierwsza u drzwi.

– Już dobrze, skarbie, siadaj z powrotem do stołu, dzisiaj mamusia otworzy. – Lara wstała. – Kto tam? – zapytała przez domofon.

Brak odpowiedzi.

– I lalo?

Ciągle nic.

– Mamo, kto tam? – niecierpliwiła się Emma stojąca u jej boku.

– Nikt, kochanie, pewnie tylko jakieś ulotki.

– Pani Simons? – zza drzwi dobiegł przytłumiony męski głos. – Czy jest pani w domu?

Lara zerknęła przez judasza. Na klatce schodowej stało dwoje ludzi, których nie znała. Uchyliła drzwi odrobinę, na tyle, na ile pozwalał łańcuch.

– Czy pani Lara Simons? – tym razem pytanie zadała kobieta w czarnym płaszczu. Na oko była trochę po czterdziestce, odrobinę starsza niż jej kolega.

– Jeśli tak, to co?

– Jestem nadkomisarz Sylwia Hausmann z wydziału zabójstw. – Skinieniem głowy wskazała na towarzysza ubranego w dobrze skrojoną marynarkę, dżinsy i tenisówki. – Mój kolega, Magnus Kern. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. Czy możemy wejść?

Lara kazała pokazać odznakę, tak jak widziała to często w filmach. Nie żeby wiedziała, jak powinna wyglądać prawdziwa odznaka. Poza tym Torben jej kiedyś tłumaczył, że każdy może kupić sobie podobną plastikową plakietkę za parę euro w Internecie.

Przez chwilę rozważała, czyby do niego nie zadzwonić, ale w końcu stwierdziła, że to zbyt dziecinne.

Zamknęła drzwi, odhaczyła łańcuch i wpuściła policjantów.

Sylwia Hausmann weszła jako pierwsza i obrzuciła uważnym spojrzeniem mieszkanie na poddaszu. Kilka porozrzucanych zabawek nie psuło tu porządku.

– Jak się pani czuje? – komisarz poczuła się w obowiązku zapytać, gdy spojrzała na zabandażowane ramię gospodyni.

Lara westchnęła z wymuszonym uśmiechem.

– Dobrze to trochę za dużo powiedziane...

– Mama się wczoraj przewróciła i ma taką wielką ranę! – wyjaśniła Emma, rozrzucając przy tym rączki.'

Lara zamknęła drzwi i pogłaskała Emmę po głowie.

– Kochanie, bądź grzeczną dziewczynką i pobaw się, proszę, trochę w swoim pokoju, dobrze?

Mała wiedziała, że było to polecenie, a nie prośba. Lekko nadąsana podniosła lalkę z podłogi i poszła do siebie. Lara zaprowadziła policjantów długim korytarzem do salonu pełnego krzywizn i krokwi.

– No to proszę usiąść. – Wskazała kanapę pod oknem i wyłączyła telewizor. – Czy mogę państwu coś zaproponować? Kawę, herbatę? – zapytała raczej z poczucia obowiązku niż autentycznej gościnności.

– Nie, proszę się nie kłopotać – odpowiedział Magnus Kern, spoglądając na nakryty stół.

Jasnowłosy policjant z lekko odstającymi uszami należał do tego typu mężczyzn, którzy dopiero z wiekiem zyskują na atrakcyjności.

– Według zeznania zaraz po ataku uciekła pani i dotarła do pobliskiej stacji benzynowej. Tam straciła pani przytomność i przebudziła się dopiero w szpitalu, zgadza się? – mężczyzna rozpoczął przesłuchanie bez żadnego wstępu, po czym usiadł na kanapie obok towarzyszki.

Lara opadła na fotel i złożyła ręce.

– Tak w skrócie.

– Proszę wybaczyć bezpośredniość. – Kern wsparł łokcie na kolanach. – Ale jak to możliwe, że całą drogę od pani kawiarni aż do portu siedziała pani koło tego mężczyzny, ale nie może nam nic konkretnego o nim powie-

dzieć?

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Jak powiedziałam wczoraj pańskim kolegom z policji, było ciemno. Poza tym miał na głowie czapkę z daszkiem i włosy zasłaniające twarz. – Gestem zobrazowała opis. – Znaczy miał loki.

– Loki? – wtrąciła Sylwia Hausmann, wyciągając notes z kieszeni.

– Tak, tak do uszu... chyba ciemnobrązowe, ale nie jestem stuprocentowo pewna. I zdaje mi się, że był raczej dobrze zbudowany.

Hausmann zanotowała coś w notesie i spojrzała ponownie na Larę.

– Wróćmy na chwilę do czapki. Czy może ją pani opisać dokładniej?

Lara uniosła podbródek i zmrużyła oczy.

– Granatowa z czerwonym napisem albo odwrotnie. Nie jestem pewna, ale zdaje się, że była to baseballówka drużyny Red Sox. Jak mówiłam, było ciemno. – Odechnęła głęboko. – Poza tym miałam za sobą długi wieczór i byłam strasznie zmęczona.

– Red Sox – powtórzyła Hausmann, spoglądając na Larę z uśmiechem zdziwienia. – Jest pani fanką baseballu?

Lara potrząsnęła głową.

– Niespecjalnie, ale trochę się na tym znam. Mój mąż,

mój były mąż – poprawiła się – studiował w Bostonie, zanim podjął pracę jako grafik w Berlinie. Jeszcze długo potem oglądał mecze Red Soxów.

Magnus Kern odchrząknął.

– Czy zauważyła pani ostatnio coś niezwykłego, ktoś panią śledził, były jakieś inne wypadki?

Lara przymknęła oczy, by lepiej się skoncentrować.

– Nie wydaje mi się.

– A co z pani kelnerem, Danielem Rodriguezem? – Kern zrobił krótką przerwę między imieniem i nazwiskiem. – Zeznała pani, że tamtego dnia podczas przyjęcia w kawiarni doszło do incydentu. O co chodziło?

– To było tylko nieporozumienie. – Uśmiechnęła się nieporadnie. – Nie wydaje mi się, żeby Daniel był tym taksówkarzem, jeśli do tego pan zmierza.

Kern przypatrywał się jej twarzy.

– Ale przed chwilą zeznała pani, że nie widziała twarzy sprawcy.

Lara zamrugła poirytowana.

– Daniel nie ma loków, poza tym jest o wiele szczuplejszy.

– Chcieliśmy złożyć mu dzisiaj wizytę, ale ptaszek już wyleciał z gniazda. Zwinął cały dobytek i zmył się na swoim motorze – wtrąciła się Sylwia Hausmann. – Według zeznania sąsiadki bardzo mu się śpieszyło. Czy wie pani,

dokąd mógł się udać?

Lara zaprzeczyła. Nawet nie chciała wiedzieć. Jeśli miała być szczerą, to epizod z Danielem był raczej aktem desperacji – zakończonym raz na zawsze.

– Facet miał niezłą kartotekę – dodał Magnus. – Od kradzieży samochodu i uszkodzenia ciała aż po wielokrotne podpalenia.

Lara podniosła wzrok zaskoczona tym, co usłyszała, lecz nic nie powiedziała.

Policjant w zamyśleniu skubał się za ucho.

– Jaki był pani stosunek do pana Rodrigueza?

– Zatrudniłam go jako kelnera. – Lara wzdrygnęła się i powstrzymała przed przewróceniem oczami. – No dobrze, spędziliśmy razem dwie albo i trzy noce.

– Przed czy po rozwodzie?

– Czy to ważne?

Kern odchrząknął.

– Nie, właściwie nie, ale...

– Po rozwodzie – ucięła Lara. Nagle bardzo chciała to wyjaśnić. – To nie było, jak by to powiedzieć, nic poważnego... – dodała z obojętnym gestem.

– Czy jest pani pewna, że Rodriguez też tak to odbierał? – zapytała Hausmann.

Lara wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, w tej chwili niczego już nie jestem pewna...

Magnus Kern przytaknął w zamyśleniu.

– Gdyby Rodriguez chciał panią uprowadzić, mógłby to zrobić już dawno temu, miał wiele okazji – westchnął i skrzyżował ręce na piersi. – Proszę nas poinformować, gdyby się jednak jeszcze u pani pojawił.

– Oczywiście.

– Czy przypomniało się pani jeszcze coś odnośnie wczorajszej nocy? – dopytywała Sylwia Hausmann. – Niech się pani dobrze zastanowi, każdy, nawet najmniejszy szczegół jest ważny.

– Nie – westchnęła Lara. – Nic mi nie przychodzi do głowy.

Wyprostowała obolałe plecy.

– Proszę państwa, jestem co najmniej tak samo zainteresowana złapaniem tego typu jak państwo. Ale opowiedziałam już wszystko dokładnie...

– Pani Simons – przerwał jej Magnus Kern stanowczo – pani chyba nie zdaje sobie sprawy, jakie miała szczęście.

– Wiem – powiedziała ze skrucą. – Gdyby jego nóż trafił mnie chociaż odrobinę wyżej...

Mimowolnie dotknęła dłonią szyi. Potem, potrząsając głową, wstała i podeszła do drzwi pokoju dziecięcego, by upewnić się, że wciąż są zamknięte. Wróciła z rękoma

głęboko w kieszeniach dzinsów i uśmiechając się nerwowo, dodała:

– Gdyby mi się coś jeszcze przypomniało, na pewno zgłoszę się do państwa.

Funkcjonariusze popatrzeni na nią zatroskani, lecz nie zaczęli zbierać się do wyjścia. Komisarz spojrzała surowo, zmuszając Larę do ponownego zajęcia miejsca.

– Pani Simons, przesłaliśmy wyniki pani obdukcji do zakładu medycyny sądowej. – Zrobiła celową pauzę, by nadać kolejnym słowom więcej wagi. – Ze zdjęć rentgenowskich wynika, że ranę na ramieniu zadano pani nożem rzeźnickim. – Wzięła głęboki wdech. – Nie mamy wątpliwości, że jest to ten sam nóż, którego używano w przypadku pozostałych ofiar.

Lara spojrzała na nią badawczo.

– Pozostałych ofiar? – Minęła chwila, nim dotarły do niej słowa funkcjonariuszki. – To znaczy, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą – wyjaśniła Hausmann po krótkim wahaniu.

Lara poczuła ucisk w krtani.

– O czym pani mówi, do cholery?

– O tym, że wczorajszej nocy spotkała pani najgroźniejszego seryjnego mordercę w Niemczech! – Hausmann pochyliła się, jakby chciała spojrzeć z bliska w oczy Lary. – Pani Simons, jest pani jedyną osobą, która przeżyła takie spotkanie, i obawiamy się, że on tak łatwo nie odpuści.

Lara wtuliła się głębiej w fotel. Poruszyła ustami, lecz nie mogła dobyć z siebie głosu. *Seryjny morderca? Święty Boże, w co ja się wpakowałam!*

Niewyraźne obrazy mężczyzny w taksówce przemknęły jej przed oczami. Wspomniała nóż przyłożony do jej szyi. Pomasowała skroń i na kilka sekund zamknęła oczy, jakby w nadziei, że gdy je otworzy, policjanci rozplyną się jak we mgle. A razem z nimi złe wieści. Lecz Hausmann i Kern siedzieli niewzruszeni na kanapie. Komisarz podeszła do okna i wyjrzała, wyjaśniając, że pierwsze ofiary znaleziono już dwadzieścia lat temu.

– Wtedy pozostawił swój krwawy ślad rozrzucony po całych Niemczech. prostytutki, studentki lub kobiety, które po prostu znalazły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Zawsze używał tego samego noża rzeźnickiego, zawsze po kilku dniach niekończących się tortur zabijał swoje ofiary. Z początku wydawało się, że działa bez planu, wybierając kobiety z różnych, niepowiązanych ze sobą środowisk – tłumaczyła Hausmann. – Lecz z każdą kolejną pozostawiał coraz więcej śladów wskazujących na konkretny schemat. Ale o tym opowiem później... – Z kieszeni płaszcza wyjęła kopertę ze zdjęciami.

Były to zwykłe zdjęcia portretowe, jakie można zobaczyć na biurkach w pracy. Na jednym widać było prawniczkę Patrycję Braun, na innym stewardesę Ryszardę Scholl czy też zamordowaną w kwietniu pielęgniarkę

Franciszkę Hoffmann.

– Czy któraś z tych kobiet wygląda znajomo?

Lara spróbowała złapać oddech.

– Wszystkie nie żyją, prawda? Czytałam o nich w gazecie. – Widok kobiet uśmiechających się niewinnie do obiektywu sprawił, że poczuła ciężar w sercu.

– Wszystkie ofiary miały około trzydziestki, drobną budowę, maksymalnie metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i półdługie kasztanowe włosy – wyrecytowała Hausmann, nie spuszczać z niej wzroku.

– Dokładnie tak jak ja... – wychrypiała Lara cicho.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

Hausmann wymieniła krótkie spojrzenie z Kernem, nim zaczęła ponownie mówić.

– Przez jakiś czas sprawa Wypruwacza, jak go kiedyś nazwaliśmy, przycichła. Mijały tygodnie, a potem miesiące bez nowych ofiar i powoli temat spadał na coraz dalsze strony gazet, aż w końcu nie był wart żadnej wzmianki. – Zaczepnęła głęboko powietrza. – W głębi duszy każdy z nas miał nadzieję, że nasz oprawca po tylu latach mordowania wreszcie przeszedł na emeryturę albo znalazł sobie inne, mniej śmiertelne hobby. – Z ciężkim westchnieniem spojrzała na zdjęcia. – Niestety, nadzieja okazała się fatalnym błędem.

Lara patrzyła w przestrzeń z poczuciem, że zapada się

coraz głębiej w oparciu fotela. Myślała o sześciolatek Emmie, o kawiarni, o swoim nowym życiu. *Wszystko jest zagrożone...*

– Wychodzimy z założenia, że sprawca obserwował panią już od jakiegoś czasu i znał adres, jeszcze nim wsiadła pani do taksówki – Magnus Kern kontynuował wywód komisarz Hausmann. – Ci chłopcy... – podszedł do okna i ruchem brody wskazał szare BMW stojące po drugiej stronie ulicy – przypilnują wejścia do pani bloku.

Lara przytaknęła zrezygnowana.

Spostrzegła, że Kern dyskretnie daje swojej towarzysze znak, że czas wychodzić. Lara odprowadziła ich niepewnie do wyjścia.

– Jeśli jednak coś by się pani przypomniało... – powiedziała komisarz, wręczając Larze wizytówkę.

Lara przytaknęła po raz kolejny, po czym powoli zamknęła drzwi. Trzymając klamkę, czekała, aż funkcjonariusze znikną na klatce schodowej, jakby liczyła, że wraz z ich odejściem koszmar zniknie. Nic z tego. Ten koszmar był jej życiem i okazał się równie realny jak wizytówka, którą ścisnęła w dłoni.

Po wyjściu policji z pokoju wybiegła Emma i objęła matkę za nogę.

– Czy teraz możemy znowu pooglądać telewizję?

– Tak, tak zrobimy. – Larę zaskoczyło własne opamiętanie.

Emma przechyliła głowę i spojrzała na nią wielkimi oczami.

– Mamo, czy ty płakałaś?

– Nie, nie martw się, skarbie, wszystko w porządku. – Lara kucnęła, ucałowała córkę w czoło i przytuliła ją mocno. – Nie pozwolę, żeby coś nam się stało.

Poniedziałek, 6 czerwca...

Lara wysiadła z tramwaju przy rynku Hackeschen. Minęła dziewiąta. Był piękny, słoneczny dzień. Dobry omen, a mimo to wciąż oglądała się niepewnie za siebie.

Kim był ten typ w tramwaju? Czy ją obserwował wcześniej z zaparkowanego samochodu? A może wmieszwał się w jedną z grup turystów?

Ciągle wracało do niej wspomnienie koszmaru. Szła wzdłuż Rosenthalerstrasse w nadziei, że te napady paranoi niebawem ustąpią i w końcu będzie mogła wrócić do normalnego życia.

Dla bezpieczeństwa zostawiła Emmę u Rafała, lecz już teraz tęskniła za córką. Lara nie skorzystała z oferty byłego męża i nie zgodziła się nocować na kanapie, głównie dlatego, że Rafał mieszkał z nową – jak on to nazywał –

„partnerką na kolejny etap życia”. Zamiast tego spędziła cały weekend, instalując w mieszkaniu system alarmowy. Kolejny będzie montować jutro w kawiarni.

Wyjęła z kieszeni klucze do lokalu i skręciła w Mulackstrasse, nie zwróciwszy uwagi na ciemnoniebieski samochód stojący na rogu ulicy. Właściwie lekarz zakazał jej wszelkiego wysiłku fizycznego, lecz Lara wy-czekiwała tego dnia jak dziecko Bożego Narodzenia i za nic w świecie nie zrezygnowałaby z przyjemności otwarcia kawiarni osobiście. Chciała zostać, dopóki nowa kelnerka, którą udało jej się znaleźć dzięki studenckiej agencji pracy, nie zaznajomi się przynajmniej z najważniejszymi procedurami. Daniel wyrządził już wystarczająco szkód i Lara nie chciała ryzykować, że nieprzyuczona pracownica zepsuje drogi ekspres do kawy. Minęła salon fryzjerski, przed którym dwie młode matki ze srebrnymi foliami we włosach karmiły dzieci piersią. Kilku robotników restaurujących fasadę pobliskiego budynku zagwizdało, gdy przechodziła obok. Z uśmiechem skierowała się prosto do kawiarni.

Jej własna mała kawiarnia.

Lecz już kilka metrów dalej nagle echo jej obcasów stukających po bruku ustało. Napis nad wejściem wisiał krzywo, a drzwi były szeroko otwarte. Zamek był wyłamany. Lara stanęła jak wryta. Dopiero gdy usłyszała za sobą klakson, zorientowała się, że zamarła na środku ulicy.

– Wynocha, głupia babo! – usłyszała kierowcę, lecz jego głos docierał do Lary niczym zza ściany, przytłu-

miony i daleki.

Na miękkich nogach zbliżyła się do drzwi i weszła niepewnie.

Wnętrze wyglądało jeszcze gorzej niż fasada. Lara stanęła jak wryta, jakby stopy wrosły jej w ciemne kafelki. Stoły i krzesła były poprzewracane. Siedziska pocięte. Nawet wiszący na suficie wentylator został zerwany. Lara podbiegła do lady. Trochę gotówki, którą zostawiła po piątkowej imprezie, wciąż leżało nietknięte w kasie.

Ten, kto to zrobił, nie chciał kraść. Chciał wszystko zniszczyć!

Miną dni, jak nie tygodnie, nim uda się doprowadzić kawiarnię do poprzedniego stanu!

Lara usłyszała szuranie w kuchni i nagle zdała sobie sprawę, że to pewnie tylko początek. Podniosła złamaną nogę od krzesła i trzymając ją niczym kij baseballowy, ruszyła w stronę kuchni. Ostrożnie otworzyła drzwi i rozejrzała się po pomieszczeniu.

Pusto.

Kolejne pobojuwisko. Cała podłoga usłana była odłamkami talerzy, szklanek, kubków i butelek po winie. Wyglądało to jak chlew. Tylko ekspres do kawy, serce jej kawiarni, stał bezpiecznie zapakowany obok zlewu.

Lara odetchnęła z ulgą. Nagle zauważyła maskę wciśniętą za jeden z kartonów. *Maska klauna...*

Zaniepokojona ponownie rozejrzała się, po czym stwierdziła, że lepiej będzie nic więcej nie dotykać i zadzwonić po policję. Właśnie wyciągała nowy telefon na kartę, który kupiła wczoraj, i już chciała dzwonić, gdy nagle usłyszała za sobą kroki.

Odwróciła się błyskawicznie.

– Cholera, co tu się stało?! – głos należał do Katarzyny Ludwig, młodej kobiety z mnóstwem piercingów i indiańskich ozdóbek, studentki, którą Lara zatrudniła i która właśnie dotarła do pracy. – Dzwoniła już pani po gliny?

Lara potrząsnęła głową i zaczęła zbierać odłamki z podłogi.

– Jeszcze nie.

Dziewczyna rozejrzała się po pomieszczeniu, młaskając podczas żucia gumy, i wzięła się pod boki.

– Sądząc po tym, jak to wygląda, chyba żadnej kawy na razie nie będzie się tutaj podawać.

Wsunęła ręce głęboko w kieszenie i rozejrzała się znowu. Nagle coś przykuło jej uwagę.

– O kurwa! Nie wiem, co tu się dzieje, i szczerze mówiąc, nawet nie chcę wiedzieć! Może se pani wsadzić swoją kasę, ja stąd spadam!

To powiedziawszy, odwróciła się i wybiegła z lokalu. Lara powiodła za nią wzrokiem, po czym spojrzała tam,

gdzie jeszcze przed chwilą stała Katarzyna. Na ścianie za wieszakiem, który dziewczyna odsunęła na bok, widniała jednoznaczna groźba:

„Dorwę cię, dziwko!”

Larze zrobiło się słabo. Chwyciła się wieszaka, żeby nie stracić równowagi. *Święty Boże, ci policjanci mieli rację, on nie odpuści, póki... póki...* Lara nawet nie chciała o tym myśleć.

Oszołomiona podniosła krzesło z podłogi i usiadła. Do oczu napłynęły jej łzy, mimo że walczyła z nimi z całych sił.

Pismo na ścianie rozmyło się i Larze wydało się, że to nie ona siedzi w zrujnowanej kawiarni i że to nie jej życie jest systematycznie niszczone.

Dwadzieścia cztery godziny później
Wczesnym rankiem siódmego czerwca...

Telefon wyrwał Sylwię Hausmann z głębokiego snu.

– No nareszcie! – głos Magnusa dudnił ze słuchawki. – Już myślałem, że nigdy nie odbierzesz... Słuchaj, Russbach o ciebie pytał, jest wściekły.

Sylwia Hausmann włączyła światło i podniosła zegarek ze stolika nocnego. *Jest po wpół do piątej.*

– Co... co się stało? – Potarła zmęczone oczy i usiadła

wyprostowana.

– Mamy kolejne morderstwo. Wypruwacz. Zdaje się, że dopadł następną ofiarę.

Kobietę natychmiast opuściła senność.

– Gdzie? – spytała.

– Hellersdorf. Znalazł ją kierowca zamiatarki na jednym z parkingów przy hipermarkecie.

Hausmann zanotowała adres i niespełna trzy minuty później stała ubrana w łazience. Spryskała twarz zimną wodą, zastanawiając się, co mogło skłonić Russbacha, szefa wydziału zabójstw, by osobiście zjawił się na miejscu zbrodni. Potem pospiesznie wybiegła z domu. Była już w połowie klatki schodowej, gdy nagle się zatrzymała. *Cholera!* Zawróciła, otworzyła drzwi i wbiegła do kuchni, gdzie dwa czarne koty niecierpliwie czekały na śniadanie. Hausmann pochyliła się i pogłaskała zwierzęta, które mruczając, ocierały się ojej nogi.

– Prawie bym o was zapomniała... – *I to akurat w rocznicę śmierci Fabieny.* Wyjęła puszki z szafki i łyżką wyłożyła kawałki mięsa do kocich misek. Chociaż wiedziała, że jest już spóźniona, popatrzyła jeszcze na koty chciwie pochłaniające pokarm. Dawniej chciała oddać je do schroniska, ale tylko one pozostały jej po Fabienie. Jak zawsze nim ruszyła do pracy, zmusiła się, by wyprzeć bolesne wspomnienie córki leżącej w jej mieszkaniu przy Boxhagenerstrasse.

Niespełna dwadzieścia minut później zaparkowała swojego rudo brązowego passata na parkingu, gdzie znaleziono ciało. Hausmann wzięła głęboki wdech i wysiadła. Zmasakrowane zwłoki i pusty żołądek były zdecydowanie złą kombinacją. Magnus Kern od razu ruszył w stronę partnerki. W słabym świetle poranka wyglądał na równie przemęczonego jak ona.

– Dzień dobry, Sylwio.

– Dobry to spora nadinterpretacja – mruknęła Hausmann. Z tyłu za Magnusem spostrzegła techników kryminalistyki, którzy ubrani w obowiązkowe białe kombinezony jednorazowe odgradzali teren. Na skraju ulicy już zebrał się tłumek gapiów, którzy przystanęli w drodze do pracy. Na szczęście nie było jeszcze dziennikarzy. Nieopodal Grzegorz Russbach chodził nerwowo tam i z powrotem.

– Ciało należy do dwudziestoczteroletniej rosyjskiej prostytutki imieniem Irina Petrova. Brak dzieci. Brak rodziny mieszkającej w Niemczech – zaraportował Kern. Hausmann podążyła za nim, przechodząc pod taśmą policyjną. – Na szczęście nasz samozwańczy władca osiedla Andrzej Kuttner wytropił jej koleżankę. Dama nazywa się Candy Deluxe i razem z Petrową prostytuuje się przy Oranienburgerstrasse. Zeznała, że po raz ostatni widziała Irinę w piątek wieczór, jak wsiadała do nieznanego klienta.

– Dobra robota – powiedziała Hausmann z uznaniem.
– Czy ta Candy zapamiętała markę samochodu?

Kern pokręcił głową.

– Wiedziała tylko, że to nie była taksówka.

– Rozumiem. – Hausmann postawiła kołnierz płaszcza w ochronie przed zacinającym wiatrem.

Ciało leżało niecałe dwadzieścia metrów od głównego wejścia. Hausmann nakazała Klaudiuszowi Killingowi, jednemu z młodych techników, którego z powodu jasnych włosów i bladej cery wszyscy przezywali „Biały”, aby odsłonił zwłoki. W takich chwilach Hausmann nienawidziła swojej pracy.

Niechętnie spojrzała na ofiarę. Średniego wzrostu, szczupła kobieta leżała na brzuchu na zimnym asfalcie. Tak jak pozostałe była zupełnie naga. Ręce i nogi pokryte miała błękitno–zielonymi siniakami, a na plecach widać było niezliczone skaleczenia i ślady uderzeń. Półdługie kasztanowe włosy zlepiała zaschnięta krew.

Po wstępnych oględzinach komisarz nakazała Białemu obrócić ciało. Mężczyzna wykonał polecenie, a Hausmann wzdrygnęła się nieznacznie. Nie była przygotowana na to, co zobaczyła. Usta ofiary zaklejone były szerokim kawałkiem taśmy, a na jej szyi widniało charakterystyczne cięcie. Profesjonalne cięcie, które rozplatało tętnicę szyjną. Okrągłe, nienaturalnie twarde piersi kobiety, ewidentnie implanty, pozostały nienaruszone, lecz jej brzuch poniżej pępka został rozcięty tak, że widoczne były organy wewnętrzne.

– Nieźle ją urządził. – Magnus potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Bestialskie tortury – to pierwsza myśl, jaka przemknęła Hausmann przez głowę. Pusty żołądek ścisnął jej się z odrazy i obrzydzenia.

– Proszę, powiedz, że była już martwa, gdy zadawano te obrażenia – wyszeptała.

– Sądząc po siniakach, obrażenia zostały zadane przedśmiertnie, ale dokładniej dowiemy się z autopsji.

Komisarz przytaknęła sztywno.

– Kiedy nastąpił zgon?

– Jakieś dwanaście godzin temu. Temperatura ciała spadła już o około piętnaście stopni.

Hausmann spojrzała w szeroko otwarte oczy ofiary, jakby próbowała wyczytać w nich to, co kobieta musiała wycierpieć przed śmiercią. Ale cokolwiek to było, z pewnością przekraczało ludzkie wyobrażenie. Sposób, w jaki ofiara została zmasakrowana, mógł się zrodzić jedynie w wypaczonym umyśle.

– Czy została zgwałcona?

– Nie widać żadnych oznak ani waginalnych, ani analnych.

Hausmann przytaknęła wciąż wpatrzona w ciało. *A więc to ty. Ty nie mordujesz na tle seksualnym. Dlatego przy innych ofiarach również nie znaleziono śladów*

spermy ani lateksu. Ty po prostu bawisz się strachem swoich ofiar. Twoja nienawiść wykracza daleko poza aspekt seksualny.

– Czy możemy przekazać ciało medycynie sądowej? – spytał Biały.

– Tak, znaczy nie – dopowiedziała Hausmann. – Zawołam was, jak tylko będziemy gotowi.

Biały ruszył do samochodu policyjnego.

Sylwia Hausmann się zamyśliła. *Gdzieś już widziałam twarz tej kobiety.*

– Powiedziałeś, że pracowała przy Oranienburgerstrasse? – spytała Kerna.

– Tak twierdzi Kuttner.

Rozejrzała się po parkingu.

– O co chodzi? – zaniepokoił się Kern.

– Nie ma tu żadnej krwi – stwierdziła.

– No i?

– Popatrz na nią. Musiała krwawić jak zarzynana Świnia, a tu nie ma nigdzie ani kropli. Nic.

Jej kolega przytaknął zamyślony.

– Wygląda na to, że i tym razem zamordował swoją ofiarę gdzie indziej, a potem porzucił ją w publicznym miejscu, jakby chciał ją nam zaprezentować... Dokładnie tak samo jak przy Patrycji Braun, Ryszardzie Scholl

i Franciszce Hoffman. Zabójca chciał nie tylko, żeby zwłoki zostały prędko odnalezione, ale również chciał ściągnąć na siebie jak najwięcej uwagi. Nie tylko policji. Wszyscy mieli podziwiać jego dzieło.

Hausmann w zamyśleniu przycisnęła palec do ust, wyobrażając sobie tłumy ludzi, które codziennie przechodziły przez szklane drzwi hipermarketu.

– To wszystko się jakoś nie składa.

– Co się nie składa?

– Petrova nie pasuje do pozostałych ofiar...

– Przestań, Sylwia, chyba żartujesz – jęknął Kern. – Przecież to oczywiste. To ewidentnie jego styl. Nie mów, że chcesz czekać na wyniki autopsji.

– Jak na razie wszystkie kobiety były brunetkami, najwyżej metr pięćdziesiąt. Petrova jest o wiele wyższa – odparła Hausmann, spoglądając na kolegę. – Ten psychopata latami starannie dobierał swoje ofiary. Myślisz, że nagle zmienił schemat?!

Kern pomasaował skronie.

– A rana na szyi? Założę się o pięćdziesiąt dolarów, że pochodzi od cholernego noża rzeźnickiego. Możliwe, że ta prostytutka nie miała dla niego większego znaczenia, była po prostu nagrodą pocieszenia. W końcu ma na koncie pierwszą poważną porażkę – zastanawiał się na głos. – Irina Petrova zaginęła w piątek wieczór tego samego dnia, gdy uciekła Lara Simons. Paralizator pewnie ogłuszył go

na jakiś czas, ale gdy nasi funkcjonariusze przeszukiwali teren portu, nie znaleźli żadnego śladu taksówki...

Hausmann przytaknęła.

– A ten napad na kawiarnię Simons jasno pokazuje, jaka złość go przepęłniała.

I pewnie wciąż jeszcze przepęłnia.

Kern wzruszył ramionami.

– A prostytutki są łatwymi ofiarami. Ktoś zatrzymuje się przy ulicy, macha banknotem i już jest w samochodzie. Żadnego ryzyka.

Sylwia Hausmann znowu się zamyśliła. Wywody jej kolegi zdawały się całkiem przekonujące. A gdyby się głębiej zastanowić, to musiała przyznać, że Kern już przy pozostałych ofiarach miał niezłego nosa.

Komisarz nagle poderwała głowę.

– Oczywiście! Nalot policji w klubie „Aksamit” z zeszłego tygodnia! Wiedziałam, że gdzieś już widziałam tę dziewczynę – dodała ściszym głosem. – To by tłumaczyło długość jej włosów...

Kern zmarszczył brwi i zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Długość jej włosów?

Spojrzała na niego poważnie.

– O ile dobrze pamiętam, podczas nalotu miała jeszcze włosy do pasa.

– No i?

– Oczywiście mogła mieć pasemka albo nosić perukę – rozważała Hausmann. – Chyba że morderca obciął jej włosy, żeby bardziej pasowała do jego schematu, zanim wykonał ostateczne cięcie. Nawet jeśli tym razem nie miał tyle czasu co zwykle, to wszystko musiało być jak najlepiej dopracowane.

Magnus spoglądał na nią przez chwilę oniemiały, po czym przeniósł wzrok na zwłoki.

– Jest to możliwe?

Grzegorz Russbach, który stanął nagle za ich plecami, odchrząknął.

– Widać ten typ jest jeszcze bardziej obsesyjny, niż zakładaliśmy na początku.

Cztery godziny później, wydział zabójstw w Berlinie...

Niezmordowanie buczący wentylator dzielnie toczył beznadziejną walkę z duchotą panującą w korytarzu, po którym szedł Torben, niosąc dwa kubki czarnej kawy.

– Proszę... – Podał jeden z nich Larze. Nie mogła dłużej znieść ani tej kawy, ani tego dusznego posterunku, na którym siedziała od wczesnego ranka. Kern i Hausmann poprosili ją o przybycie, po tym jak wczoraj złożyła do-

niesienie o zniszczeniu kawiarni. Nerwowo zaciskała dłonie. Nie mogła zapomnieć o makabrycznej wiadomości na ścianie kuchni i w sercu Lary narastał strach.

Torben odstawił kubki na podłogę, usiadł na krześle obok i objął przyjaciółkę. Był jej jedynym oparciem w tej trudnej sytuacji i jego dotyk był dla niej niczym kojący rany balsam. Emma wciąż jeszcze była u Rafała. Lara chciała trzymać ją jak najdalej od tego koszmaru.

– Przy odrobinie szczęścia niedługo go złapią. – Torben próbował ją uspokoić, przytulając mocniej.

Lara spojrzała na niego podejrzliwie.

– Ty coś wiesz. Gadaj, co się stało? Przecież masz wieści z pierwszej ręki. Jestem tu jeszcze z innego powodu niż tylko zniszczenie kawiarni, prawda?

Torben pociągnął łyk kawy, próbując uniknąć jej wzroku.

– Dlatego zaproponowałeś, że pójdziesz ze mną. Mów. Co się stało? Miałeś nową ofiarę do autopsji?

– Lara, przecież wiesz, że nie mogę o tym rozmawiać... – zamilkł na widok Kerna, który wyszedł z biura nadkomisarz i skinął na Larę.

– Muszę prosić, żeby zaczekał pan na zewnątrz – poinstruował Torbena, który wstał razem z przyjaciółką.

Lara powiedziała Torbenowi, aby zaczekał na nią na korytarzu, ale gdy wchodziła do biura Sylwii Hausmann,

widziała, że niechętnie zostawiał ją samą.

Hausmann siedziała za olbrzymim biurkiem, na którym piętrzyły się stosy akt i pustych kubków. Wydawała się spięta, jakby czekała na Larę.

– Dziękuję, że pani tak prędko przyszała. Proszę, niech pani usiądzie.

Lara usiadła na krześle obok Kerna.

– Mieliśmy kolejną ofiarę – zaczęła komisarz.

Lara wzdrygnęła się. *A jednak.*

Komisarz zaczerpnęła oddechu i pochyliła się lekko.

– Odstępy, w jakich ten maniak morduje, stają się coraz krótsze, a na dodatek posunął się do brutalności, jakiej jeszcze nie widzieliśmy. Zdaje się, że pani ucieczka z taksówki porządnie go rozwścieczyła. No i nie zapominajmy o tej groźbie... – Potrząsając głową, wyjęła spod sterty akt zdjęcie, które policja zrobiła w kawiarni.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Pani Simons, ten mężczyzna jest bardzo niebezpieczny – ostrzegła Hausmann, nim ogłosiła kolejną nowinę: – Nie jest już pani bezpieczna w Berlinie. Nalegam, żeby pani niezwłocznie opuściła miasto i przystąpiła do programu ochrony świadków.

Lara popatrzyła na nią zrezygnowana.

– Program ochrony świadków? – zdawało jej się, że się przesłyszała. – Chyba pani żartuje!

– Mówię absolutnie serio – odparła Hausmann z kamienną twarzą.

– Ale jak... jak pani to sobie wyobraża?! – Lara poderwała się z krzesła. – Nie mogę przecież tak po prostu wszystkiego zostawić i zacząć gdzieś od nowa! Ciężko pracowałam, żeby poukładać sobie życie, i nie pozwolę, żeby pierwszy lepszy wariat wszystko zniszczył! – Podniosła ręce, lecz opuściła je zaraz bezsilnie, spoglądając przez żaluzje na Torbena, który nerwowo krążył tam i z powrotem wzdłuż korytarza. – Znaczy co, jeśli... co, jeśli to wszystko jest jedną wielką pomyłką?

Policjantka pokręciła głową.

– Ale dlaczego akurat ja? Wsiadłam do tej taksówki zupełnie przypadkowo! Przecież nie mógł wiedzieć, że akurat moja opona... – zamilkła, zrozumiałwszy, że to wszystko było częścią planu. Czowała się jak idiotka.

– Przypuszczamy, że już dawno wszystko przygotował. Przestępcy tego kalibru planują wszystko bardzo dokładnie. Zaczynając od wyboru miejsca i ofiary, aż po czas i narzędzie zbrodni. Nic nie pozostawiają przypadkowi.

Larze brakowało słów.

– W programie ochrony świadków uczynimy wszystko, żeby ten wariat pani nie znalazł. – Hausmann zaczęła wyliczać na palcach: – Otrzyma pani nową tożsamość, zaczynając od nowego imienia i miejsca zamieszkania, przez zmienione cv wraz z miejscem urodze-

nia, nowe prawo jazdy i wszystkie inne dokumenty, jakich będzie pani potrzebować.

Lara odgarnęła nerwowo włosy. Takie rzeczy знаła tylko z filmów gangsterskich albo spektakularnych procesów sądowych, w których trzeba chronić świadków czy ważnych informatorów policyjnych.

– Co z Emmą? – zapytała wciąż oszołomiona. – Co stanie się z Emmą?

– Ponieważ pani ma prawa rodzicielskie, pani córkę spotka ten sam los co panią – Hausmann starała się mówić łagodnym tonem.

Larze zdawało się, że się dusi. Tysiące myśli przebiegało jej przez głowę. Emmie tak trudno było znaleźć przyjaciół w szkole, przecież nie można wyrywać dziecka tak po prostu ze znanego otoczenia!

A co z kawiarnią – czy Lara ma ot tak porzucić swoje marzenie? Nie było nawet oficjalnego otwarcia!

Kobieta odchyliła głowę i wbiła wzrok w sufit. Nie chciała, żeby policjantka zobaczyła łzy wzbierające w jej oczach. Nikt nie mógł ich widzieć, zawsze tak było. Ona, Lara Simons, zawsze przecież jakoś sobie radziła w życiu. Przetrwiała śmierć rodziców, rozwód z Rafałem...

Ponownie spojrzała przez okno, by upewnić się, że Torben wciąż czeka. Jeszcze chwilę temu zdawało jej się, że osiągnęła straszny punkt kulminacyjny w swoim życiu, lecz policjanci przypomnieli jej, że zawsze jeszcze może

być gorzej. Larze zakreśliło się w głowie.

– Proszę mi wierzyć, pani Simons, jeśli zostanie pani w mieście, nie możemy zagwarantować bezpieczeństwa ani pani, ani córki – podsumowała Hausmann dobitnie.

Lara podeszła do okna i nieobecny wzrokiem popatrzyła na parking wydziału zabójstw. Wytarła łzy i usilnie próbowała poukładać myśli, by podjąć decyzję, która zmieni całe jej życie. Mijały długie minuty, lecz w końcu odwróciła się do policjantów i oznajmiła zdecydowanym tonem:

– Za nic w świecie nie zaryzykuję, że moją córkę spotka coś złego lub żeby musiała dorastać bez matki. Proszę podjąć wszystkie konieczne kroki. Najszybciej jak to możliwe przystąpię wraz z Emmą do programu ochrony świadków.

* * *

Lara przyglądała się ceniom tańczącym po suficie. Nie mogła zasnąć.

Funkcjonariusze programu ochrony świadków ganił ją cały dzień z jednego miejsca w drugie. Przeszła niezliczoną ilość szkoleń na temat bezpieczeństwa, podpisała tysiące umów i klauzul o zachowaniu poufności.

Ze względów bezpieczeństwa nie dowiedziała się

nawet, dokąd następnego ranka zawiozą ją i Emmę, która ostatnią noc w mieście spędzała u ojca. Nawet funkcjonariusze wydziału zabójstw nie będą znali nowego miejsca zamieszkania Lary i Emmy. Wszystko było ściśle tajne.

Kobieta spędziła ostatni wieczór z Torbenem, który przy butelce czerwonego wina i wspominkach starych, dobrych czasów pomógł jej się pakować. Był jedynym, który wiedział o jej planach. Myśl, że widzi go po raz ostatni, budziła u Lary zarówno uczucie paniki, jak i smutek związany ze świadomością, że to ostatnia noc jej dawnego życia.

Spojrzała na spakowane walizki stojące przy drzwiach oświetlonych latarnią zza odsłoniętego okna. Jako dziecko Lara często marzyła, aby stać się kimś innym. Lecz potem stworzyła sobie własny mały świat. Coś, z czego była dumna. Mimo to miała udać się w nieznaną przyszłość bez możliwości powrotu.

Już teraz czuła się obco we własnym życiu. Lecz dopóki nie będą z Emmą bezpieczne, zadomowi się w każdym miejscu na ziemi.

Przelotnie myślała o matce, niespełnionej aktorce, która rzuciłaby się na każdą najmarniejszą rolę w najlichszym nawet serialu telewizyjnym. Teraz przyszła kolej na Larę, aby zagrać główną rolę w filmie, do którego nie znała scenariusza i nie wiedziała nawet, czy będzie miał szczęśliwe zakończenie.

* * *

Czerwone cyfry budzika na stoliku nocnym pokazały trzecią nad ranem, gdy ciche pischczenie wyrwało Larę ze snu. Otworzyła oczy, lecz pisk ucichł tak nagle, jak nagle się pojawił. *To tylko wiatr poruszający okiennicami* – uspokoila się w duchu i spróbowala ponownie zasnąć. Lecz odgłos powrócił. Lara odrzuciła kołdrę i wstała z łózka niepewna, co ma zrobić. Zarzuciła jedwabną podomkę i instynktownie chwyciła za telefon. Wybrała numer, który Hausmann podała jej na wypadek zagrożenia. Boso ruszyła po starych deskach, które skrzypiały przy każdym kroku. Nagle usłyszała głuchoe stukanie. Ciche, lecz zarazem zbyt głośne, aby pochodziło z sąsiedniego mieszkania. Rozglądając się, Lara przekradła się przez hol, zważając na każdy cień. Nie zauważyła natomiast, że mała zielona lampka alarmu się nie świeci. Drzwi balkonowe były niedomknięte. Lekki podmuch wiatru poruszał długimi zasłonami i podwiewał koszulę nocną Lary. Kobieta wyszła na balkon. Na małym, ciemnym podwórku panowała cisza. Z oddali dobiegł odgłos szybkich kroków po asfalcie, lecz i te niebawem ucichły.

I wtem ponownie zapadła cisza. Zrobiło się tak cicho jak to tylko możliwe w środku Berlina w ciepłą letnią noc.

Wróciła do mieszkania. Właśnie chciała zamknąć

drzwi balkonowe, gdy usłyszała za sobą skrzypienie. Nie była sama.

Lara zamarła. ON był w jej mieszkaniu. W jej salonie. Dokładnie za nią. W szybie drzwi balkonowych ujrzała niewyraźne odbicie wysokiej postaci w czapce basebalowej. Mężczyzna zbliżył się szybko i zanim Lara zdążyła zareagować, pchnął ją na podłogę. Telefon wypadł jej z dłoni i poleciał pod kanapę. Napastnik prysnął jej w oczy czymś, co piekło jak kwas. Lara krzyknęła z bólu i przerażenia. Krzyczała, jakby od tego zależało jej życie. Ślepa i panicznie przerażona, czołgając się na czworaka przez zabawki Emmy rozrzucone po podłodze, próbowała dostać się do kominka. Jeśli tylko udałoby jej się znaleźć pogrzebacz... Intruz chwycił ją za kark i pociągnął do tyłu jak nieposłusznego psa. Lara przewróciła się na plecy i zaczęła kopać na ślepo. Mężczyzna rzucił się na nią, przycisnął kolanami jej żebra, jedną ręką zakrył kobiecie usta, drugą zaś zdarł podomkę. Krzyki ucichły stłumione jego silną dłonią, lecz Lara nadal rzucała się i kopała z całych sił.

– Leż spokojnie, szmato, już ja ci zatkam gębę! – syknął cicho w ciemności. Włożył jej rękę pod koszulę i ścisnął lewą pierś tak mocno, jakby chciał ją zmiażdżyć. – Dziwka! – zaskamlał, gdy z całej siły ugryzła go w dłoń. Niestety, przez skórzane rękawiczki ugryzienie nie odniosło pożądanego skutku. Potężne uderzenie pięści trafiło Larę w żołądek. Zwinęła się z bólu, próbując zaczerpnąć

powietrza. Nie miała najmniejszych szans. Podciągnął ją za włosy, aż ukłękła zwrócona plecami do niego.

– Błagam, nie! – Gdy ujrzała słaby blask księżyca odbijający się na ostrzu, serce załomotało jej w piersi. Napastnik wpierw przeciął jedno, potem drugie ramięczko jej koszuli nocnej, materiał opadł na podłogę. Lara była naga. Gdy przysunął się bliżej, poczuła jego nabrzmiąły penis na plecach. Mężczyzna powoli przystawił jej ostrze do krtani, lecz wtedy drzwi do mieszkania otworzyły się z hukiem.

– Policja! Nie ruszać się! – zagrzmiąły donośne głosy policjantów, którzy wcześniej obserwowali bramę, a teraz stali w ciemnym korytarzu. Intruz odepchnął Larę i pomknął na balkon.

Kobieta upadła na podłogę. Trzęsła się na całym ciele. Próbowwała okryć się odrobinę, gdy zapaliło się światło i do pokoju wbiegło dwóch policjantów z wyciągniętą bronią.

– Skurwysyn wyszedł przez balkon, leczę za nim! – krzyknął jeden z funkcjonariuszy i wybiegł na balkon z wyciągniętą bronią. Drugi podbiegł do Lary, zawiadamiając posterunek i wzywając karetkę.

– Czy jest pani ranna?

Lara złapała się za ramię i wychrypiała:

– Chyba wszystko w porządku.

– Cholera, uciekł po dachu! – wydyszał policjant na balkonie, po czym podszedł do Lary. – Rozpoznała go pa-

ni?

Lara pokręciła głową.

– Ta czapka baseballowa... postura. To był ON! Ale jego twarz...

– Czy coś pani zauważyła? – zapytał gorączkowo.

– Było ciemno... a poza tym prysnął mi czymś w twarz... nie mogłam nic zobaczyć. – Lara potarła oczy. Wciąż strasznie ją piekły. Pojękując, podniosła się z podłogi, przykucnęła przy kanapie i zaczęła szukać telefonu, by zadzwonić do Rafała.

– Chcę wyjechać! Natychmiast! – oświadczyła Sylwii Hausmann, gdy pół godziny później siedziały razem w pokoju. Lekarz ponownie opatrzył ramię Lary, a technicy kryminalistyki zajęli się alarmem w poszukiwaniu odcisków palców. Lara miała dużo szczęścia, szwy nie pękły.

– Zaraz pojedę na prezydium i przygotuję wszystko – spokojnie i rzeczowo tłumaczyła Hausmann. – Mój partner z pewnością zaraz tu będzie. Razem pojedą państwo do pani byłego męża, a stamtąd odbiorą państwa koledzy z wydziału ochrony świadków. – Spojrzała na zegarek i jakby na ten sygnał wszedł Magnus Kern. Miał zmierzwione włosy i pomiętą koszulę.

Hausmann wyciągnęła rękę do Lary.

– Zdaje się, że już się nie zobaczymy. Życzę pani wszystkiego dobrego.

Jeden silny uścisk dłoni i komisarz zniknęła za drzwiami.

– Jeśli jest pani gotowa... – wychrypiął Kern i uśmiechnął się nieznacznie.

Lara skinęła głową.

– Tylko zabiorę walizki z sypialni.

– Niech się pani nie kłopotczy. Zajmę się tym. – Wziął walizki i poszedł przodem.

Lara skorzystała z okazji, by zadzwonić do Torbena, ale odpowiedział jej tylko automat. Na progu po raz ostatni spojrzała na mieszkanie, które od lat było jej domem. Nagle odwróciła się i pobiegła do sypialni. Zdrową ręką odsunęła ciężką dębową komodę stojącą obok łóżka, przykucnęła i sięgnąwszy do szpary w podłodze, podniosła jedną klepkę. Rolki filmu pokryły się grubą warstwą kurzu przez te wszystkie lata. To były ostatnie, chociaż najbardziej makabryczne pamiątki po matce. Ktokolwiek tu zamieszka po Larze, nie może ich zobaczyć. Nikt nie powinien ich widzieć.

Zwinnym ruchem wrzuciła je do walizki i stukając obcasami, pomknęła w dół schodów.

Mieszkanie Rafała położone było na trzecim piętrze

zabytkowej kamienicy przy alei Schönhauser. Od strony ulicy znajdowała się kuchnia i salon, a pozostałe pokoje wychodziły na wewnętrzny dziedziniec. Przed sąsiadującym budynkiem kłębili się turyści czekający w kolejce do portugalskiej knajpy, otwartej do późnej nocy. Z plakatu wynikało, że właściciele obchodzili właśnie dziesiątą rocznicę.

Magnus Kern zaparkował po drugiej stronie.

– Proszę tu zaczekać – nakazał i wysiadł z samochodu. Przeszedł przez ulicę i przedarłszy się przez świętujący tłum, wcisnął guzik domofonu. Lara obserwowała go z samochodu.

Nikt nie otwierał.

Magnus zadzwonił ponownie, lecz drzwi pozostały zamknięte. Lara wychyliła się, by spojrzeć na mieszkanie Rafała. *Wszędzie ciemno.*

– Myślałem, że dzwoniła pani do męża? – zapytał Kern po powrocie do samochodu. Pochylił się do otwartych drzwi, jedną rękę oparłszy na karoserii, drugą o biodro.

– Dzwoniłam, ale nikt nie odbierał, wysłałam mu sms-a.

Nerwowo gmerła w walizce w poszukiwaniu komórki, zanim przypomniała sobie, że przecież musiała ją oddać. Zresztą i tak chciała kupić nową. Kern wyjął własny telefon i kazał podyktować sobie numer do Rafała.

– Chyba ma wyłączoną komórkę – stwierdził chwilę później. – Jest pani pewna, że to właściwy numer? – Pochylił się do Lary i pokazał wyświetlacz.

Przyjrzała się uważnie.

– Zgadza się.

Spróbowali zadzwonić na numer domowy, lecz również bez skutku.

– Cholera! – zaklął Kern, chowając telefon do kieszeni. – Co teraz?

– Niech pan poczeka. – Lara wyciągnęła wielki pęk kluczy z kieszeni kurtki. – Nigdy ich nie oddałam, tak na wszelki wypadek – wyjaśniła z zażenowaniem.

Kern wziął klucze.

– Niech pan poczeka, też idę.

– Pani się stąd nie rusza! – Zatrzasnął drzwi samochodu.

Lara siedziała, obserwując w napięciu, jak Kern znika w bramie kamienicy. Mijały długie minuty. Kobieta nieufnie obserwowała mężczyzn pod kawiarnią, raz po raz zerkając na mieszkanie Rafała. Im dłużej Kern nie wracał, tym silniejsze miała przeczucie, że coś musiało się stać. Mimo iż noc była ciepła, dostała gęsiej skórki. Wreszcie w mieszkaniu Rafała zapaliło się światło. Natychmiast wysiadła z samochodu i ruszyła do bramy. Kern wybiegł jej naprzeciw. Był trupio blady i miał wytrzeszczone oczy.

– Niech pani się zatrzyma! – wychrypiał i odsunął Larę. – Niech pani nie idzie na górę! – Podbiegł do samochodu i przekazał coś innym jednostkom.

Larze serce waliło jak szalone.

– Niech mi pan powie, co się dzieje!

– Pani Simons, proszę wracać do samochodu! Nie chcę, żeby pani... – ale nie dane mu było dokończyć.

Lara wbiegła na schody.

Nie wiedziała, że w mieszkaniu Rafała spotkają widok, który nada całkiem nowe znaczenie słowu „ból” i będzie ją prześladował do końca życia.

RUGIA. SZEŚĆ LAT PÓŹNIEJ

Chłodna majowa noc...

Obudź się! – Ktoś silnie potrząsał ją za ramiona. W ciemności Lara rozpoznała znajome rysy twarzy partnera.

– Ciii... wszystko w porządku... W porządku... – uspokajająco powtarzał Frank, odgarniając jej włosy ze spoconego czoła. Włączył lampkę na stoliku nocnym. – Znowu miałaś ten sen.

Lara usiadła wciąż odrobinę zamroczone i uniosła na niego zaspane oczy.

Frank Burlacher był całkowitym przeciwieństwem Rafała. Był szczery i opiekuńczy, zachwycił ją nie tylko swoją osobowością, lecz także pokazał Larze na nowo, co znaczy zaufanie.

Wiele mu zawdzięczała. Po tym jak w ramach programu ochrony świadków przeprowadziła się na Rugię, przeszkoliła się na hotelarkę i pracowała w małym pensjonacie w Binz. Trochę mniej niż rok temu Frank zaproponował jej etat w „Burlacher Hof”, pensjonacie, który od pokoleń znajdował się w posiadaniu jego rodziny. Złożył propozycję nie do odrzucenia, więc Lara zgodziła się prawie natychmiast.

Szybko jednak okazało się, że pensjonat przynosi coraz większe straty. Pokoje świeciły pustkami, jakby na hotelu ciążyła klątwa. Brat Franka, który kiedyś prowadził pensjonat, zniknął z dnia na dzień, gdy długi go przerosły, i od tamtego czasu nikt go nie widział. Było to jednak na długo przed tym, jak Lara zaczęła tam pracować. Gdyby Frank nie przejął pensjonatu, z pewnością posiadłość popadłaby w całkowitą ruinę.

Mimo trudnych warunków Lara z biegiem czasu coraz lepiej poznała Franka, a w końcu nawet go pokochała. Po tylu latach od śmierci Rafała był pierwszym mężczyzną, z którym poszła do łóżka. Kilka miesięcy później stali się parą.

– Wszystko w porządku? – Frank podał jej szklanę wody ze stolika.

Lara przytaknęła apatycznie. Upiła łyk i odstawiła szklanę z powrotem na stolik.

– Która godzina?

– Wpół do trzeciej.

Lara wstała bez słowa i otworzyła okno. Chłodne nocne powietrze było bardzo przyjemne. Pustym wzrokiem przemknęła po sporym ogrodzie, ponad krzakami róż i wzdłuż wąskiej drogi. Frank kiedyś zatrudniał ogrodnika, lecz potem zajmowanie się ogrodem spadło na Larę.

Pensjonat położony był nieco na uboczu i był ostatnim domem w Lohme, wiosce liczącej sobie najwyżej pięciuset

mieszkańców na północnym wybrzeżu Rugii. Niedaleko znajdowała się plaża i mały lasek. W ciepłe noce zależnie od kierunku wiatru słyszeć było albo szum fal, albo liści.

W dobre noce Lara śniła o życiu, które prowadziła, nim wsiadła do taksówki. W złe noce natomiast prześladowała ją masakra sprzed sześciu lat.

Widziała wtedy schody prowadzące do mieszkania Rafała, a potem Magnusa Kerna wzywającego pomoc. Drzwi były szeroko otwarte. Lara weszła do korytarza na miękkich nogach, potykając się o buty i rolki Emmy. Dotarła zaledwie do garderoby. I stanęła jak wryta. Drzwi do sypialni były uchylone. Klamka zachlapana krwią. Lara czuła, jak krew dudni jej w żyłach, gdy lekko popchnęła drzwi. *O mój Boże!* Zatoczyła się kilka kroków do tyłu. Na łóżku leżała nowa dziewczyna Rafała. Ręce i nogi miała rozrzucone, usta szeroko otwarte niby w niemym krzyku. Na szyi widniała około dziesięciocentymetrowa rana cięta. Jej jasne blond włosy, biała koronkowa koszulka nocna, kremowe prześcieradło – wszystko przesiąknięte krwią. Ścianę za łóżkiem pokrywały aż po sufit czerwone rozbryzgi. Lara dostrzegła odbicie Rafała w przeszklonych drzwiach szafy. Leżał bez ruchu na podłodze obok łóżka.

Nie!

Chwiejnym krokiem obeszła pośłanie i opadła na kolana. Rafał leżał na plecach, wokół głowy ciemniała plama krwi. Jedyne lekki błysk w jego oku zdradzał, że jeszcze żyje.

– Trzymaj się! Słyszysz? Nie możesz umrzeć! – Jej łzy kapały mu na twarz, gdy Lara desperacko próbowała zatamować krew sączącą się z wielkiej rany na szyi. Z uchylonych ust byłego męża dobyło się lekkie westchnienie.

– On... on wciąż... jest... – wyszeptał słabo, z udreką, nim zupełnie rozluźnił zaciśnięte dłonie. Głowa opadła mu na bok, a resztki życia uszły z jego oczu.

Lara tylko patrzyła. Jej usta drżały w niemym płaczu. Czowała ostry ból w sercu. Nagle zerwała się na równe nogi. *Emma!* Ogarnięta paniką pomknęła do pokoju dziecięcego. Rozbieganym wzrokiem ogarnęła udekorowany plakatami koni pokój, lecz łóżeczko było puste. Lara biegała po całym mieszkaniu w poszukiwaniu córki. Na klatce schodowej rozległy się głosy nadchodzących policjantów. Otwierała każde drzwi, zaglądała w każdy zakamarek, nim znalazła ją w łazience. Na widok sześciolatniej córeczki leżącej na zimnych kafelkach w rozdartej piżamce i w kałuży krwi wyrwał jej się przeraźliwy krzyk! NIE! EMMA, NIE!!! Wtedy właśnie budziła się z nocnych koszmarów zrana.

Często leżała godzinami, nie mogąc zasnąć z wyczerpania. Wydawało się niemożliwe, że ktoś mógłby przeżyć tę masakrę.

Lecz Emma przeżyła. Obecnie miała dwanaście lat, na pewno nie była normalną wesołą nastolatką. Od tamtej nocy nie powiedziała ani słowa. Unikała kontaktu

z rówieśnikami, bała się ciemności, na całe dni zamykała się w sobie, jakby żyła we własnym małym świecie, gdzie brakowało miejsca dla wszystkich poza nią i koniem, którego dostała w prezencie od Franka.

Tylko czasami udawało się Larze dotrzeć do córki. Psychologowie mówili, że przy intensywnej terapii uda się pokonać traumę i dziewczynka zacznie znowu mówić.

Mylili się.

Żadna z terapii nie przyniosła oczekiwanych rezultatów i Emma pozostała niema od tamtej nocy sprzed sześciu laty. Lecz Lara nie chciała tracić nadziei, że jeszcze kiedyś usłyszy głos córki.

Gdy jej łzy powoli wysychały, smutek wciąż ją otulał jak całun. Odszukała usta Franka i pocałowała go mocno, by wypchnąć z pamięci obrazy przeszłości. Zdjęła górę jego pizamy przez głowę i ręką dotknęła jego rozgrzanej piersi – by zapomnieć. Zsunęła mu spodnie do kolan i zaczęła masować męskość, aż powoli stwardniała w jej dłoni – by zapomnieć. Wolną ręką podciągnęła koszulę nocną i ściągnęła majtki, pomagając sobie nogami – by zapomnieć. Rozłożyła nogi – by zapomnieć. Frank pieścił jej piersi. Lara wciągnęła go na siebie i w siebie. Czowała jego stwardniały członek, gdy obejmowała go nogami i wbijała paznokcie coraz mocniej w plecy partnera. Jego pchnięcia stały się szybsze i cięższe, jego oddech przyspieszył, lecz zanim Lara wydała z siebie choćby ciche westchnienie, Frank wbił się w nią głęboko, po czym opadł

bezsilnie na łóżko. Leżeli obok siebie przez dłuższą chwilę i Lara dopiero teraz odważyła się zgasić lampkę na stoliku i poddać się ciemności.

Lecz tej nocy nic nie pomagało. Nie mogła zasnąć. Leżała z szeroko otwartymi oczyma i patrzyła w ciemność, podczas gdy Frank pochrapywał lekko obok niej.

Frank u jej boku. Frank, który od prawie roku zawsze był przy niej. Lara spoglądała na jego twarz oświetloną blaskiem księżyca. Wielokrotnie już pytał o jej życie sprzed Rugii i wielokrotnie miała ochotę zaspokoić jego ciekawość i wyznać mu swoją mroczną tajemnicę.

Lecz rygorystyczne przepisy programu ochrony świadków zabraniały jej pisać choć słówko. Wspomnienia dawnego życia zbladły z upływem lat i gdy ktoś pytał, Lara zawsze opowiadała tę samą bajkę o córce dyplomaty z Kolonii, której rodzice zginęli w strasznym wypadku samochodowym, gdy była jeszcze dzieckiem. Teraz przychodziło jej to bez najmniejszego wysiłku, prawie jakby wierzyła w to, co mówi. Niekiedy jednak odnosiła wrażenie, że wszyscy gapią się na nią, jakby na twarzy miała wypisane wielkimi literami: KŁAMCA. Gdy spoglądała w lustro, nie widziała już odbicia dwudziestolatki z Berlina, której długie brązowe włosy opadały na oczy i która wciskała pięści głęboko w kieszenie wyblakłych dżinsów. Zamiast niej pojawiła się kobieta po trzydziestce, blondynka obcięta na pazia, ubrana w czarną garsonkę.

Minęło sporo czasu, zanim Lara pozbyła się całkiem

dawnej siebie i przywykła do nowej osobowości – Karoliny Wöhler. W gorszych chwilach zastanawiała się, ile Lary Simons zostało jeszcze w Karolinie Wöhler. Mimo to wciąż była przekonana, że podjęła właściwą decyzję.

Tak samo jak była przekonana, że Emma kiedyś znowu przemówi. Tutaj, na Rugii, były bezpieczne, tu ON nie mógł ich dosięgnąć.

Czwartek wieczór, 19 maja...

– Niech pani to zostawi, zajmę się resztą – powiedziała Lara, wchodząc do kuchni. – Jeszcze pani przegapi pociąg.

Lecz Barbara Linz, drobna kobieta pod czterdziestkę, obejrzała się jedynie i posłała jej lekki uśmiech. Od wieków była dobrą duszą pensjonatu. Gospodyni wrzuciła rybę na patelnię i nalegała, by podać do stołu. Ani myślała wychodzić.

– Jak znam pani męża, już czeka na panią na stacji – uśmiechnęła się Lara.

– Harald nie jedzie ze mną. – Dobry nastrój Linz wyraźnie się pogorszył.

– Czy wygraną nie był weekend dla dwóch osób w luksusowym SPA? – zdziwiła się Lara.

Linz potrząsnęła głową i zaczęła rozkładać talerze na stole.

– Typowe dla mojego męża. Słowo SPA to dla niego jak przekleństwo. Jak tylko coś brzmi choć trochę zdrowo, Harald ucieka gdzie pieprz rośnie.

– Przykro mi – wymamrotała Lara.

– Och, proszę się nie martwić, bez niego też będę się dobrze bawić – zapewniła Linz, po czym podniosła walizkę stojącą przy drzwiach i wyszła, ruszając na dworzec.

– Czy ktoś jeszcze chce dokładkę? – spytała Lara niewiele później, by przełamać ciszę, jaka zapanowała przy stole.

– Ja! Ja! – zawołał Henryk Becker, jedenastoletni syn sąsiadów, który mieszkał z nimi, podczas gdy jego rodzice byli na dawno wyczekiwanej wycieczce po Saharze. Chłopak wyciągnął przed siebie talerz. Lara nałożyła mu porcję i zatroskana spojrzała na Emmę.

– Prawie nie ruszyłaś jedzenia.

Emma podniosła wzrok, ale nie zdjęła słuchawek iPod'a. Jak zwykle była myślami zupełnie gdzie indziej. Pociągała za jedwabny zielony szal, który od tamtej nocy zakrywał wielką bliznę na jej szyi. Lara często nie wiedziała, jak wytłumaczyć ludziom pochodzenie szramy, tym bardziej że jej własna rana wyglądała przy tej Emmy jak niewielkie zadrapanie.

Emma nie zdjęła też srebrnego medalu, który zdobyła wczoraj na turnieju. Udało jej się zakwalifikować do wy-

ścigu młodzików, który odbył się po raz pierwszy podczas tradycyjnego Festiwalu Bałtyckiego. Był to wyścig konny traktowany jako swego rodzaju eliminacje do sierpniowych Dni Jeździectwa, lecz nieustępujący im prestiżem.

Wydawało się, że cała Rugia zgromadziła się wczoraj przy torze wyścigowym w Bad Doberan. Trybuny wyglądały jak dzika łąka pełna kolorowych, strojnych kapeluszy, ponieważ rywalizacja obejmowała nie tylko wyścigi konne. Lara miała jasnoniebieski olbrzymi kapelusz, który kupiła specjalnie na tę okazję w salonie w Binz. Wokoło pachniało watą cukrową i pieczonym mięsem i nawet psycholog Emmy, doktor Urs Lange, kolos o szerokiej twarzy i ciepłych, brązowych oczach, podszedł do Emmy, by życzyć jej szczęścia przed wyścigiem.

To był bardzo ekscytujący wyścig. Lara i Frank aż podskoczyli z radości, gdy Emma niespodziewanie nadgoniła na ostatnich metrach i na chwilę objęła prowadzenie, a potem na swojej klaczy imieniem Kwiecisty Podmucha przekroczyła metę jako druga. Lara była bardzo dumna z Emmy, a prawdziwy triumf polegał na tym, że wreszcie coś w życiu sprawiało córce radość.

Niestety, owe szczęśliwe momenty miały skończyć się zaraz po rozdaniu nagród. W drodze na parking podeszła do nich patykowata reporterka, próbując wydostać z Emmy komentarz o propos drugiego miejsca. Zaraz za nią przydreptał łysy kamerzysta z napuchniętą twarzą. Ponieważ Emma wciąż nie mówiła, po prostu uśmiechała

się zażenowana i lekko pociągając zieloną apaszkę, spoglądała na Larę. Frank próbował dziennikarkę zbyć, lecz Wenka Blomberg, z ustami czerwonymi i spiczastymi niczym jej kapelusz, nalegała. Lara wkroczyła energicznie, twierdząc, że dziewczyna jest wyczerpana po wyścigu.

Zbyt późno zauważyła, że kamerzysta ją filmuje. Natychmiast naciągnęła kapelusz głębiej na twarz i odwróciła się do niego plecami. Dopiero wieczorem, oglądając telewizję, zdała sobie sprawę, że dziennikarka była z większej stacji i reportaż został nadany w całych Niemczech. Myśl, że ktoś mógł rozpoznać jej twarz, przyprawiał Larę o ból głowy.

– Gruber mówi, że jak ceny za proso dalej podskoczą, to będzie mógł zamknąć swoją masarnię na dobre – powiedział Frank, wyrywając ją z zamyślenia.

Lara przytaknęła nieobecny tonem i jadła dalej, nie słuchając partnera.

– Wygląda na to, że lato zaczyna się dla wszystkich kiepsko – ciągnął dalej. – Nam też by się przydało więcej gości, ta wycieczka wciąż jeszcze nie potwierdziła swojej rezerwacji.

Teraz zwrócił jej uwagę.

– Tak? Nic mi o tym nie mówiłeś. A z jakiego powodu?

– Sam nie wiem. Zapowiadano chyba złą pogodę i teraz ludzie zastanawiają się, czy jednak nie polecieć na

Majorkę, jakby to było zupełnie to samo... Henryk! Prze-
stań w końcu bawić się jedzeniem! – przerwał, gdy syn
sąsiadów pstryknął ością w Emmę.

Zaraz potem rozległo się pukanie od ulicy. Frank
wyjrzał przez okno kuchenne.

– No nie wierzę... – Przed domem zatrzymał się
czerwony kabriolet. Za kierownicą siedziała krępa, wy-
strojona i mocno umalowana kobieta, a na tylnym siedze-
niu jej sobowtór. Tej z tyłu towarzyszył blondyn
w rozpiętej koszuli i ciemnych okularach zasłaniających
pół twarzy.

– Kto to jest? – zapytała Lara, spoglądając w tę samą
stronę co Frank.

– To bliźniaczki Stettinger, ostatnio ciągle się tak
ubierają.

– To widzę, chodzi mi o mężczyznę.

Frank stęknął cicho.

– To, niestety, mój kuzyn.

Lara uniosła brwi w zdumieniu.

– Nigdy mi o nim nie opowiadałeś.

– Miałem dobry powód – westchnął Frank. – Arne to
czarna owca w rodzinie.

Szczupły mężczyzna w skórzanej kurtce wyskoczył
z kabrioletu, po czym wyciągnął z niego sztalugi i torbę na
laptop, a na ramię zarzucił worek marynarski.

– Zadzwoń do was! – zawołał do kobiet, które odjeżdżając, posyłały mu całusy.

– Dzieci, odejdźcie od okna. Nie ma na co się gapić, no już, siadajcie! – Frank zwrócił się do dzieci, które zaintrygowane podeszły do okna. Chwilę później rozległ się dzwonek do drzwi.

Frank jechał dalej jakby nigdy nic.

– Nie chcesz otworzyć? – zapytała Lara poróżniona.

Frank patrzył na nią, marszcząc czoło.

– W końcu jest twoim kuzynem – dodała zdziwiona.

– Nie znasz go, Karolina. Nie wiesz, jaki jest.

Karolina. Nigdy nie przyzwyczai się do tego nowego imienia.

– Ten typ to prawdziwe utrapienie, jest gorszy od świadków Jehowy – powiedział Frank z pełnymi ustami. – Jak tylko otworzysz mu drzwi, już się go nie pozbędziesz.

Lara uśmiechnęła się rozbawiona. Nie znała Franka od tej strony.

– Za późno! – Mały Henryk wskazał okno kuchenne, za którym widniała uśmiechnięta twarz Arne.

Frank przewrócił oczami i spojrzał na Larę.

– Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem... – Wytarł usta w serwetkę, rzucił ją na stół i podszedł do drzwi.

– Arne, to naprawdę ty – przywitał go wymuszonym

uśmiechem. – Co za niespodzianka...

Arne zdjął okulary.

– Frank, chłopie, ty cwaniaku! Dobrze wyglądasz. Trochę przytyłeś, ale poza tym... – Palcem wskazującym puknął go żartobliwie w brzuch. – Ile to myśmy się nie widzieli, jedenaście, dwanaście lat?

– Góra – odpowiedział Frank sucho. – Gadaj, co cię sprowadza na Rugię. Jesteś znowu w tarapatach?

Arne wzruszył ramionami i uśmiechnął się szeroko.

– Płynę sobie katamaranem, wiesz, tym starym gratem od wujka Klause, i myślę sobie, skoro już kręcę się po okolicy, to wpadnę do mojego ulubionego kuzyna Franka.

Frank spoglądał na niego z dezaprobatą.

– No gadaj, o co naprawdę chodzi, i nie czaruj, że po prostu chciałeś mnie zobaczyć. Czego chcesz? Pieniądzy?
– Frank nie wysiłał się na owijanie w bawełnę.

Kuzyn spoglądał przez chwilę oniemiały, po czym roześmiał się, potrząsając głową.

– Och, Frank, chłopie, nic się nie zmieniłeś, wciąż jesteś nudziarzem. – Ciekawsko zaglądał do wnętrza domu ponad ramieniem Franka, wężąc przy tym i pocierając się po brzuchu. – Mmmm, ale ładnie pachnie. Czy to smażona ryba? Ale jestem głodny! Nie zaprosisz mnie?

Frank przepuścił go niechętnie.

– To moja partnerka Karolina i jej córka Emma, a ten

młody to Henryk, syn naszej sąsiadki. A to mój kuzyn Arne – przedstawił sobie wszystkich, zgrzytając zębami.

– Miło mi. – Lara wstała i uśmiechając się, poszła przynieść jeszcze jedno nakrycie. Arne odstawił bagaż, nie spuszczać z niej oczu. Odsunął krzesło obok Emmy.

– Czy tu wolne, panienko?

Emma kiwnęła głową niepewnie i szybko odwróciła wzrok.

Arne przerzucił starą kurtkę przez oparcie krzesła i usiadł.

– Niech zgadnę, wygrałaś go w konkursie piękności – powiedział, wskazując medal na szyi dziewczyny.

Emma potrząsnęła głową zakłopotana.

– Ona nie mówi – wyjaśnił Henryk szyderczo. – Jest niema jak ryba.

– Henryk! – upomniał go Frank z oburzeniem. – Ile razy ci mówiliśmy, że masz tak nie mówić o Emmie!

– Dobrze, dobrze, przepraszam – wymamrotał Henryk i grzbietem dłoni wytarł usta.

– Może ona po prostu komunikuje się za pomocą tajnej mowy, której nie rozumieją mali chłopcy. – Arne puścił oczko do Emmy, a ta odpowiedziała uśmiechem.

Chwilę później Arne wyciągnął z kieszeni ołówek i kawałek papieru, na którym naszkicował karykaturę Henryka i podał ją Emmie pod stołem. Dziewczyna

uśmiechnęła się, lecz nie przyjęła rysunku. Lara zauważyła, że córka odsuwa się trochę od Arne.

– I co, wciąż mieszkasz w Berlinie? – zapytał Frank, założywszy ręce za głowę i odchyliwszy się na krześle. Siedzisko zaskrzypiało.

Lara wzdrygnęła się zaalarmowana, a talerz, który właśnie wyciągała z najwyższej półki, wysliznął jej się z ręki i rozbił na kafelkach.

– Wszystko w porządku? – zatroszczył się Frank.

Odwróciła się z lekko otwartymi ustami.

– W porządku. – Uśmiechnęła się z przymusem. *Spokojnie, przy trzech i pół miliona mieszkańców istnieje małe prawdopodobieństwo, że cię zna.*

Emma pobiegła po zmiotkę.

– Dziękuję, kochanie, poradzę sobie – powiedziała Lara.

Wzięła zmiotkę od Emmy i z twarzą czerwoną jak burak zabrała się do sprzątanía odłamków. Nagle zdało jej się, że w kuchni jest bardzo duszno.

– Jasne, chłopie, znasz mnie. Raz Berlin, zawsze Berlin – ciągnął Arne. – Poza tym wiesz, że wszyscy szaleńcy tam mieszkają.

Lara starała się zachować zimną krew, gdy podawała mu talerz ze smażoną rybą i purée ziemniaczanym.

– Jak twoje malarstwo? – zmienił temat Frank. – Czy

nie opowiadałeś mi kiedyś, że masz własną pracownię?

Arne pochłaniał rybę i ziemniaki z takim apetytem, jakby od wieków nic nie jadł.

– Ach, to... Nie, po tym jak czynsz poszedł w górę, już się nie opłacało – odpowiedział i jadł dalej.

Frank uśmiechnął się sarkastycznie.

– A co z aktorstwem? Podbiłeś już całe Hollywood?

– A wiesz co... – Arne szturchnął resztki ryby, jakby nagle stracił apetyt.

– Jesteś aktorem? – spytała Lara, siadając przy stole. – Moja matka też była aktorką – wymknęło jej się, nim zdążyła ugryźć się w język.

Frank spojrzał na nią sponad talerza.

– Twoja matka? Myślałem, że była dyplomatką?

– No i co? – odparła niewinnie. – To było, jak by to nazwać, bardziej hobby. Od czasu do czasu grała małe role.

Posłała Frankowi wymuszony uśmiech, który jednak szybko zniknął z jej twarzy. Zastanawiała się, jak Arne mógł ją do tego stopnia wyprowadzić z równowagi.

Na szczęście Arne i Frank nie drążyli tematu.

– Cholernie ciężko złapać dzisiaj jakiś angaż w tej branży – rzucił Arne – dlatego podjąłem bardziej stabilną pracę.

– To znaczy? – odchrząknął Frank, nie mogąc sobie

podarować drwiącego uśmiešku.

– Jestem grafikiem. Projektuję strony internetowe, reklamy, ulotki, wszystko, co wpadnie. Ale najlepsze jest to – wskazał czubkiem noża w pierw na Franka, a potem na własną głowę – że wszystko, czego do tego potrzebuję, mam tutaj. I oczywiście w moim laptopie. Jestem sam sobie szefem. Mogę sobie wybierać klientów i pracować, gdzie mi się podoba.

Frank spojrział na niego bez zrozumienia i skrzyżował sztucę na talerzu.

– Wiesz już, jak długo chcesz zostać? – spytał sceptycznie.

– Się zobaczy, nie mam jeszcze konkretnego planu. – Arne wzruszył ramionami, po czym wylizał talerz. – Pamiętasz jeszcze dawne czasy w kółku teatralnym?

Wziął kilka pomidorów z miski, podrzucił je w górę i zaczął nimi żonglować.

Emma i Henryk patrzyli na niego z zachwytem.

– Najlepszą częścią kółka teatralnego były wyjazdy pod namiot – opowiadał dalej. – Pamiętasz, Franky? Byłeś prawdziwym napaleńcem!

Teraz nawet Lara musiała się zaśmiać.

– Wszystko, co przy trzech nie było na drzewie...

– Starczy, Arne! – upomniał go Frank, który ku zdziwieniu Lary wyraźnie się zaczerwienił.

– Nie bądź taki, chłopie. Podasz mi solniczkę?

Frank przechylił się przez stół, wyrwał mu pomidory i odłożył je do miski.

Na korytarzu zadzwonił telefon.

– Odbiorę – wymamrotał Frank i odsunął krzesło. Podczas gdy telefon dzwonił, Frank zatrzymał się w drzwiach i odwróciwszy się, rzucił Arne rozwścieczone spojrzenie. – I przestań mówić do mnie „chłopie”! – Po czym wyszedł, trzaskając drzwiami.

Przy stole zapanowała niezręczna cisza, lecz wkrótce dzieci poczęły chichotać. Nawet Lara dała się tym zarazić.

– Naprawdę przyplynałeś katamaranem? – zapytał Henryk, unosząc na Arne wytrzeszczone oczy. – Zabierzesz mnie na przejażdżkę?

– Jasne...

Chłopczyk spojrzał na sztalugę.

– A obrazki też będę mógł zobaczyć?

Arne odchrząknął, zanim odpowiedział.

– Ach... one nie są jeszcze gotowe. Jak na razie to tylko szkice.

– A co to za obrazki?

– Henryk, daj mu trochę odetchnąć – przerwała Lara, nim Arne zdążył odpowiedzieć.

Frank wrócił do kuchni, lecz jego mina nie zapowia-

dała dobrych wieści.

– Jezu, co się stało? Jesteś blady jak trup! – Lara zerwała się z miejsca. – Dzieci, czy możecie nas zostawić na chwilę?

Emma i Henryk spojrzeli po sobie niepewnie, po czym opuścili kuchnię, a Frank ponownie usiadł przy stole.

– Dzwonili ze szpitala. Moja matka... nadszedł czas, umiera – wyjaśnił beznamiętnie. – Jutro rano wsiądę na pierwszy prom do Ronne.

Lara spoglądała na niego z niepokojem. Zastanawiała się, co zrobić.

– Tak mi przykro, Frank – szepnęła. Obeszła stół i objęła go mocno. Matka Franka musiała zostać na oddziale po wylewie. Mimo że od tego czasu przypięta była do wszelkiego rodzaju aparatury, i tak osiągnęła niebagatelne dziewięćdziesiąt lat. Frank ostatnio coraz częściej zastanawiał się nad śmiercią matki, tak jakby przeczuwał, że zbliża się ten moment. Nie pragnął niczego bardziej niż szybkiego zakończenia jej cierpień.

– Kurczę, Frank – jęknął Arne i podniósł się z krzesła. – Nie wiem, co powiedzieć... Nie znam jej dobrze, ale...

– Nie szkodzi, daruj sobie. – Frank tylko machnął ręką. Arne zamilkł i usiadł.

– Pojadę z tobą – zdecydowała Lara.

Frank energicznie pokręcił głową.

– Dziękuję, Karolina, jesteś kochana, ale nie możemy sobie pozwolić na zamknięcie pensjonatu.

– Ale przecież i tak prawie nie mamy rezerwacji.

– Nie, nie, daj spokój. Wystarczy, że ja wypadam. Gdyby okazało się, że zapowiadana wycieczka jednak się zdecyduje na wcześniejszy przyjazd, nie wiem, jak sobie sama poradzisz. I to na dodatek akurat w wolny weekend Barbary.

– A co ze mną? – zaproponował Arne. – Mogę zamieszkać w pensjonacie i wyrezytować Larę przy dzieciakach. W końcu od czego ma się rodzinę, co nie?

Frank podrapał się po czole, spoglądając to na Larę, to na Arne. Wątpliwości, czy zostawić tych dwoje samych, miał wypisane na twarzy.

Piątek rano, 20 maja...

Poranek był szary i jak na tę porę roku niespodziewanie zimny. Zdawało się, że wiosna zniknęła z wyspy z dnia na dzień, a lato się spóźniało. Arne i dzieci na szczęście jeszcze spali, gdy Lara wymanewrowała starego saaba z garażu, by zawieźć Franka na przystań w Sassnitz. Jechali szosą przez las. Ciemne strzępy chmur zasłaniały niebo, a porywisty wiatr zwiastował sztorm. Lara zamknęła okno w samochodzie.

– Jeśli chcesz, żebym jednak z tobą pojechała, tylko powiedz. – Ujęła partnera za rękę. Frank był nieogolony, a pod oczami miał sine worki. Jakby w ciągu tej jednej nocy postarzał się o całe lata. Głowę oparł o szybę i jedynie cicho mruknął.

Lara wiedziała, że Frank nie chce o tym rozmawiać, mimo że widać było, jak bardzo go ta sytuacja męczy.

– Kochana jesteś – westchnął – ale już o tym rozmawialiśmy. Zostajesz z dziećmi i zajmujesz się pensjonatem. I pamiętaj, że obiecałaś stawić się w moim imieniu na zebraniu mieszkańców. Bo jak nie...

– Tak, rozbudowa drogi dojazdowej, wiem – odparła.

– Przecież nie muszę ci chyba tłumaczyć, jak wyglądają nasze finanse i jak ważna dla nas jest ta droga!

Przytaknęła jedynie i przez chwilę panowała między nimi nieprzyjemna cisza. Drzewa uginały się pod naporem wiatru. Znak, że zbliża się sztorm.

– Barbara jest tego samego zdania – burknął Frank.

Lara spojrzała na niego zdziwiona.

– Barbara? Barbara Linz? – Poczowała się jak spoliczkowana. – Od kiedy rozmawiasz z gospodynią o naszej sytuacji finansowej?

– Daj spokój – sapnął, przewracając oczami. – Wyobraź sobie, że mam teraz inne rzeczy na głowie.

Wciąż lekko zdenerwowana kobieta wbiła wzrok

w drogę. W samą porę, bo na jezdnię zwała się potężna gałąź. Lara szarpnęła za kierownicę, wcisnęła hamulec i parę metrów dalej zatrzymała pojazd z piskiem opon.

Spojrzeni na siebie przestraszeni.

– Wszystko w porządku? – spytał Frank przerażony.

Lara gwałtownie wciągała powietrze i pokiwała głową.

– Zdaje się, że tak. O włos i byłaby katastrofa.

– Widzisz, co się dzieje, jak się kłócimy. – Frank ujął ją za rękę. – Pan Bóg widzi wszystko.

Lara zmarszczyła czoło, ale odwzajemniła uśmiech.

– Masz rację.

– Może teraz ja poprowadzę? – zapytał Frank troskliwie.

– Nie, nie... wszystko w porządku. – Po tym jak ochłoneła z pierwszego szoku, zapaliła silnik i ostrożnie pojechała dalej.

Gdy dotarli do przystani, prom właśnie przybił i wypluł na brzeg hordy turystów z kolorowymi parasolami. Niektórzy z nich spędzali na Rugii tylko weekend, inni zostawali na całe wakacje.

Lara oparła głowę na ramieniu Franka i odprowadziła go do samego promu.

Na końcu nabrzeża pożegnali się namiętym pocałunkiem.

Wiatr zawiewał Larze włosy w twarz, gdy machała na pożegnanie. Wreszcie Frank na dobre zniknął wśród kolorowego tłumu, MS „Hammerodde” odbił punktualnie o wpół do ósmej.

Lara uniosła torebkę nad głowę, by uchronić się przed deszczem, i pomknęła z powrotem do samochodu. Na ulicach widać było już szkody wyrządzone przez nadciągający sztorm. Lara koncentrowała się na jeździe. Ominięcie połamanych gałęzi było nie lada wyzwaniem. Wycieraczki toczyły zaciekły bój z kroplami deszczu zbierającymi się na przedniej szybie. Kobieta zwolniła, gdy przy trzydziestu na godzinę zauważyła autostopowicza na poboczu.

Ciemnowłosa mężczyzna w podartych džinsach był przemoczony do suchej nitki. *Przeziębi się na śmierć.* Zatrzymała się, chociaż instynkt kazał jej jechać dalej. Mężczyzna zajął miejsce z przodu, uśmiechając się krzywo. Dopiero teraz spostrzegła, że jego twarz i dłonie pokryte były małymi zaropiałymi krostkami. Lara z trudem odwróciła wzrok i ruszyła dalej.

– Pierwszy raz na Rugii? – zapytała po chwili, bardziej dla przełamania niezręcznej ciszy niż z autentycznej ciekawości.

Autostopowicz gapił się bez słowa na kierownicę, którą Lara ścisnęła tak mocno, że pobieleły jej kłykcie. W końcu potrząsnął przecząco głową.

– Gdzie mam pana wysadzić? – zapytała po kolejnej minucie milczenia.

Mężczyzna, nie patrząc w jej stronę, wyciągnął z kieszeni kawałek papieru, na którym zanotowany był adres sklepu ze sprzętem myśliwskim.

Lara kiwnęła głową i spojrzała ponownie na ulicę, a zaraz potem dostrzegła kątem oka, że mężczyzna sięga do plecaka.

Co on zamierza, do cholery?

Puls jej przyśpieszył. Nagle zauważyła migające światła ciężarówki zbliżającej się z naprzeciwka.

To był Harald Linz, członek rady nadzorczej ochotniczej straży pożarnej w Lohme i mąż Barbary Linz. Ten brodaty mężczyzna z kręconymi rudymi włosami zarabiał na życie jako przewodnik po skałach wapiennych lub oprowadzaniem wycieczek po parku krajobrazowym przy Königsstuhl. Ostatnimi czasy jednak bardziej zapadł turystom w pamięć z powodu smrodu alkoholowego i lekko chwiejnego kroku niż obszernej wiedzy o historii wyspy.

Lara nigdy nie miała o nim dobrego zdania, lecz gdy się zatrzymał, bardzo się ucieszyła na jego widok.

– Wszystko w porządku? – krzyknął Linz przez uchylone okno ciężarówki.

Lara opuściła szybę i wychyliła się tak mocno do przodu, że musiał zauważyć autostopowicza siedzącego za nią.

– Tak. Czemu pan pyta? – odkrzyknęła do niego.

– Tak tylko. W masarni Grubera woda zalała całą piwnicę. Cholerny sztorm! Jakby co, to niech pani dzwoni. I niech pani dopilnuje, żeby w pensjonacie były zamknięte wszystkie drzwi i okna!

– Tak zrobię! – Nagle jakby znikąd minęła ich cysterna z mlekiem, pędząca z prędkością, która przy tej pogodzie zakrawała na samobójstwo, i na krótką chwilę przysłoniła im widok.

– I niech pani zamknie drzwi! – krzyknął jeszcze Linz, po tym jak cysterna zniknęła w oddali.

– Jakie drzwi?

– Te od strony pasażera!

Lara gwałtownie odwróciła głowę. Drzwi od strony pasażera były otwarte, a tajemniczy autostopowicz zniknął. Zdezorientowana zmarszczyła brwi i przez chwilę siedziała bez ruchu, nim przechyliła się i je zamknęła.

– Widział pan, dokąd on poszedł? – zapytała Linza.

– O kim pani mówi?

– O autostopowiczu oczywiście, przecież siedział tu jeszcze przed chwilą koło mnie!

Linz podrapał się po głowie, spoglądając nieufnie.

– Przykro mi, pani Wöhler, nikogo tam nie widziałem.

Lara otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. *Co tu się dzieje, do diaska?* Zdezorientowana po-

kręciła głową i pożegnała się z Linzem.

Spoconymi rękoma przekręciła kierownicę i wjechała ponownie na jezdnię, kierując się w stronę pensjonatu. Miała niedobre przeczucie.

Później tego samego dnia...

Wiatr podwiewał rękawy jej płaszcza, gdy wyjmowała zakupy z bagażnika saaba. Zamknęła bramę wjazdową.

Sztorm przeminął, lecz na najbliższe dni zapowiadano jeszcze jeden, o wiele cięższy. Dla mieszkańców Lohme, leżącego na północnym skraju wyspy, oznaczało to, że przez następne kilka dni mogą być zupełnie odcięci od świata. Dlatego Lara spędziła większość czasu na robieniu zakupów i załatwianiu ważnych spraw. Wieczorem głosowała na zebraniu za budową nowej drogi dojazdowej, tak jak obiecała Frankowi. Miała nadzieję, że uda jej się przed zmrokiem dotrzeć do domu i do Arne z dziećmi, lecz spotkanie było co najmniej burzliwe, a mimo niekończących się dyskusji nie podjęto żadnej jednoznacznej decyzji.

Emma i Henryk na pewno świetnie się bawili z Arne – powiedziała sobie w duchu, mając nadzieję, że dzieciaki poszły spać w miarę wcześnie.

Jeśli miała być szczerą, to nawet się cieszyła z obecności Arne. Jego swobodny sposób bycia trochę rozluźniał napiętą atmosferę w pensjonacie.

Lara po cichu otworzyła drzwi, zdjęła buty i wniosła zakupy do kuchni. *Cholera!* – przeklęła w duchu, gdy prawie się potknęła o deskorolkę Henryka.

Na paluszkach wspięła się po skrzypiących schodach na pierwsze piętro, gdzie spały dzieci. Zawiasy skrzypnęły zdradziecko, gdy Lara otworzyła drzwi do pokoju Henryka. Chłopaka nie było. Poirytowana poszła do pokoju po drugiej stronie. Oblepione świecącymi gwiazdami łóżko Emmy również okazało się puste. Na pościeli leżał iPod córki, bez którego normalnie dziewczynka nie ruszała się z domu. Lara odchyliła pościel. Na środku łóżka widniała plama krwi wielkości dłoni.

Święty Boże!

Nagle zalały ją wspomnienia dawnych wydarzeń. Lara pobiegła do pokoju, w którym miał spać Arne.

– Arne! – Szarpnęła za klamkę z taką siłą, jakby chciała ją wyrwać, lecz drzwi były zamknięte. *Co, do jasnej cholery...?!*

Potem spostrzegła przez okno na korytarzu, że brama do lasu stoi otworem.

Nie!

Zdyszana zbiegła do recepcji, by zadzwonić po Berndą Petzolda, komisarza posterunku policji w Sassnitz. Ręka zdrętwiała jej od ściskania słuchawki, gdy czekała na zgłoszenie się policjanta.

– Tak... Petzold, słucham. – Po głosie poznała, że

pewnie wyrwała funkcjonariusza ze snu. Opowiedziała mu wszystko, co się wydarzyło, a policjant obiecał, że natychmiast uda się do pensjonatu.

Jak tylko Lara odłożyła słuchawkę, chwyciła latarkę i pobięła do psiarni.

– Chodź, Hektor! – Poklepała się po udzie, dając owczarkowi znak, że ma iść z nią. Stary pies nie byłby w stanie przegonić nawet jednonogiego, ślepego bandyty, ale działał dobrze jako odstraszcacz.

Przy stłumionym blasku latarki Lara ruszyła po wąskiej ścieżce w stronę lasu. Nagle się zatrzymała. W oddali usłyszała krzyki, jakby płacz dziecka lub wycie rannego zwierzęcia, które zaraz ucichły.

– Emma?! Henryk?! – wołała w kółko, lecz jej krzyki ginęły w ciemności nocy. Potykając się, szła przez krzaki, rozglądając się na wszystkie strony, lecz wokół panował mrok. Zmusiła się, by iść dalej, aż w końcu natrafiła na wysoki druciany płot. Musiała dotrzeć aż do kamieniołomu.

Upadła na kolana, próbując złapać oddech. Gdy uspokoila się na tyle, by zacząć myśleć, dotarło do niej, co właściwie uczyniła. Zostawiła Emmę i Henryka z kimś zupełnie obcym! Jak mogła być tak naiwna!

Słabe światło latarki przemykało po upiornych, rozchwianych wiatrem koronach drzew.

Nagle spostrzegła, że stary owczarek zniknął.

– Hektor...? – Lecz wokoło słychać było jedynie szum liści i gwizdanie wiatru.

Nie mogła pozbyć się wrażenia, że nie jest sama. Wstała i pobiegła w kierunku, z którego przyszła. Zbudowane stare gałęzie skrzypiały pod jej stopami. Nagle coś złapało ją za prawą stopę. Przewróciła się i poczuła straszliwy ból. Wpadła w potrzask. *Potrzask na zwierzynę*. Na szczęście metalowe szczęki złapały ją jedynie za piętę i po krótkiej szamotaninie Larze udało się wyrwać.

Kiedy kuśtykając, podjęła wędrówkę, usłyszała za sobą trzask łamanych gałęzi. Coś pędziło na nią spośród krzaków. Lara odwróciła się...

Hektor!

Owczarek zatrzymał się, dysząc ciężko. Lara chwyciła go za obrożę i pociągnęła za sobą, omijając potrzask w bezpiecznej odległości.

Po wyjściu z lasu dostrzegła światło w jednym z okien pensjonatu. W otwartych drzwiach widać było sylwetki trzech mężczyzn. Gdy podeszła bliżej, rozpoznała Berndta Petzolda i jego młodszego kolegę oraz Arne. Na plecach tego ostatniego siedział Henryk. Za nimi w głębi korytarza stała Emma. *Wygląda na to, że wszyscy mają się dobrze* – odetchnęła z ulgą Lara.

– Taa... Wygląda na to, że to fałszywy alarm – powiedział Petzold na powitanie. Mężczyzna koło pięćdziesiątki, z rzadkimi siwymi włosami należał do tego rodzaju

policjantów, którzy lubili bawić się w szeryfa, dopóki nie musieli przy tym brudzić sobie rąk.

Lara, zdyszana jak po biegu maratońskim, odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na Arne z gniewem.

– Czyś ty oszalał?! Gdzieś ty się podziewał o tej porze z dziećmiakami!?

– Nie mogli spać, więc spontanicznie wybraliśmy się na nocny spacer – odpowiedział nonszalancko. – Chcieliśmy pooglądać fajerwerki z wybrzeża... – Zaśmiał się. – Powinnaś była zobaczyć, jak Henryk...

– Fajerwerki? – przerwała mu Lara z niedowierzaniem. – Cholera, Arne! – Uniosła ręce oburzona. – Co ty sobie wyobrażasz! Przebiegłam pół lasu, myśląc, że dzieciom coś się stało!

To, co naprawdę przyszło jej do głowy, zatrzymała dla siebie.

– Wszystko w porządku, córeczko? – zapytała Emmę, lecz dziewczynka spojrzała na nią dziwnie zawstydzona i pobiegła na górę. – Emma, zaczekaj! – Lara dogoniła ją w korytarzu i złapała za ramię. – Coś przede mną ukrywasz, chcę wiedzieć, co tu się dzieje! Skąd się wzięła krew w twoim łóżku?

Emma odwróciła wzrok i zaczerwieniła się, a Lara zrozumiała nagle, że jej obawy były zupełnie nieuzasadnione. To była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Emma dostała pierwszego okresu.

Napięta mina Lary przerodziła się w ciepły uśmiech.

Pogłaskała córkę łagodnie po głowie, lecz Emma po-
biegła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

Cholera!

– Nie miałem pojęcia, że tak się wkurzysz małym
nocnym spacerem – zawołał Arne, który pozostał
w drzwiach obok policjantów. – Tak jakby w tej wiosce
mogło się coś stać...

– Właśnie, Arne jest fajny! – krzyknął Henryk i zszedł
z jego pleców.

– Zmykaj do łóżka, młody człowieku! – syknęła Lara,
biorąc się pod boki. – I sprzątnij w końcu swoją cholerną
deskorolkę z korytarza! – Nie chciała na niego nakrzyczeć,
po prostu tak wyszło.

Henryk spojrzał na Arne.

– No już, kolego – powiedział Arne. – Zrób to, co każe
pani Wöhler.

– No dobra... – Chłopiec krnąbrnie pobiegł po scho-
dach do swojego pokoju.

– Wygląda na to, że nie jesteśmy już potrzebni – od-
chrząknął Petzold naburmuszony i skrzyżowawszy ręce na
piersi, spojrzał na swojego kolegę.

Lara najchętniej zapadłaby się pod ziemię ze wstydu.

– Naprawdę mi przykro, ale... Ale myślałam...

– Powinno być pani przykro – przerwał jej Petzold. –

I jak jeszcze raz wyrwie mnie pani z łóżka, to mam nadzieję, że będzie pani miała ku temu poważny powód – nie próbował nawet ukryć cynizmu w głosie.

Nie znalazłszy żadnej odpowiedzi, Lara wzięła głęboki wdech.

– I tak dobrze wiedzieć, że w razie czego można na panu polegać – wtrącił się Arne i poklepał Petzolda przyjacielsko po ramieniu. Lara popatrzyła na obu. Gdyby nie wiedziała, mogłaby przysiąc, że tych dwóch znało się od dawna.

– Nie ma sprawy – odpowiedział policjant niespodziewanie przyjaźnie. Pożegnawszy się skinieniem głowy i krótkim: „Dobranoc wszystkim”, skierował się do swojego srebrnego opla astry. Lara o mało nie straciła nad sobą panowania, patrząc, jak wychodzi.

Młody kolega Petzolda, który wyglądał bardziej jak dziecko niż jak dorosły mężczyzna, uśmiechnął się do niej przepaszająco.

– Stary niedźwiedź nie mówił tego na serio – zapewnił, gdy Bernd Petzold znalazł się poza zasięgiem słuchu.

– Brzmiało, jakby mówił całkiem serio.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się – wyciągnął dłoń – Borys Lerchien.

Lara odwzajemniła uścisk.

– Karolina Wöhler.

Uśmiechnął się.

– Wiem. Proszę nie przejmować się tym, co mówi Petzold. Kilka lat temu odeszła od niego żona. Niektórzy twierdzą, że nigdy sobie z tym nie poradził.

Lara zastanawiała się, dlaczego funkcjonariusz jej to mówi, ale nie zadała tego pytania na głos.

– Kazał się przenieść na Rugię właśnie z powodu tej sprawy z żoną. Mimo to... jak by to powiedzieć... nie całkiem nad sobą panuje.

Lara nagle zaczęła słuchać uważniej.

– Z jakiego miasta kazał się przenieść?

– Nie mam pojęcia.

– Hej, młody, jak tam zapuścisz korzenie, to możesz iść do domu pieszo! – krzyknął Petzold opierający się o maskę samochodu.

Borys skinął Larze na pożegnanie i pośpieszył do auta.

Drzwi wozu trzasnęły trochę zbyt głośno.

Lara patrzyła z mieszanymi uczuciami na odjeżdżających policjantów. Jeszcze nim zniknęli w oddali, Arne odwrócił się do niej z westchnieniem.

– Karolina, ja...

– Zostaw mnie! – Wściekła pokuśtykała do domu.

Berlin, przeraźliwie zimna noc listopada 1979 roku...

Andreas von Bulów nienawidził urodzin, a szczególnie źle miały zapaść mu w pamięć te osiemnaste. Wiedział, że Ronnie, Komar i Ben przygotowują coś specjalnego na tę okazję, ponieważ za każdym razem, gdy do nich podchodził, przestawali rozmawiać. A przecież Andreas nie znosił niespodzianek, nieprzewidzianych sytuacji, których nie mógł ani uniknąć, ani kontrolować.

Oczywiście wiedział, że chłopacy mają dobre zamiary, gdy wręczali mu prezent przy obowiązkowej flasce szampana i paczuszce trawy w ciemnej spelunie. Dostał czerwono–niebieską baseballówkę drużyny Red Sox. Podała mu się, lecz przeczuwał, że to nie będzie jedyny prezent, jaki otrzyma tej nocy, i sama myśl o tym, co miało nastąpić, zapierała mu dech.

Z szerokimi uśmiechami chłopacy stwierdzili, że to jeszcze nie wszystko. Ze czekała na nich jeszcze niespodzianka imieniem Maria.

Maria Strittmeier była typową szkolną pięknoscią. Wysoka, z ładnym uśmiechem i długimi blond włosami opadającymi na wydatny dekolt. Gdyby organizowano wybory miss szkoły, ona z pewnością by je wygrała.

Jednak zupełnie nie odpowiadała ideałowi, który Andreas od najmłodszych lat tworzył w wyobraźni.

W przeciwieństwie do kolegów z klasy chłopak nie wykazywał żadnego zainteresowania dziewczynami w swoim wieku. Nie składował magazynów porno pod łóżkiem i nie miał ochoty wsadzać dziewczętom ręki pod bluzkę na prywatkach.

Zanim zdążył zaprotestować, na scenie pojawiła się Maria. Miała na sobie jedynie sznur pereł i kawałek szmatki udający sukienkę, który ledwo zakrywał najważniejsze części jej ciała. Przy ryczącej publiczności zaśpiewała dla Andreasa „Sto lat”.

Zaczerwienił się.

Maria natomiast podeszła do niego z zadziornym uśmiechem na czerwonych ustach, ignorując resztę chłopaków, którzy poderwali się z miejsc, skandując i bijąc brawo.

Ponieważ Maria należała do tych kobiet, które nie mogły sobie wyobrazić, że jakikolwiek mężczyzna mógłby się nimi nie interesować, Andreas był teraz dosłownie przyparty do ściany. Podczas gdy Maria ocierała się o niego kocimi ruchami, Ronnie stukał go palcem w zębra.

– Andy, co to za mina? Dzisiaj świętujemy! – Podał mu skręta. – Masz, pociągnij sobie porządnie!

Do tego Andreas nie potrzebował zachęty. Tym bardziej nie wtedy, kiedy Maria wyciągnęła z torebki klucz do mieszkania i pomachała nim znacząco przed jego nosem.

– Moi rodzice wyjechali – szepnęła – więc mamy całą

chatę dla siebie...

Andreas przełknął ślinę. Publiczność krzyczała i skandowała, a Ronnie szepnął mu do ucha:

– Tylko nie opowiadaj mi jutro w szkole, że jej nie przeleciałeś.

Andreas zmusił się do uśmiechu, przełknął kolejnego cuba libre i w duchu pomodlił się, by ten wieczór wreszcie się skończył.

Na szybę czarnego mustanga padały grube płatki śniegu. Andreas, który dopiero niedawno zdał na prawo jazdy, uświadomił sobie, że musi wejść do Marii choćby tylko na drinka – tyle był winien chłopakom. Tym bardziej że nie chciał, aby potem w szkole nazywano go ciotą!

Domek jednorodzinny rodziców Marii położony był na obrzeżach wytwornej dzielnicy Grunewald. Andreas zaparkował mustanga na pustym podjeździe przed garażem, założył nową czapkę i dyskretnie rozejrzał się, nim wysiadł z samochodu. W okolicznych domach nie paliło się światło. Wyglądało na to, że poza jednym bezdomnym dziadem pchającym wózek sklepowy, pełen pustych butelek i plastikowych siatek, wzdłuż ciemnej uliczki ku brzegowi nikogo nie było w pobliżu.

Obok schodów prowadzących do domu stał kamienny posąg greckiej bogini. Andreas zastanawiał się, co za ludzie wstawiają sobie taki chłam do ogrodu. Maria cicho otworzyła drzwi.

Nie zapaliła światła, zdjęła chłopakowi kurtkę i pociągnęła go przez korytarz do salonu. Suche powietrze pachniało jedzeniem i Andreasowi po raz kolejny zabrakło tchu. Mimo że każda część jego ciała wzbraniała się, pozwolił Marii wmanewrować się po ciemku na skórzaną kanapę, która zaskrzypiała cicho pod jego ciężarem. Dziewczyna zapaliła kilka świeczek. Wyglądało na to, że dokładnie wie, co robi, lecz Andreas myślał jedynie, jak uciec przed tym, co miało niebawem nastąpić.

Jak uciec bez przelewu krwi.

Maria nastawiła jakąś smętną, romantyczną balladę. Andreas gapił się tępo w miniaturową rzeźbę jakiejś bogini, mając nadzieję, że ześle mu ona jakiś pomysł, który wyprowadzi go z tej idiotycznej sytuacji. Lecz bogini na stoliku milczała.

Kątem oka dostrzegł, że Maria kołysze kształtnymi biodrami do muzyki, powoli ściągając ramiączka małej czarnej i odsłaniając czarny koronkowy stanik.

Andreas poczuł, jak zbiera mu się na wymioty – na jej widok robiło mu się niedobrze!

Desperacko próbując zyskać na czasie, wygrzebał z kieszeni zawiniątko z trawą i zaczął robić sobie skręta na stoliku obok kanapy. Dziewczyna zdejmowała kolejne części garderoby. Zsunęła majtki, głupie samonośne pończochy, aż w końcu stanęła przed nim całkiem naga.

W blasku świeczek przyglądał się jej pełnym piersiom,

kształtnym biodrom i obnażonemu sromowi, ale odczuwał jedynie obrzydzenie.

– Co jesteś taki nieśmiały? – Maria posłała Andreasowi uwodzicielski uśmiech i usiadła obok na kanapie. – Wyluzuj, moi rodzice dopiero jutro wracają z urlopu.

Chłopak miał nadzieję, że po ilości drinków, jakie wcześniej wypija, będzie już nieprzytomna, ale chyba dziewczyny nie docenił.

Andreas podał jej skręta. Zaciągnęła się głęboko kilka razy, lecz bez oczekiwanego efektu. Maria nie zdradzała żadnych oznak zmęczenia i zanim się spostrzegł, siedziała mu na kolanach.

– Teraz jesteś mój – zaśmiała mu się do ucha.

Gdy zbliżyła usta do jego i zsunęła ręce do jego spodni, zerwał się na równe nogi.

– Co jest? – zapytała, patrząc na niego, jakby właśnie ją spoliczkował.

Zdezorientowany złapał się za brzuch.

– Zaraz wracam!

Maria, która wpierw interpretowała jego zachowanie jako nieśmiałość, uśmiechnęła się domyślnie.

– Łazienka dla gości jest na końcu korytarza.

Andreas pobiegł tam i zatrzasnął za sobą drzwi.

Ciota! – słyszał głosy chłopaków ze szkoły. *Ciota!*
Ciota! Ciota!

– Wszystko w porządku? – usłyszał głos dobiegający z salonu.

– Już idę! – odpowiedział z łazienki. Wziął głęboki wdech, nim otworzywszy drzwi, wyszedł do ciemnego korytarza.

– Masz coś przeciwko, że wypijemy jeszcze jednego drinka? – krzyknął w stronę salonu.

– No dobrze, ale wracaj szybko!

Andreas zapalił światło w kuchni i rozejrzał się uważnie. Na blacie kuchennym nie znalazł tego, czego szukał. Wyciągnął jeden z noży z bloczka, lecz nagle się zawahał. To był po prostu pierwszy lepszy nóż kuchenny. Nie dorównywał jego nożowi rzeźnickiemu, którym ostatnio obdarł kota sąsiadów żywcem ze skóry. Tego wieczoru wszystko poszło nie tak. Andreas czuł się jak jakiś amator!

Z odrazą odłożył nóż na miejsce. Nic z tego, co dzisiaj zrobił, nie odpowiadało schematowi, jaki sobie wypracował, a to rozwścieczało go jeszcze bardziej niż żalosne zaloty ze strony Marii.

No dalej, nie zachowuj się jak ciota i dokończ to! Zrób to, zrób to w końcu, do jasnej cholery!

– Co tak długo? – usłyszał z salonu.

– Już idę! – zawołał. Tysiące myśli krążyło mu po głowie. To była jedynie kwestia czasu, zanim Maria zacznie z niego drwić. *Ciota! Ciota! Ciota!* – krzyczały głosy

w jego głowie.

Andreas podrapał się po skroni, chodząc tam i z powrotem. Może powinien po prostu zabrać swoje rzeczy i wyjść? Ale wtedy nie będzie mógł się pokazać w szkole.

– Szukasz czegoś konkretnego? – zapytała Maria, która niespodziewanie pojawiła się w drzwiach kuchennych.

Andreas wzdrygnął się.

– Korkociągu... nie znalazłem żadnego.

Chwyciła butelkę i zaśmiała się głośno.

– Szukasz korkociągu do butelki na zakrętkę?

Poczuł, jak krew napływa mu do policzków.

Wciąż śmiejąc się, wzięła butelkę, po czym chwyciła Andreasa za rękę i zaciągnęła z powrotem do salonu. Nie stawiał żadnego oporu. Pozwolił jej robić, co chciała. Maria rozpięła mu spodnie i ściągnęła bokserki aż do kolan.

Andreas spał się, gdy Maria klęknęła przed nim i wilgotnymi ustami poczęła masować jego wiotką męskość.

W uszach słyszał pisk, który po chwili minął. Zmrużył oczy, gdy mimo woli spojrzął na statuetkę z brązu stojącą na stoliku obok kanapy. Nie była nawet w połowie tak elegancka jak jego nóż rzeźnicki, ale chrzanić zasady!

Podczas gdy Maria się rozkręcała, upewnił się, że za-

słony w oknach są zaciągnięte. Następnie chwycił za statuetkę i uderzył. Walił raz po raz, aż dziewczyna w końcu upadła nieprzytomna. Jej usta poruszały się, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Drgnęła kilkukrotnie, a krew wypływała z rany w jej głowie i wsiąkała w jasną wykładzinę.

Potem przestała się ruszać.

Andreas sprawdził jej puls, by upewnić się, że nie żyje. Nic. Chłopak wziął głęboki oddech i usiadł na kanapie.

I co teraz? Popatrzył na Marię, wyglądała niczym lalka rzucona na podłogę. Nagle z korytarza odezwał się telefon. Andreas aż podskoczył. Telefon zadzwonił jeszcze dwukrotnie, po czym włączyła się automatyczna sekretarka.

„Tu numer rodziny Strittmeier. Niestety, nie ma nas w domu. Proszę zostawić wiadomość, a na pewno odzwonimy”.

Po sygnale rozległ się niski głos mężczyzny, pasujący do kogoś pod trzydziestkę:

– Cześć, siostra. Niespodzianka! Olałem wykład w Monachium i już dzisiaj przyjadę z powrotem do Berlina. Jak jesteś w domu, to możemy razem pobalować, dopóki nie ma rodziców... Halo? Maria? Hm... no cóż, nieważne, i tak mam klucz, więc za około dwadzieścia minut będę w domu!

Zimny dreszcz przeszył Andreasa. Chłopacy wiedzieli, że spędzi dzisiejszy wieczór z Marią, i nie trzeba było

detektywa, by zrozumieć, że to czyniło z niego głównego podejrzanego.

Pora obmyślić jakiś plan.

Musiał coś wymyślić. Teraz! Tutaj! Natychmiast!

Rugia. Dzisiaj...

Na kilka godzin przed wschodem słońca w domu panna spała spokojnie. Lara przewracała się z boku na bok na pustej stronie łóżka, po której zawsze sypiał Frank. Zanim wskazówki budzika pokazały kolejną pełną godzinę, wstała i założywszy szlafrok, zeszła do kuchni.

Nie zapalając światła, podeszła do lodówki. Wtedy zorientowała się, że nie jest sama. Puls jej przyśpieszył. Błyskawicznie chwyciła ze stołu nóż do chleba, odszukała włącznik światła i odwróciła się gotowa do walki.

– Święty Boże! – Odetchnęła z ulgą, po czym opuściła nóż. – Naprawdę wiesz, jak przestraszyć kogoś na śmierć!

Arne siedział przy stole, przed nim stał kieliszek czerwonego wina i talerz owczego sera. Mężczyzna miał zaczerwienione oczy i Lara dostrzegła, jak raz po raz zaciera ręce.

– Czemu siedzisz tu po ciemku? – Odłożyła nóż, sięgnęła do lodówki i pociągnęła duży łyk soku pomarańczowego prosto z opakowania.

– Nie mogłem zasnąć – usłyszała, czując na sobie badawczy wzrok. Odstawiła sok na półkę i zamknęła drzwi. Gdy się odwróciła, przeszedł ją dreszcz. Arne pojawił się nagle tuż za nią i przyglądał jej się błyszczącymi oczami.

– No to jest nas już dwoje – wydukała Lara, próbując zamaskować zmieszanie. – Też nie mogłam spać.

– Karolina, proszę, musisz mi uwierzyć! Naprawdę bardzo mi przykro!

– Przykro ci? Przykro ci, że mało nie dostałam zawału, bo moja córka w środku nocy zniknęła bez śladu? Przykro ci, bo nawet nie zostawiłeś wiadomości, nie mówiąc o tym, że mogłeś zadzwonić?

Arne przeczesał palcami włosy.

– Cholera, Karolina, przecież nawet nie znam twojego numeru! – Wyjął drugi kieliszek z szafki i nalał jej trochę merlota, którego niedawno otworzył. – Proszę, usiądź chociaż na chwilę – poprosił i spojrzał na nią ze skruchą.

Lara westchnęła i usiadła przy stole.

– Po prostu nie pomyślałem, rozumiesz? – Zajął miejsce naprzeciwko niej. By nadać swoim słowom znaczenia, zakręcił ręką młynka, przewracając przy tym butelkę z winem, którą Larze udało się w ostatniej chwili złapać. – Słuchaj, Henryk koniecznie chciał iść nad morze, żeby obejrzeć fajerwerki nad torem wyścigowym – wyjaśnił ze skruchą – a że ciebie ciągle jeszcze nie było... to

pomyślałem, czemu nie, i...

– Chłopak zawsze wiedział, jak owinać sobie mieszczuchów wokół palca – przyznała Lara. – Zna wyspę jak własną kieszeń i wie dokładnie, że stąd nie da się dostrzec Bad Doberan. To w zupełnie innym kierunku. Wykiwał cię – jej ton złagodniał nieco.

– Rozumiem – przytaknął Arne łagodnie i pokręcił głową. – To wszystko moja wina... Zjawiam się znikąd i nie mam nic lepszego do roboty, niż po raz kolejny zaprezentować się z najgorszej strony.

Jednym łykiem opróżnił kieliszek, po czym nalał sobie i Larze, która nie zdążyła wypić nawet pół lampki.

– Widać mam talent do tego, żeby zrażać do siebie ludzi. Zawsze potrafiłem wszystko zniszczyć... – Kiedy ponownie sięgnął po butelkę, niechcący dotknął jej dłoni. – Uwierz mi, Karolina, czuję się jak najgorszy idiota!

– JESTEŚ idiotą – odpowiedziała, skrywając uśmiech. Zrobiło jej się go trochę żal. Wzruszyła ramionami. – No cóż. – Podniosła kieliszek. – Za...

– Za ciebie! – dokończył szybko i podczas gdy pili, napięcie malujące się na twarzy Arne zastąpił wyraz ulgi. Oparł łokcie na stole i przyglądał się Larze pochylony do przodu. – Nie jesteś stąd, prawda?

Lara spojrzała na niego sponad kieliszka.

– Co masz na myśli?

Rozłożył ręce.

– W każdym razie nie pochodzisz stąd. Widać po tobie od razu...

– Co widać? – dopytywała, uśmiechając się niepewnie.

Arne podniósł dłoń, ale zaraz ją opuścił.

– Wiesz co, zapomnij o tym...

Lara popijała wino i przyglądała mu się z ciekawością.

– Nie, nie, jak zacząłeś, to dokończ. Co masz na myśli?

Przekrzywił głowę i zaczął bawić się kieliszkiem, by nadać swoim słowom więcej głębi.

– Myślę, że jesteś kobietą, która oczekuje od życia więcej niż tylko tego, co oferuje ta nudna wyspa. – Zaśmiał się. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale mój kochany kuzyn też nie jest kimś, kogo można by nazwać duszą towarzystwa, prawda? – Ponownie spróbował dotknąć jej ręki, lecz Lara się odsunęła.

– A jeśli mi się tu podoba? – Złościło ją, że Arne po raz kolejny próbuje ją wypytywać.

Na jego ustach zagościł ironiczny uśmiech.

– Jasne, skoro tak twierdzisz...

Lara zastanawiała się, czy ten mężczyzna jest bezczelny, czy po prostu za dużo wypił. Dokończyła swoje wino, lecz nic nie odpowiedziała. Przywoływała w pamięci

słowa Franka, który wyraźnie ostrzegął ją przed kuzynem. Ten jakby odruchowo rozpiął guzik swojej koszuli, spod której wystawały cienkie niczym druciki włosy.

– Jeszcze wina? – zapytał po chwili milczenia.

– Nie, dziękuję – odmówiła Lara, próbując powstrzymać ziewanie. I tak już zbyt długo siedziała z nim w kuchni, poza tym zaczęła odczuwać pierwsze skutki alkoholu. Nagle zrobiło jej się nieswojo i strasznie sennie.

Mimo jej odmowy Arne rozlał resztkę trunku do obu kieliszków. Przechylił się przy tym tak mocno, że prawie zetknęli się czubkami nosów.

– Czy mi się wydaje, czy próbujesz ze mną flirtować?
– spytała Lara.

Oparł się wygodniej na krześle i potarł opuszki palców.

– A miałbym szansę?

Roześmiała się.

– Ale jesteś pewien swego...

– Zdziwiona?

Przewróciła oczyma. Po raz pierwszy zauważyła, jak błękitne były jego oczy, prawie nienaturalne, jakby nosił szkła kontaktowe.

Zamrugął.

– Założę się, że już dawno tyle się nie śmiałaś co przez te ostatnie kilka dni.

Odgarnęła kosmyk z twarzy i zawiązała ciasniej szlafrok, zdając sobie sprawę z własnego wyglądu. Jej rozczochrane włosy i blada, nieumalowana twarz musiały sprawiać okropne wrażenie. Nagle znowu ogarnęła ją przemożna senność.

– Karolina...? – głos Arne dobiegał jakby z daleka. Przetarła oczy, co trochę pomogło. Przyłapała się na tym, że gapi się na jego pierś. Nad lewym sutkiem miał wyblakły tatuaż – trupia czaszka, a obok jakiś napis, którego nie potrafiła odczytać. *Imię?* Zauważywszy to, Arne prędko zapiął koszulę, a Lara odwróciła wzrok.

– Chyba pójdę już do łóżka. – Wstała od stołu.

– Jesteś pewna?

– Jestem.

– No to spokojnych snów... – Nachylił się nad stołem i spróbował pocałować ją w usta. Lara zareagowała ze zbyt dużym opóźnieniem, lecz udało jej się uchylić.

Gdy zamykała za sobą drzwi, usłyszała ciche prychnięcie. Już na schodach poczuła dziwną suchość w ustach. Zdawało jej się, że język ma przyklejony do podniebienia. *To wino. Mój Boże, to wino...* Nagle zrobiło jej się gorąco. Ledwo mogła utrzymać się na nogach, nie mówiąc o myśleniu. Zataczając się, powlokła się do sypialni, gdzie opadłszy na łóżko, zasnęła i przespała ostatnie godziny nocy.

Sobota, popołudnie 21 maja...

Lara siedziała na huśtawce w cieniu werandy i przeglądała łamy „Ostseezeitung”, gdy nagle natrafiła na artykuł.

Trzy osoby zginęły w pożarze dyskoteki

Berlin. W nocy z piątku na sobotę podpalono dyskotekę „Rouge” w dzielnicy Berlin Mitte.

Ogień wzniecono około godziny 4.30 nad ranem. 132 gości znajdujących się w lokalu wyszło z wypadku bez szwanku. Z pierwszych obliczeń wynika, że szkody sięgają nawet 120.000 euro. Głównym podejrzanym jest barman Daniel Rodriguez. Poszukiwany ma około metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, krótkie czarne włosy i wschodnioeuropejską urodę. Ostatnio widziano go ubranego w czarną koszulę, szare dżinsy i buty do pół łydki. Wydział kryminalny Berlina prosi o pomoc w schwytaniu podejrzanego. Jeśli mają państwo jakieś wiadomości o podejrzanym, proszę zgłosić się do najbliższego komisariatu policji.

Lara popijała kawę, czując, jak na widok zdjęcia do-

łączonego do ogłoszenia ściska jej się żołądek. Daniel był teraz trochę szczuplejszy, miał bardziej zapadnięte policzki i trochę wyższe czoło, lecz wciąż miał jeszcze ten sam niewinny wygląd.

Przemknęło jej przez głowę, że owa dyskoteka znajduje się zaledwie kilka metrów od jej dawnej kawiarni, teraz pewnie zmienionej w jedną z galerii. Wyskakiwały one w całym Berlinie jak grzyby po deszczu. Szybko zamknęła gazetę. To wszystko zdarzyło się dawno temu. Zbyt dawno, by się teraz tym zamartwiać.

Zaniosła gazetę do kosza z makulaturą. Nagle z szopy usłyszała warczenie.

Hektor. Stary pies, który większość życia spędził, drzemiąc spokojnie przed domem, stał przed wejściem do szopy z obnażonymi kłami i uszami położonymi po sobie, jakby wyczuwał w środku samego diabła. *Co się dzieje z tym psem?*

Hektor przecisnął się przez szparę do szopy. Lara usłyszała, jak po krótkim skowycie jego warczenie umilkło.

Podbiegła do szopy. W progu owionęło ją stare, stęchłe powietrze, mieszanina zapachu smaru i zbutwiałego drewna.

– Hektor?

Owczarek przebiegł obok niej, wciąż skamlając, po czym ponownie zaczął oszczekiwać szopę. Oparłszy rękę

o zbutwiałą framugę, Lara zajrzała do ciemnego pomieszczenia rozświetlanego tu i ówdzie smugami światła wpadającymi przez dziury w starych ścianach.

Na tyłach szopy coś leżało.

Przecisnęła się między rowerami i starymi, nieużywanymi maszynami ogrodniczymi, nim zrozumiała, że to jedynie przewrócony worek z ziemią do kwiatów. Lecz za nim dostrzegła jeszcze coś. Lara podeszła bliżej.

To była czapka.

Baseballówka drużyny Red Sox.

* * *

Gdy tylko ochłonęła z szoku, wybiegła, trzymając czapkę. Arne zajął miejsce na werandzie i przysypiał w popołudniowym słońcu. Nogi wsparł na oparciu krzesła, trzymał wielkiego skręta i drapał za uszami owczarka, który zdyszany, lecz cały i zdrowy ułożył się obok.

Lara zatrzymała się w drodze do domu i wyciągnęła czapkę do Arne.

– Czy to twoja? – zapytała, próbując ukryć zdenerwowanie. Zdjął nogi z oparcia i podsunął okulary przeciwsłoneczne na czoło.

– Hm, nie, nigdy nie byłem fanem baseballu. – Pownownie opadł na krzesło i spokojnie pociągnął skręta. – Ale

jak masz ochotę, to możemy wybrać się na dniach na żagle, co ty na to?

Lara nie odpowiedziała, czuła, że zaraz straci panowanie nad sobą.

– Pokaż ją, może będzie mi pasować – zastanowił się Arne i wyrwał jej czapkę z ręki, lecz Lara natychmiast mu ją odebrała.

– Nie dotykaj!

– No już dobrze, spokojnie... Co się z tobą dzieje?

Lara przyjrzała mu się poważnie.

– Widziałeś, czy ktoś wychodził z szopy?

– Z szopy? – Puścił kółka z dymu. – Czego ktoś miałby szukać w tej starej szopie? – Podał jej skręta. – Masz, pociągnij se, odprężysz się trochę.

Lara nawet nie drgnęła.

– Czemu tak się ekscytujesz tą czapką? Należy do papieża czy co? – Arne zaśmiał się, strzepując popiół skręta na ziemię.

Lara ponownie spojrzała na czapkę, wiedząc, że może być tylko jedna odpowiedź.

I nagle powróciły okropne wspomnienia z tamtych dni. Wezbrał w niej dawny strach, niepewność, po prostu wszystko.

– A tak w ogóle to ładna sukienka – zauważył Arne. Lekki podmuch wiatru rozwiał Larze półdługie blond

włosy i poderwał czerwoną letnią sukienkę, której nie zakładała od wieków. – Powinnaś częściej nosić takie kobiece rzeczy.

Ale Lara wcale go nie słuchała.

– Ja... muszę zadzwonić. – Zmieszana wbiegła do kuchni, wciąż trzymając czapkę.

Nawet jeśli właśnie popełniała straszny błąd, nie miało to teraz znaczenia. Chwyciła za telefon i pierwszy raz od sześciu lat złamała zakaz kontaktu wymagany w programie ochrony świadków.

Berlin–Grunewald, listopadowa noc 1979 roku

Andreas zerkał niespokojnie na poplamiony krwią zegarek. Jeśli na ulicach nie będzie korków, brat Marii pojawi się za niespełna piętnaście minut.

Andreas wiedział, że musi się cholernie pośpieszyć!
Myśl, chłopie, myśl!

Zerkał to na nieruchome ciało Marii Strittmeier, to na zakrwawioną statuetkę, gdy nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Chwycił siatkę leżącą w kuchni i wpakował do niej narzędzie zbrodni, leżący luzem scyzoryk szwajcarski, złotą zapalniczkę ze stołu i spinki do mankietów sprawiające wrażenie drogocennych. Na koniec zdarł z szyi Marii sznur pereł, który rozsypał się po podłodze. Andreas chciał,

żeby to wyglądało jak napad.

Jak najstaranniej pozacierał swoje odciski palców, założył czapkę, zgasił świece i wyszedł w ciemną noc. Podbiegł do samochodu, wrzucił siatkę na tylne siedzenie i założył skórzane rękawiczki. Następnie wyjął łom z bagażnika i pośpieszył z powrotem do domu, by nadać drzwiom oznaki włamania. Kiedy po raz kolejny spojrzął na zegarek, stwierdził, że brat Marii powinien zjawić się lada chwila.

Usiadł wygodnie za kierownicą swojego mustanga. Nie włączając świateł, zjechał ciemną, pełną wertepów uliczką do nadbrzeża i zaparkował w bezpiecznej odległości od mostu. Tak jak podejrzewał, natrafił tam na legowisko bezdomnego, który odsypiał kaca wśród swoich gratów. Andreas schował łom między puszkami i butelkami, po czym podszedł do starca ubranego w kilka warstw starych, podartych swetrów i marynarek.

Andreasa uderzył ostry smród alkoholu, śmieci i moczu, gdy zwinnymi palcami wciskał swą zdobycz w kieszenie śpiącego. Następnie podszedł do brzegu i wrzucił statuetkę do rzeki, ale nie za głęboko, żeby policja znalazła narzędzie zbrodni. Z łupów owej nocy zatrzymał tylko złotą zapalniczkę Zippo.

Po wszystkim wsiadł do mustanga i z zadowoleniem pojechał do domu. Kiedy kilka przecznic dalej mijał stację benzynową, zauważył stojący na niej samochód z rejestracją z Monachium. Obok stał młody, dobrze zbu-

dowany mężczyzna wyglądający na studenta AWF-u. Andreas minął go z poczuciem ulgi i podekscytowania zarazem. Nigdy nie spodziewałby się, że zabicie Marii da mu tyle satysfakcji. Już teraz wiedział, że to nie będzie jego ostatnie morderstwo.

Rugia, 22 maja. Niedziela. Późne popołudnie...

Larze krwawiło serce, gdy widziała córkę w takim stanie.

– Kochanie, nie rób takiej miny. Przecież nie mówię tego, żeby sprawić ci przykrość. Poza tym to potrwa tylko kilka dni – tłumaczyła, odbierając Emmę ze stajni. Dziewczyna spoglądała przez okno samochodu wyraźnie zawiedziona, po czym włożyła słuchawki iPoda do uszu.

– Na pewno wszystko z tą czapką niebawem się wyjaśni i będziesz mogła wrócić do swojego ukochanego konia, dobrze?

Lecz Emma zaborczo pociągała końcówki zielonej apaszki, już nie słuchała. Lara włączyła kierunkowskaz i skręciła w uliczkę do pensjonatu, a stamtąd na podjazd, gdy nagle zobaczyła zielonego volkswagena busa zaparkowanego przed domem. Czyżby w całym tym zamieszaniu zapomniała o przyjeździe nowych gości?

Zaniepokojona zauważyła, że samochód ma tablice z Berlina.

– Emma, idź, proszę, i zaczekaj na mnie w domu.

Dopiero gdy dziewczynka zniknęła za progiem,

Lara odważyła się podejść do samochodu. Miejsce kierowcy było puste.

Zapukała w bok pojazdu i usłyszała szuranie. Po chwili drzwi się odsunęły.

– Torben! – zaśmiała się Lara z ulgą. – Nie spodziewałam się ciebie tak prędko!

Torben Landsberg wyskoczył z busa.

– Chodź, niech cię uściskam! – Objął ją mocno. – Mój Boże, ile to lat minęło!

Lara uśmiechała się do niego ze łzami w oczach.

– Całe wieki.

Poza okularami, które nadawały mu wygląd intelektualisty, i tu i ówdzie siwymi pasemkami przeplatającymi jego ciemne włosy nie zauważyła żadnej zmiany.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie o wiele wcześniej? – zapytał.

– Torben, przecież wiesz, że nie miałam wyboru.

Przytaknął, po czym odsunął się o krok i przyjrzał jej uważnie.

– Cholera... te jasne włosy i te ciuchy zupełnie cię zmieniają. Prawie cię nie poznałem.

– Poradzono mi, żebym zmieniła wygląd. – Wygła-

dziła fałdy ciemnej długiej spódnicy.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się, po czym raz jeszcze obejrzał ją od stóp do głów. – Oj, Lara, założę się, że codziennie łamiesz serce któremuś z tutejszych mieszkańców...

– Tak, jasne, daj spokój. – Zaśmiała się, czując, jak rumieńce wykwitają jej na twarzy. – Ach, i jeszcze... – Położyła mu dłoń na ramieniu i przyciągnęła go bliżej. – Mów mi Karolina, Karolina Wöhler. Proszę, nie zapominaj, dopóki tu jesteś.

– Dobrze, Karolino Wöhler. – Zmarszczył brwi z dezaprobatą. – To nie twoja wina.

Lara przewróciła oczyma z rozbawieniem, po czym zajrzała do busa.

– Niezła bryka – zażartowała, unosząc ironicznie brew. – Kiedyś można cię było straszyć po nocach wszystkim, co chociażby pachniało campingiem.

– Cóż, czasy się zmieniają. Poza tym w ten sposób przywiozłem własne łóżko.

– Ale możesz przecież spać w pensjonacie, mamy pełno wolnych pokoi.

– Daj spokój. – Ujął ją za rękę i wciągnął do busa.

– Chodź i zajrzyj do mojej przytulnej chatki.

– A co poza tym? – zapytała, siadając na małej kanapie naprzeciwko łóżka i rozglądając się po pomiesz-

czeniu. – Jak praca?

Zadzwoiła do szpitala w Berlinie, by zapytać o numer Torbena, ponieważ w książce telefonicznej go nie znalazła.

– Co mam powiedzieć, moje trupy nadal nie są zbytnio gadatliwe.

Zaśmiała się.

– Zupełnie jak goście, którym zdarza się zabłądzić do naszego pensjonatu.

Torben skinął i zaczął przyglądać się pierścionkowi zaręczynowemu na jej palcu.

– Znowu wyszłaś za mąż?

– Nic z tego. Ja i Frank dopiero od kilku miesięcy jesteśmy razem. Teraz go nie ma, ale może jeszcze uda wam się spotkać.

– A jak długo go nie będzie? – dopytywał Torben z zainteresowaniem.

– Tylko kilka dni, jego matka leży w szpitalu... Torben przytaknął jakby w zwolnionym tempie. – Jaki on jest?

Lara wydeła usta.

– Frank miewa swoje humory, ale ma dobre serce i kochamy się. – Z jakiegoś powodu nie chciała dalej ciągnąć tematu. – A co u ciebie, wciąż szukasz tego jedyne-go?

– Ach, nawet nie pytaj... – westchnął Torben. – Ten

bus należy właśnie do tego jedyne, który, niestety, okazał się niewypałem.

– Przykro mi – powiedziała Lara współczująco.

– Mnie też, ale cieszę się, że w końcu zniknął z mojego życia. Ciągłe wdawał się w jakieś machlojki... – Wzruszył ramionami i pokręcił głową. – Pewnego razu po prostu spakował walizki i zniknął.

– I zostawił ci tego busa tak po prostu?

– Ach, to... nie. – Torben potrząsnął głową z westchnieniem. – Ojejku, tyle się wydarzyło przez te lata, co nie?

– Unikasz odpowiedzi – stwierdziła Lara.

Na ustach Torbena zamarł uśmiech.

– Słucham? Wiesz co, Lara...

– Karolina.

– Dobrze, Karolina. Wiem, że wiele przeszłaś, ale masz przed sobą starego kumpla Torbena. – Pomachał jej przed nosem. – Ciota Torben, pamiętasz?

Lara musiała się uśmiechnąć.

– Przepraszam, to nie miał być atak.

– Nie ma sprawy. A jak Emma? – zmienił temat. – Ile ma teraz lat? Dziesięć? Jedenaście?

– Dwanaście. – Lara oparła łokcie na wąskim stoliku i wsparła na nich brodę. – Jak na razie ma się całkiem do-

brze. Ciągłe jeszcze nie mówi, ale o tym wspominałam ci już przez telefon.

– Jest w domu? – spytał, wyglądając przez szparę w zasłonkach.

Lara pokiwała głową z westchnieniem.

– Ale jak ją znam, to zabarykadowała się w pokoju i pewnie nie pojawi się do wieczora. Kocha jazdę konną, a ja właśnie zabroniłam jej pojawiać się w stajni. Nie chcę, żeby chodziła gdzieś sama.

– Rozumiem – wymamrotał Torben. Na jego twarzy odmalowało się współczucie. – Mój Boże, to wszystko musiało być dla was strasznym przeżyciem. Pamiętam, jakby to było wczoraj, po wizycie na komisariacie siedzieliśmy u ciebie w mieszkaniu i pakowaliśmy walizki. – Pokręcił głową zamyślony. – A potem, akurat w tę ostatnią noc...

– Już dobrze, Torben – przerwała mu Lara. W oczach wezbrały jej łzy, gardło się zacisnęło. – Nie wracajmy już do dawnych czasów.

– Jasne. – Odchrząknął. – Przepraszam.

Przez chwilę siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu. Wzrok Lary powędrował do wielkiej metalowej walizki leżącej na okrytym pledem łóżku. Torben odwrócił głowę.

– O kurde, ja tu cały czas paplam, a ty przecież masz inne zmartwienia. Chodź, pogadamy jeszcze przy kolacji,

ale teraz pokaż mi lepiej tę czapkę. Jeśli twoje podejrzenie się sprawdzi, to nie mamy czasu do stracenia. – Podciągnął rękawy błękitnej koszuli. – Miejmy nadzieję, że znajdą się na niej jeszcze jakieś przydatne ślady. – Chwycił walizkę, a z szuflady obok kuchenki wyjął parę lateksowych rękawiczek.

– Torben, jeśli chodzi o czapkę... – zaczęła Lara, gdy wyskoczyła z busa. Wiem, że powinnam była iść na policję, ale jeśli po prostu spanikowałam? Wolałam nie ryzykować, że stracę tę nową tożsamość.

Torben poklepał ją po ramieniu.

– Jeśli ten skurwysyn naprawdę cię rozpoznał w tym wywiadzie i teraz się tutaj pojawił, to telefon do mnie był najlepszą rzeczą, jaką w takiej sytuacji mogłaś zrobić, zrozumiałaś?

Lara kiwnęła głową z ulgą.

– Dziękuję.

* * *

Torben zamienił jej stolik nocny w stół laboratoryjny – na sterylnej folii rozłożył wokół czapki swoje przyrządy. Lara spostrzegła od razu, że coś się nie zgadzało. Na końcu długiej, może ośmiocentymetrowej pincety przyjaciel uniósł długi lokowany włos.

– Co my tu mamy? – mruknął do siebie, po czym włożył włos pod mikroskop.

Lara, która zerknęła mu przez ramię podczas badania, pochyliła się bliżej.

– O Boże, ten facet z taksówki też miał takie włosy...

– To jeszcze nic nie znaczy – odpowiedział uspokajająco.

– Torben, jestem całkiem pewna!

Spojrzał na nią sponad mikroskopu.

– Wydaje mi się, że się mylisz.

– Mówię ci! Miał dokładnie takie same loki.

Torben roześmiał się rozbawiony.

– Co w tym śmiesznego?

Przekrzywił głowę.

– Sądząc po rdzeniu włosa, mamy do czynienia z *Canis lupus*.

– Co to znaczy...?

– To znaczy... – Nie mógł powstrzymać uśmiešku, spoglądając ponownie na włos. – Naprawdę sądziłaś, że ten włos pochodzi od mordercy? Musiałby to być wilkołak, bo widzisz właśnie włos psa. – Parsknął śmiechem.

– Naprawdę bardzo zabawne, Torben – odpowiedziała Lara szorstko.

– Hej, już dobrze, gdzie się podziało twoje poczucie

humoru?

Lara zacisnęła zęby. Zrobiło jej się głupio. *Tylko psi włos...*

– Właściwie jeszcze nie skończyłem badania, ale żeby powiedzieć coś naprawdę konkretnego, i tak będę musiał wysłać czapkę do laboratorium – wyjaśnił Torben, po czym spojrzął na jasnobłękitny kapelusz, który leżał na ratanowym fotelu zaraz obok pasującego kostiumu.

– Miałaś to na sobie, jak zostałaś sfilmowana podczas wyścigu?

– Tak, czemu pytasz?

– Wywal to! I wszystko, co miałaś na sobie tego dnia!

Lara przytaknęła niepewnie. W sumie sama mogła na to wpaść. Kiedy zbierała ubrania z fotela, zadzwonił telefon na parapecie.

Na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

– Przepraszam. Dzwoni, muszę odebrać. Jakbyś czegoś potrzebował, to znajdziesz mnie na dole w kuchni.

Lara wsunęła sobie kapelusz i sukienkę pod pachę i wybiegła z pokoju z telefonem przy uchu.

– Frank, zastanawiałam się, kiedy zadzwonisz!

– Cześć, kochanie – usłyszała przytłumiony głos Franka, gdy zbiegała po schodach. – Matka jest dalej w kiepskim stanie. Leży w łóżku i gapi się w sufit napompowana lekami przeciwbólowymi, a jej stan pogarsza

się z godziny na godzinę. To cud, że w ogóle jeszcze żyje, jak mówią lekarze. Ale przecież ona się tylko męczy... Według mnie to tylko zdzierają kasę, utrzymując ją tak długo przy życiu tą swoją aparaturą. Nawet mojemu psu nie pozwoliłbym tyle cierpieć, uspiłbym go od razu.

Lara skinęła głową, mimo że Frank nie mógł tego widzieć.

– Jeśli mogę coś zrobić, to...

Kaszal Franka po drugiej stronie przerwał jej w pół słowa.

– Nie martw się. A co u was? Wszystko w porządku?

Lara wzięła głęboki wdech, zastanawiając się, co ma na to odpowiedzieć.

– U nas? Tak, wszystko w porządku. – Nigdy nie umiała dobrze kłamać. – Na jutro zapowiedziało się jakieś małżeństwo z Walii. Poza tym nie mamy więcej gości. Frank, co się dzieje u ciebie w tle?

– Nic.

Lecz Lara wyraźnie słyszała męskie głosy.

– Ale właśnie słyszałam jakieś okrzyki – powiedziała niepewnie.

– Jestem w poczekalni. Leci telewizor.

Nagle pojęła, że grał znowu w pokera. Wiedziała, że problemy z matką i pensjonatem poważnie dawały mu się we znaki, ale myślała, że jest na tyle silny psychicznie, by

nie ulec pokusie. Myślała, że raz na zawsze pokonał nałóg.

Frank nie odpowiadał i przez chwilę zdawało jej się, że się rozłączył.

– Frank? Jesteś tam?

– Cholera, Karolina, wszedłem tutaj tylko po to, żeby zadzwonić. Przecież nie będę rozmawiał na korytarzu szpitalnym przez komórkę.

– Aha... – wydusiła cicho.

Odchrząknął.

– Wiesz co, ja... wrócę do szpitala. Zadzwonię później.

– Jasne, nie ma sprawy. Ach, Frank?

– Tak?

– Kocham cię – powiedziała i naprawdę w to wierzyła.

Jeśli Frank popadł w dawny nałóg, Lara pomoże mu to przetrwać, byleby tylko szybko do niej wrócił.

– Ja ciebie też, Karolina, nawet bardzo – zapewnił, po czym się rozłączył.

Przez chwilę Lara patrzyła w pustkę, po czym schowała telefon do kieszeni i z westchnieniem otworzyła drzwi kuchenne.

– Czy to był pan Burlacher? – zapytała Barbara Linz wsparta na mopie.

– Tak, ale jak na razie nie ma nic nowego.

– To wszystko musi być strasznie ciężkie dla Franka...

dla pana Burlachera – poprawiła się. W jej głosie brzmiał szczyry niepokój.

Lara nieprzytomnie podeszła do zlewu i wyciągnęła spod niego jasnoniebieski plastikowy worek.

– Co właściwie dzieje się z Emmą? – zmieniła temat pani Linz. – Chciałam przetrzeć jej pokój, ale dziewczyna zabarykadowała się i nie chce otworzyć.

Lara zacisnęła usta.

– Wie pani, jakie są dzieci w tym wieku. Porozmawiam z nią później.

Sprzątaczką odstawiła mop i zmarszczyła czoło.

– Czy widziała pani, jak tam w ogóle wygląda? Gdyby to było moje dziecko, to...

– Ale nie jest! – wymknęło się Larze odrobinę bardziej surowo, niż zamierzała. Małomieszczliwość Linz działało jej na nerwy. Zwinęła sukienkę i wrzuciła ją do worka, żeby oddać dla czerwonego krzyża.

– No dobrze, nie moja sprawa – przeprosiła sprzątaczką i nastawiła wodę na herbatę.

No właśnie – przyznała Lara w duchu. Barbara Linz i tak wtrącała się w zbyt wiele rzeczy, które w ogóle nie powinny jej obchodzić.

– A jak właściwie pani weekend wypoczynkowy? – zapytała bardziej, by zmienić temat, niż z zainteresowania.

Z głębokim westchnieniem Linz zdjęła gwizdzący

garnek z ognia i zaparzyła herbatę miętową.

– Też mi wypoczynek, nasyłali na nas jednego sprzedawcę za drugim!

– Przykro mi. – Lara wpakowała kapelusz do worka z sukienką. – Zawsze to samo z tymi...

– Chwileczkę, co pani robi? – przerwała jej Linz. – Przecież te rzeczy są prawie nowe i wyglądała w nich pani tak ślicznie podczas wyścigów.

– Ale... i tak ich już nie założę...

Linz spojrzała na nią krytycznie.

– I dlatego pani je po prostu wyrzuca? – Odstawiła parujący kubek herbaty na stół i zaczęła oglądać ubrania. Przymierzyła kapelusz i przyłożyła sukienkę do fartucha roboczego. – Mogłoby pasować. I jest pani pewna, że nie chce ich dłużej nosić?

– Jestem całkiem pewna – zapewniła Lara, mocząc kostkę cukru w herbacie. – Niech pani je weźmie.

– Taa... skoro pani ich nie chce... – Barbara Linz wyraźnie uradowana włożyła ubrania z powrotem do worka i zawiązała go ciasno. – Jeśli mnie pani dzisiaj nie potrzebuje, to poszłabym już do domu, żeby zdążyć przed zmrokiem.

– Jasne, niech pani idzie – odpowiedziała Lara z uśmiechem, popijając herbatę.

Nagle jej uśmiech zniknął. Tam... tam za oknem była

maska klauna!

– Widziała pani to?

– Co takiego?

Lara odstawiła kubek i podbiegła do okna. Natychmiast przypomniała jej się maska, którą znalazła w swojej zdemolowanej kawiarni, zanim odkryła wiadomość na ścianie – wiadomość, która na zawsze zmieniła jej życie.

– No tego klauna! – Spojrzała na ulicę. – Właśnie przebiegł za oknem!

Linz podbiegła do okna, wyjrzała i zmarszczyła brwi.

– Tam nikogo nie ma, pani Wöhler – stwierdziła.

– Przysięgam, że widziałam klauna! Przebiegł dokładnie przed oknem! Nawet miał maskę i wszystko... – powiedziała Lara i rękoma zasłoniła twarz.

Sprzątaczką przytaknęła i zaczęła przyglądać jej się zaniepokojona.

– Czy na pewno wszystko w porządku, pani Wöhler?

– Oczywiście!

– Czy mam zrobić pani jeszcze jedną herbatę, zanim wyjdę?

– Jak już mówiłam, wszystko w porządku. – Lara wyraźnie podenerwowana chwyciła paczkę papierosów, schowaną w szafce na wszelki wypadek.

Linz ze zdziwieniem patrzyła, jak młodsza kobieta

zapala papierosa, lecz nie skomentowała.

– Kolacja jest w lodówce – stwierdziła jedynie i zamaszystym ruchem ręki położyła na stole kartkę. – A tu jest lista rzeczy do naprawienia, o którą mnie pani prosiła.

– Dziękuję bardzo – wymamrotała Lara łagodniej. – Spokojnej drogi życzę.

Linz przytaknęła.

– I jeszcze raz dziękuję za ubrania.

Lara spojrzała po raz kolejny za okno, zaciągnęła się papierosem niepewna, czy bardziej niepokoił ją ten dziwny klaun, czy też to, że mogła go sobie po prostu wyobrazić i znalazła się na prostej drodze do psychiatryka.

Lara prawie podskoczyła na siedzeniu, gdy nagle usłyszała hałas pod stołem kuchennym. Spod obrusu wyłonił się Hektor, który merdając ogonem, potruchtał za Linz.

Lara oddychała głęboko. *Dajesz się przestraszyć własnemu psu – weź się w garść, dziewczyno!*

Zdażyła zaobserwować, jak Linz odjechała polną drogą na starym rowerze, nim ktoś zapukał do drzwi. Lara szybko zgasila papierosa w zlewie.

– Proszę.

W drzwiach stanął Torben, a z jego miny wywnioskowała, że coś się stało.

Usiadł przy stole bez słowa.

– I? – zapytała Lara. – Znalazłeś jeszcze coś?

Torben w milczeniu zdjął okulary i przetarł oczy.

– Chcesz kawy? – spytała Lara.

Przytaknął.

– Nie zaszkodzi coś na rozbudzenie.

Odstawiła swój kubek do zlewu i nastawiła czajniczek z kawą.

– Wciąż pijasz z mlekiem i cukrem?

Przytaknął ponownie.

– Znalazłem krew – powiedział nagle bez ogródek. – Na pierwszy rzut oka nie było jej widać, tak jakby ktoś próbował już kiedyś czyścić tę czapkę.

Kawa zabulgotała. Lara naląła Torbenowi duży kubek, a sama zapragnęła napić się czegoś mocniejszego.

– I co teraz? – zapytała szorstko, stawiając butelkę alkoholu na stole, zamiast schować ją z powrotem do szafki.

Torben wziął łyk kawy, lecz natychmiast ją wypluł z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

– Chcesz mnie otruć?

– Przepraszam, musiałam pomylić cukier z solą... zdaje się, że jestem trochę roztrzęsiona. – Wylała kawę do zlewu i zaparzyła mu nowy kubek.

Torben delikatnie dotknął jej ramienia i kontynuował.

– Dokładniej mówiąc, mamy tu dwie plamy krwi, jedna z nich znajduje się na brzegu daszka. Zgaduję, że nie jest to krew sprawcy, tylko... jeśli to rzeczywiście on... jednej z ofiar – wyjaśnił Torben, patrząc na swoje wąskie dłonie. – Chyba że wcześniej stracił czapkę w wyniku walki. Dokładniejszych informacji dowiemy się po analizie w laboratorium. Zaraz pojedę z powrotem do Berlina.

Lara przytaknęła.

– Jak długo będziemy musieli czekać na wyniki?

– Z doświadczenia wiem, że trwa to zwykle kilka dni, czasami nawet trochę dłużej.

– Może lepiej zadzwonię na policję? – zastanowiła się Lara.

– Hmm, tak – przyznał Torben. – Ale jeśli się okaże, że się mylisz?

Lara podniosła wzrok i ujęła go za dłoń.

– A nie mógłbyś wysłać czapki do laboratorium i zostać ze mną jeszcze kilka dni? Tylko dopóki Frank nie wróci.

Po chwili wahania skinął głową i przykrył dłonią rękę Lary, aby trochę uspokoić przyjaciółkę.

– Oczywiście, wiesz przecież, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Lara uniosła butelkę do ust, pociągnęła duży łyk i smętnie wyjrzała za okno.

– Myślę, że jest tutaj – szepnęła. – Dosłownie czuję, jak czai się gdzieś w pobliżu... jak nas obserwuje.

Bała się tak bardzo, że sytuacja zaczęła wydawać jej się nierealna. Prawie tak, jakby śmierć Lary była już przypieczętowana, a ona jedynie negocjowała z mordercą warunki.

Torben pochylił się nad stołem.

– Jak się okaże, że ta czapka naprawdę naprowadzi nas na trop tego szaleńca, to... – urwał w pół zdania, gdy usłyszał na zewnątrz metaliczny brzdęk.

Torben podbiegł do wyjścia i otworzył z impetem drzwi.

W progu stał Arne, który z niewinnym uśmiechem podnosił klucze z podłogi. Lara poderwała się i spojrzała na niego groźnie.

– Jak długo tutaj stoisz?

Wzruszył ramionami.

– Wyluzuj, słyszałem już gorsze rzeczy. – Obojętnie przepchnął się obok Torbena, wyjął szklanę z szafki kuchennej i nalał sobie wody z kranu. Lara i Torben wiedzieli, że podsłuchał ich rozmowę.

– Kim w ogóle jest ten typ? – wysyczał Torben gotowy rzucić się na Arne.

– To Arne, kuzyn Franka. Arne, to jest Torben, mój stary przyjaciel z Berlina – przedstawiła ich sobie Lara.

– Proszę, proszę... a myślałem, że jeszcze nigdy nie byłaś w Berlinie. Frank tak sądzi. No ale przynajmniej jesteście kwita...

Lara zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli?

– Nic takiego. – Wzruszył ramionami. – Nie moja sprawa w sumie...

Torben poderwał się i złapał go za kołnierz koszuli.

– Tylko nie wyobrażaj sobie, że...

– Hej, hej, tylko spokojnie! – Arne wygładził koszulę i podniósł ręce do góry, jakby chciał się poddać. – Tylko nie popadajcie w panikę! – Po czym odwrócił się do Lary. – Nie martw się, jestem po twojej stronie. Twoja tajemnica jest u mnie bezpieczna. Ale i tak chętnie bym się czegoś napił.

Na oczach zdumionej Lary i Torbena pociągnął duży łyk prosto z butelki, którą wziął ze stołu.

Torben ponownie usiadł przy stole, nie spuszczając Arne z oczu, A kuzyn Franka jak gdyby nigdy nic wznosił toast:

– Na zdrowie! Za naszą małą tajemnicę.

Poniedziałek, 23 maja...

To był poranek jak każdy inny. Nic nie wskazywało, że miało się to zmienić o wiele szybciej, niż Lara się spodziewała.

Półprzytomna po zbyt krótkiej nocy, ze zmęczeniem malującym się na twarzy wydawała na recepcji klucze do pokoi. Bardzo się starała, aby małżeństwo z Walii nie zauważyło jej stanu.

– Cena za pokój dwuosobowy ze śniadaniem wynosi osiemdziesiąt dziewięć euro – wyjaśniła. Zaznaczyła krzyżykiem miejsce na formularzu, w którym trzeba było się podpisać, po czym z miłym uśmiechem podała im papiery i długopis.

Walijczyk z ciemnymi, rzadkimi włosami zdawał się nie w humorze. Powiedział coś do otyłej małżonki, czego Lara nie zrozumiała. Miała nadzieję, że zdenerwowanie gości wynikało z trudów podróży, a nie z tego, że pokoje, które im właśnie pokazała, od dawna nie wyglądały tak jak na zdjęciach ze strony internetowej.

Mimo złego humoru Walijczyk właśnie chciał złożyć podpis w wyznaczonym miejscu, gdy małżonka szturchnęła go łokciem, wskazując drzwi, przez które właśnie wbiegł mały Henryk.

– Nie żyje! Ona nie żyje! – krzyknął chłopczyk, rzucając tornister na podłogę przed recepcją. – Znaleźliśmy ją przed masarnią Grubera!

Serce Lary przyspieszyło, gdy obiegnęła ladę, by dotrzeć

do chłopca.

– Mój Boże, to krew na twojej koszulce! – stwierdziła z przerażeniem.

Małżeństwo z Walii popatrzyło na siebie w osłupieniu.

– Dostyc tego! Wyjeżdżamy! – Mężczyzna zabrał walizki.

– Nie, proszę, mogą państwo zostać! Proszę się nie martwić! – Lara próbowała ich zatrzymać, nie dość przekonująco jednak, ponieważ Walijczycy opuścili pensjonat.

Dopiero wtedy spojrzała na Henryka.

– Leżała całkiem spokojnie, a wszystko było we krwi!
– paplał dalej chłopiec.

Lara złapała go za ramiona.

– Kto?!

– Pani Linz! – wykrzyknął.

Nie, to niemożliwe!

Lara poczuła, jakby jej głowa znalazła się nagle w wielkim, zaciskającym się coraz mocniej imadle.

– Proszę, pani Wöhler, niech się pani pośpieszy! – Henryk ciągnął ją za rękę do drzwi. Dołączył do nich Torben, który wyskoczył ze swojego busa.

– Poczekajcie, idę z wami! – W biegu zakładał bluzę z kapturem.

Lara nie czekała, aż przyjaciel ich dogoni. Przygotowana na najgorsze pobięła za Henrykiem w stronę marni.

* * *

Zakrwawione prześcieradło zakrywające zwłoki Barbary Linz wydawało się jedyną plamą koloru na ponurym podwórzu.

W Lohme mówiono, że z wiatrem czasami niesie się zawrodoenie ubijanych zwierząt. Niektórzy twierdzili nawet, że te straszne odgłosy nie pochodziły wcale od zwierząt.

– Proszę mnie przepuścić, jestem patologiem sądowym. – Torben przecisnął się między gapiami zebranymi przed zagrodami.

Kucnął przy zmarłej i ostrożnie uniósł prześcieradło, odsłaniając jej twarz.

– Święty Boże, to naprawdę ona! – wyszeptała Lara ledwie słyszalnie i zakryła Henrykowi oczy dłonią. Czuła, jak puls jej przyśpiesza. Zebrało jej się na wymioty, gdy wiatr przyniósł zapach zgnilizny.

Wszyscy patrzyli na zmarłą, której Torben właśnie zamykał oczy.

Dlaczego akurat Barbara Linz? – zastanawiała się

Lara.

Torben popatrzył na nią i wskazał na spoczywającą przy głowie dłoń zmarłej.

– Sądząc po plamach opadowych, można stwierdzić, że śmierć nastąpiła wczoraj wieczorem.

Na te słowa tłum zaczął szemrać.

Wzrok Torbena powędrował do roweru sprzątaczkę, który leżał niespełna dziesięć metrów od wjazdu do masarni.

– Nie ma żadnych oznak walki, ani zadrapań, ani skrawków skóry pod paznokciami.

Lara skinęła głową.

W koszyczku roweru wciąż leżały ubrania, które dała gospodyni w prezencie. Torben dalej badał ciało, a Larę oblał zimny pot.

Nie mogła się skupić, ledwie widziała nadjeżdżające samochody policyjne i karetkę. Prowadził oczywiście Bernd Petzold, który zaparkował swojego opla zaraz przy wjeździe do masarni. Z jakiegoś powodu Lary nie dziwiło, że właśnie oficjalne służby zjawiają się jako ostatnie na miejscu zbrodni. Policjant zdecydowanym krokiem podszedł do tłumy.

– Rozejść się! Proszę zrobić miejsce! – Po czym zwrócił się do Torbena: – Czy pan zwariował? Co pan robi?! I kim pan w ogóle jest, do diaska?!

Torben podniósł się spokojnie, jakby rozważając, czy pozwolić, żeby byle wiejski policjant zwracał się do niego w ten sposób.

– Jestem patologiem sądowym z berlińskiego szpitala – wyjaśnił, podając Petzoldowi swoją legitymację. Na starym policjancie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Słuchaj pan, panie ważniak z Berlina. To jest moje miejsce zbrodni. Mamy od tego własnych ludzi – wskazał na dwóch policjantów za sobą – więc niech pan się stąd wynosi!

Policjant wziął się pod boki, eksponując przy tym służbową broń przy pasie, aby podkreślić, kto tu właściwie rządzi.

Zanim Torben zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Petzold zwrócił się do Freerka Grubera, właściciela masarni, który stał w tłumie.

– Ani ja, ani moja masarnia nie mamy z tym morderstwem nic wspólnego! – zaklinał się postawny mężczyzna w fartuchu. Petzold spojrzał na niego groźnie.

– Jak kiedyś, co? Wtedy też nie chciałeś mieć z tym nic wspólnego!

Lara zastanawiała się, o co Petzoldowi chodziło, gdy nagły podmuch wiatru poderwał prześcieradło, odsłaniając zwłoki.

Kobieta zatoczyła się, czując ucisk w piersi. Barbarze Linz poderżnięto gardło jednym sprawnym ruchem. Lara

wiedziała, co to oznaczało.

Boże, proszę, tylko nie to!

Berlin–Grunewald. Wczesne lato 1980 roku...

Andreas w końcu miał maturę w kieszeni i kiedy jechał mustangiem, wciskając gaz do dechy, czuł się niebywale wolny. Świat stał przed nim otworem i młodzieniec był przekonany, że w końcu uwolni się od swojej przeszłości. Chciał studiować i zdobyć zawód, który nadałby jego życiu jakiś sens.

Kilka przedmiotów, na których mu zależało, spakował do bagażnika, więc nie miało znaczenia, dokąd pojedzie, byle daleko stąd. Nic nie mogło go powstrzymać. Poza Izabelą Kempitz...

Młoda stażystka była inna niż reszta kobiet. Nie należała do piękności, niektórzy zapewne opisaliby ją jako szarą myszkę, lecz dla Andreasa była kimś wyjątkowym. Metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, szczupła, z jasnobrązowymi włosami opadającymi na wąskie ramiona – dokładnie taki typ urody, który budził u młodego mężczyzny morderczą żądzę.

Wiele razy obserwował Izabelę Kempitz, gdy czytała w szkolnej bibliotece, siedziała na długiej przerwie przed pokojem nauczycielskim lub gdy jechała do domu na rowerze. Puls Andreasa przyśpieszył, gdy zauważył dziew-

czynę w jasnej koszulce i ciasnych legginsach, biegnącą, a raczej kuśtykającą wzdłuż nieuczęszczanej leśnej szosy.

To było prawie zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe: nikogo w pobliżu i ofiara bezbronna jak okaleczona zwierzyna.

Andreas naciągnął czapkę głęboko na oczy, przyhamował i opuścił szybę.

– Wszystko w porządku? – spytał niewinnie. Sterczące piersi Izabeli falowały pod koszulką.

– Tak, znaczy nie do końca. Chyba skreśliłam kostkę. – Zatrzymała się i wskazała nogę. – Mógłbyś mnie podwieźć kawałek?

– Jasne, wsiadaj! – Śledził dziewczynę wzrokiem, gdy obchodziła maskę samochodu, by zająć miejsce obok kierowcy. Zatrzasnęła drzwi. Andreas się obejrzał. Był sam.

– Zawieźć cię do szpitala? – zatroszczył się obłudnie.

– Nie ma potrzeby. Jak nie obciążam nogi, to wszystko w porządku. – Izabela uśmiechnęła się do niego nieśmiało. – Dokąd właśnie jechałeś?

Andreas spojrzał jej prosto w twarz.

– Właściwie to... nigdzie... – Lecz zaraz dodał, jakby słowa same wymykały się z jego ust: – Chciałem podjechać tą drogą na Diabelską Górę. – Wskazał na wzgórze znajdujące się w lesie nieopodal. – Stamtąd ma się najlepszy widok na zachód słońca.

– Naprawdę? – Spojrzała w stronę góry. – Nie będziesz miał nic przeciwko, jak zabiorę się z tobą?

– Jasne, że nie...

Wrócił na jezdnię, czując, jak pot zbiera mu się pod czapką Red Soxów. Jak automat jechał drogą na górę. Myślał tylko o jednym.

Rugia, późnym wieczorem...

– Do zobaczenia. – Lara pożegnała dwóch mężczyzn z firmy ochroniarskiej, po czym zamknęła drzwi na dwa zamki. Poza systemem bezpieczeństwa kazała też zamontować dodatkowe zamknięcia we wszystkich drzwiach i oknach.

Skontaktowała się też z berlińskim wydziałem zabójstw, a dokładniej, z Sylwią Hausmann i Magnusem Kernem. Tych dwoje najlepiej znało sprawę morderstw. Lara poinformowała ich o wydarzeniach ostatnich dni.

Jednak przed przybyciem policjantów na Rugię Lara chciała mieć pewność, że Frank dowie się wszystkiego od niej. To samo dotyczyło morderstwa Barbary Linz.

Po dwóch nieudanych próbach dodzwonienia się do Franka na komórkę postanowiła zajrzeć na pierwsze piętro. Frank urządził sobie tam małą pracownię, w której między innymi trzymał dokumenty.

W pomieszczeniu pachniało politurą do mebli. Wszystko wyglądało jak na zdjęciu do magazynu o wystroju wnętrz. Lara zamknęła drzwi i podeszła prosto do wielkiego drewnianego biurka. Stało tu zdjęcie ukazujące Larę z Emmą w dawnych, szczęśliwszych czasach, a obok fotografia matki Franka oraz kupka niezapłaconych rachunków poukładanych według ważności.

Zdaje się, że byli w gorszej sytuacji finansowej, niż Lara zakładała.

Przeszukała szuflady biurka: kolejne wezwania do zapłaty. Ołówki. Papiery. Polisy ubezpieczeniowe. Ale najmniejszej wzmianki o szpitalu, w którym leżała matka Franka.

Podczas układania dokumentów Lara straciła pieczętę, która z łoskotem spadła za biurko. Schyliła się i sięgnęła po nią filigranowymi palcami. Wtedy zauważyła grubą białą kopertę wetkniętą za jedną z szuflad.

Lara obejrzała ją z bliska. Przez chwilę wahała się, lecz w końcu otworzyła. W środku znajdowały się listy. Nie miały ani stempla, ani nadawcy. Z niedobrym przezcuciem Lara otworzyła pierwszą kopertę z góry i rozprostowała papier.

„Mój kochany, nie mogę przestać o tobie myśleć. Wiem, że to złe, a jednak czuję się z tym tak dobrze...” Czytając te spisane czarnym atramentem słowa, Lara nagle poczuła, że musi usiąść.

Listy ewidentnie pochodziły od innej kobiety. Kobiety, z którą Frank utrzymywał o wiele bliższe kontakty, niż Lara się spodziewała.

Serce zabiło jej mocniej.

Listy nie miały ani daty, ani podpisu. Nic nie wskazywało na to, kim była kobieta. Lara myślała gorączkowo. Nagle serce jej zamarło. Wsunęła rękę w kieszeń spódnicy i wyjęła listę rzeczy do naprawienia, którą Barbara Linz dała jej zaledwie kilka godzin wcześniej.

Bez żadnych wątpliwości – pismo było identyczne. Lara opadła na krzesło. Nie mogła w to uwierzyć. Zbierało jej się na wymioty.

Od samego początku czuła, że Franka i Barbarę łączy coś więcej niż tylko praca. Ale przecież ufała Frankowi, dlatego zdusiła wątpliwości jako wymysły własnej wyobraźni. Gdyby tylko zaufała intuicji!

Ze łzami w oczach chwyciła za telefon i po raz ostatni wykręciła numer do Franka. Lecz i tym razem zgłosiła się automatyczna sekretarka.

– Cholera! – krzyknęła i trzasnęła telefonem o ścianę. Zbyt późno zauważyła, że Emma stoi w drzwiach i patrzy na nią ze smutkiem. – Emma, ja... – zaczęła, lecz dziewczynka uciekła zmieszana. Lara otarła łzy. Chciała pobiec za córką, gdy usłyszała trzask drzwi od jej pokoju.

Cholera! Bezsilnie oparła się plecami o ścianę, po czym kucnęła. Objęła kolana i zapłakała gorzko.

Nie chciała wierzyć w to, co odkryła. Nie chciała wierzyć, że mogła się aż tak pomylić. Jasne, Frank miał swoje wady, choćby pociąg do gier hazardowych, co przyczyniło się do niejednej kłótni. Ale czy naprawdę był tak podły?

Zapłakana wybiegła z pokoju i przez podwórze dotarła do busa Torbena. Po raz kolejny cieszyła się, że stary przyjaciel jest blisko.

Boleśnie zdała sobie sprawę, że nie tylko jej życie na tej wyspie, ale również jej związek z Frankiem zbudowane były na kłamstwie.

Musiała z nim porozmawiać.

Wtorek rano, 24 maja...

Lara zawahała się. Oparła rękę na klamce i odczekała chwilę. Dopiero po kolejnym dzwonku przemogła się i otworzyła drzwi.

I ujrzała znajome twarze Sylwii Hausmann i Magnusa Kerna. Przez chwilę tylko patrzyła, nim powiedziała:

– Dziękuję, że państwo tak szybko przybyli.

Przywitali się. Tym razem nie był to krótki, przelotny uścisk dłoni, lecz silny chwyt, jakby chciała funkcjonariuszy już nigdy nie puścić.

– Najlepiej pokażę najpierw pokoje, żeby mogli pań-

stwo zostawić bagaże.

Poprowadziła oboje na korytarz.

Nadkomisarz Sylwia Hausmann prawie wcale się nie zmieniła. Jedynie drobne linie na czole i wokół oczu świadczyły o tym, że czas odcisnął na niej swoje piętno.

Natomiast Magnus Kern, który wciąż nosił tenisówki, lecz dorobił się już stopnia komisarza, wyraźnie się postarzał. Głębokie zmarszczki ciągnęły się wzdłuż jego kanciastej twarzy, bujne jasne włosy całkowicie posiwiały i przerzedziły się tak, że jeszcze wyraźniej widać było jego odstające uszy.

– Proszę powiedzieć, do kogo należy ten bus przed wejściem?

– Do Torbena Landsberga – odpowiedziała Lara. – Mojego dobrego przyjaciela z Berlina. Powinni państwo go znać, jest patologiem sądowym w szpitalu w Berlinie, poza tym był ze mną wtedy na komisariacie.

Poprowadziła funkcjonariuszy korytarzem.

– Proszę tędy. Tutaj są państwa pokoje.

– Torben Landsberg? – Kern zatrzymał się poirytowany. – Czy mogę zapytać, kogo jeszcze zaprosiła pani na nasze małe spotkanie?

– Spokojnie, wiedziałam o tym – wtrąciła się Sylwia Hausmann. – Pani Simons poinformowała go wcześniej o znalezieniu czapki.

Kern spochmurniał.

– Wspaniale! Skoro już teraz osoby postronne zajmują się badaniem dowodów, to nasza robota tutaj nie powinna potrwać długo... – Pokręcił głową. – I to akurat ten Landsberg. Równie dobrze mogłaby chodzić po Rugii z tabliczką ogłaszającą, kim jest.

Dlaczego ten policjant mówi o niej, jakby Lary tu nie było?

– Jeszcze pewnie na dodatek mam dzielić z tą ciotą łóżko...

– A co, nie wiedziałeś? – zazartowała Hausmann i uśmiechnęła się lekko do Lary, by usprawiedliwić zachowanie kolegi.

– Ha–ha – powiedział Kern bez wyrazu. – Wiesz tak samo dobrze jak ja, że ten Landsberg w ogóle oficjalnie nie jest wtajemniczony w śledztwo. Powinien był to zgłosić. Niech się cieszy, że nie doniosę jego przełożonemu – mamrotał do siebie, gdy wszedł do pokoju i odstawił walizkę.

Magnus Kern siedział już w kuchni, gdy Sylwia Hausmann zeszła ubrana w zieloną kurtkę i ciemnozielone buty trekkingowe.

– Lepiej, żeby nie było widać na pierwszy rzut oka, że nie jesteśmy turystami – usprawiedliwiła swój ubiór, zauważwszy spojrzenie kolegi, po czym usiadła obok niego.

– Co stanie się teraz? – spytała Lara, która właśnie parzyła kawę. Na jej twarzy malowała się ta sama bezradność jak przy pierwszym ich spotkaniu w jej mieszkaniu w Berlinie.

Hausmann odchrząknęła.

– Musimy poczekać na wynik autopsji, żeby upewnić się, że mamy do czynienia z naszym sprawcą. Wtedy okaże się, czy profil noża, którym zabito Linz, zgadza się z tym od innych ofiar z Berlina.

– Rozumiem – wyszeptała Lara i nieświadomie dotknęła dłonią cienkiej blizny na ramieniu. – A co... co państwo myślą?

Hausmann przymknęła oczy.

– Jeśli mam być szczerą, to nie wierzę, że to ten sprawca.

Kern spojrział na nią zdziwiony. Chyba wcześniej tego nie wiedział.

– Jak dotąd przez kilka dni znęcał się nad kobietami, zanim zadawał ostateczny cios. Można by powiedzieć, że się na nich wyżywał. A teraz przyjechał specjalnie na Rugię, żeby zadać swojej ofierze szybką śmierć? To do niego niepodobne. Chyba że... – zawahała się – naprawdę panią odnalazł.

* * *

Lara rozstawiła filiżanki na stole trzęsącymi się rękoma. *Chyba że naprawdę mnie znalazł* – powtarzała w myślach. Przez chwilę w kuchni panowała niezręczna cisza zakłócana jedynie brzęczeniem ekspresu do kawy.

– Po tylu latach mógł zmienić podejście – Kern wypowiedział swoje myśli na głos.

Hausmann przytaknęła bez entuzjazmu i ponownie spojrzała na Larę.

– Co z hipnozą, o której rozmawialiśmy? Zgodziłaby się pani na jeszcze jeden seans?

Lara westchnęła.

– Przecież pani wie, że już kiedyś tego próbowaliśmy...

– Ale przez telefon mówiła pani, że słyszała, jak Emma rozmawiała z koniem w stajni, więc czysto teoretycznie jest w stanie mówić. Co oznacza, że podczas hipnozy też mogłaby. Pani Simons, proszę chociaż porozmawiać z psychologiem Emmy na ten temat. Jeśli Emma widziała sprawcę, to...

– Dobrze, jak pani chce – poddała się Lara, chociaż nie była przekonana do tego pomysłu.

Kern spoglądał na partnerkę, marszcząc czoło. Od początku nie podobał mu się pomysł z hipnozą. W tej kwestii wyjątkowo zgadzał się z Torbenem. A Torben

właśnie zjawił się w kuchni.

– Landsberg... – jęknął Kern cicho. Żadnego z nich nie ucieszyło to spotkanie.

Po krótkiej wymianie zdań, w której obaj ograniczyli się do minimum, Torben wyjął z walizki długi faks.

– Oby się pan nie mylił, Kern. A skoro pana kolega, Bernd Petzold, włączył mnie już w dochodzenie, nie marnujmy czasu na formalności i przepisy, tylko lepiej przyjrzyjmy się temu. – Wygładził arkusz. – Nie mogę jeszcze służyć wynikiem autopsji, ale mam wyniki analizy śladów krwi z czapki. Kierownik laboratorium był mi winien przysługę i zawałił dla nas nockę.

Lara szybko naląła świeżo zaparzoną kawę do filiżanek. Zauważyła, że Kern powstrzymuje się od komentarza.

– Z początku nie znaleziono żadnych przydatnych śladów, takich jak tkanka czy włosy – wyjaśnił Torben. – Co więcej, DNA nie zgadza się z tym znalezionym u kobiet zamordowanych w Berlinie. Ale kolega z zakładu medycyny sądowej zauważył coś innego. – Wskazał ostatni akapit faksu.

Lara usiadła i zaczęła przysłuchiwać się uważnie.

– I co to jest? – Kernowi nie udało się ukryć ciekawości.

Torben założył okulary.

– Jedna z plam, możliwe, że od sprawcy, pochodzi od

mężczyzny w średnim wieku. Z badania wynika, że osoba ta ma podwyższoną ilość eozynocytów, co może prowadzić do pemfigoidu pęcherzykowego. – Spojrzał na twarze siedzących przy stole. – To znaczy, że ma autoimmunologiczne schorzenie skóry. Skóra u chorych często pokryta jest pęcherzykami, co powoduje swędzenie, ropienie i powstawanie krost. Naprawdę nieprzyjemna sprawa.

Lara uniosła wzrok.

– Autostopowicz – usłyszała własny głos.

Policjanci wymienili znaczące spojrzenia.

– Jaki autostopowicz? – spytała Sylwia Hausmann.

– Ja... zabrałam go, kilka dni temu – zaczęła Lara. – Jak państwo wiedzą, mój partner musiał wyjechać na kilka dni do Danii, a ja zawiozłam go tego dnia na prom. – Musiała przerwać, była bliska łez. Postarała się nie myśleć o listach, które znalazła w gabinecie Franka, i postanowiła nie poruszać na razie tej kwestii. – Wracając z portu, podwiozłam tego autostopowicza. To było tak mniej więcej w pół drogi z Sassnitz do Lohme – westchnęła, po czym dodała ze skruchą: – Wiem, że to niedozwolone, ale tu, na wyspie...

– No dobrze, niech pani zapomni o przepisach – przerwał jej Magnus Kern. – Jak on wyglądał?

– Miał ciemne włosy i około metra osiemdziesiąt pięć wzrostu. Nosił podarte džinsy i skórzaną kurtkę. Poza tym miał jeszcze plecak wojskowy, a na szyi taki skórzany

pasek, a właściwie to była bardziej obroża nabijana ćwiekami.

– I komuś takiemu pozwoliłaś wsiąść do samochodu?
– wykrzyknął Torben.

Wzruszyła ramionami.

– No, lało jak z cebra i był całkiem przemoczony. – Nerwowo skubała brzeg obrusu. – Jak wsiadł, zauważyłam, że jego oczy były podejrzenie zaczerwienione. Wyglądało to nieciekawie. Najpierw myślałam, że z kimś się bił, ale to by inaczej wyglądało.

Sylwia Hausmann wzięła głęboki wdech.

– Rozumiem. Kiedy dokładnie wsiadł do samochodu?

– W piątek rano, trochę po wpół do ósmej. Miał taką karteczkę z wypisanym adresem sklepu ze sprzętem myśliwskim – przypomniała sobie. – Sklep znajduje się po drodze do mojego domu. Właścicielem jest Doris Jakobi, starsza kobieta, która przejęła go po zmarłym mężu.

Hausmann popijała kawę.

– I tam go pani wysadziła?

– Tak bym zrobiła, ale on nagle po prostu zniknął.

– Jak to zniknął? – dopytywał się Magnus Kern niecierpliwie.

Lara bezradnie wzruszyła ramionami.

– Też nie wiem, jak to zrobił. Harald Linz nadjechał z naprzeciwka swoją furgonetką... Zatrzymałam się na

chwilę, zamieniliśmy kilka słów, nie trwało to dłużej niż dwie, może trzy minuty i zanim się spostrzegłam, drzwi samochodu były otwarte, a autostopowicza nigdzie nie było.

Kern, Hausmann i Torben spojrzeli po sobie.

– Zniknął, tak po prostu? – zapytał Kern, marszcząc brwi.

– No przecież mówię. – Lara nie unikała wzroku policjanta.

– Ale nie mógł tak po prostu rozpuścić się w powietrzu! – Kern przeczesał palcami włosy. – Jak pani myśli, ile mógł mieć lat?

– Trudno powiedzieć. – Lara zamyśliła się. – Powiedziałabym, że był co najmniej po trzydziestce, ale nie starszy niż pięćdziesiąt.

– No świetnie – chrząknął Kern i głośno klasnął.

Sylwia Hausmann spojrzeniem nakazała koledze trochę się opanować.

– Zdajemy sobie sprawę, jak się pani musi czuć w obecnej sytuacji – zaczęła – i obiecuję, że nie opuścimy Rugii, zanim się nie upewnimy, że pani i rodzinie nic nie grozi.

Lara spoglądała to na nadkomisarz, to na jej partnera. *Puste słowa i tyle.* Jeśli miały ją podnieść na duchu, to nie zadziałały zbyt dobrze. Niestety, Wypruwacz znajdował

się w wygodnej sytuacji – był jak snajper. Pojawiał się z zaskoczenia i decydował o życiu i śmierci.

– Już raz zabrał mi moje życie. Nie chcę, żeby udało mu się to po raz drugi, rozumieją państwo?

Policjanci przytaknęli równocześnie.

– Proponuję rozejrzeć się w sklepie tej Jakobi – stwierdziła nadkomisarz.

Magnus Kern podrapał się po brodzie niezbyt przekonany co do jej planu, ale nie wyraził sprzeciwu.

– Potem odwiedzę męża pani Linz.

Lara wzięła mapę wyspy z półki i rozłożyła ją na stole.

– Tu, na północy, nawigacja czasami zawodzi – ostrzegła, zaznaczając oba adresy na mapie.

Kern kiwnął głową i wstał jako pierwszy, nawet nie tknąwszy swojej kawy.

– Ach, gdyby się pani jeszcze coś przypomniało...

– Dam panu znać – dokończyła Lara. Znała te słowa na pamięć. *To samo zdanie co sześć lat temu. Te same twarze. Ten sam strach.*

Gdy tylko policjanci opuścili pensjonat, Torben schował faks do walizki.

– Taa... Mam jeszcze coś do załatwienia. – Posłał Larze uśmiech, którego nie była w stanie zinterpretować, i zniknął.

Drzwi kuchenne zamknęły się z trzaskiem. Lara siedziała jeszcze przez chwilę z pustką w sercu. Niewiele pozostało z jej dawnej silnej osobowości. Kobieta czuła się bezradna. Nienawidziła się za to. Jeszcze raz przeanalizowała, co powiedzieli policjanci. Lecz poukładanie informacji w głowie okazało się ponad siły. Wszystko w Larze broniło się przed świadomością, że okradziono ją nie tylko z przeszłości, ale też z przyszłości. Zanosiło się, że Lara znowu będzie musiała uciekać w całkiem nowe, inne życie.

Czego ja się właściwie spodziewałam? Że policjanci pojawią się na Rugii ze swoimi pistoletami i po szybkim abrakadabra i głośnym bum–bum życie w magiczny sposób wróci do normy?

Lara zamknęła oczy, by uspokoić myśli. Nagle usłyszała znajomy śmiech. Niby daleko, a jednak całkiem blisko. Śmiech matki.

W przeciwieństwie do Lary uwielbiała zmieniać charakter, nigdy nie była naprawdę sobą. Lara wspomniała, jak matka poprawiała głęboko wydekoltowaną suknię wieczorową przed lustrem w zapuszczonym mieszkanku w dzielnicy Neuköln.

– Jak wyglądam? – spytała, robiąc piruet u wejścia do pokoju dziecięcego. Lara spojrzała sponad pracy domowej i uśmiechnęła się sztywno, przyciskając ołówek tak mocno do kartki, że się złamał. Już jako dziecko rozumiała, że ani nowa sukienka, ani złoty wisiołek z serduszkami zdobiący

szyję jej matki nie były prezentami od ojca, któremu z renty ledwie udawało się utrzymać rodzinę.

– Niestety, nie robię się młodsza i zaczynam wyglądać na swój wiek. – Matka krytycznie spojrzała w lustro, czekając, aż Lara zaprzeczy.

Lecz Lara nie zaprzeczyła.

Nigdy nie zaprzeczała. Zawsze widziała matkę taką, jaka była: aktorka, która do końca życia czekać będzie na główną rolę.

Gdy rysy twarzy jej matki powoli blakły, z zamyślenia wyrwał Larę piskliwy dzwonek komórki. Wróciła do teraźniejszości. Wyciągnęła telefon z kieszeni i spojrzała na wyświetlacz, SMS od Franka.

„Kochanie, wszystko tu się jeszcze trochę przeciąga. Odezwę się, jak tylko będę mógł”.

Obrażona podniosła wzrok. Drzwi właśnie znowu się otworzyły.

– Przepraszam. – Do kuchni weszła Sylwia Hausmann. – Ta mapa Rugii, czy ja jej gdzieś tu... – urwała. – Wszystko w porządku? Jest pani blada.

Lara wciąż siedziała przy stole, jakby czekała na pozwolenie, żeby wstać.

– Tak, znaczy nie, wszystko w porządku. – Uśmiechnęła się, by ukryć smutek.

Hausmann spojrzała na aktywny wyświetlacz telefonu

leżącego na blacie.

– Czy odezwał się pani partner? – spytała, jakby potrafiła czytać w myślach.

Lara zastanawiała się, co odpowiedzieć, lecz w końcu zdecydowała, że związek Franka i Barbary Linz nie ma nic do rzeczy.

– Nie, niestety nie. – I nie zastanawiając się nad tym, dlaczego to zrobiła, skasowała SMS-a od Franka. – To tylko Torben.

Hausmann przytaknęła. Z ręką na klamce spytała otwarcie:

– Jak długo zna pani pana Landsberga?

– Od wieków. Pół życia, jak nie dłużej. Dlaczego pani pyta?

– Tak tylko. – Policjantka już bez zwłoki wyszła z kuchni do samochodu.

Lara pobiegła za nią.

– Pani Hausmann!

Nadkomisarz zatrzymała się.

– Tak?

– Zapomniała pani mapy.

– Ach, dziękuję.

Lara obserwowała ją nieufnie, aż wsiadła do rudego passata.

Może i jest dobrą policjantką, ale kiepsko kłamie.

* * *

Drzwi starego domu były uchylone. Magnus Kern zdjął okulary i wsunął je w kieszeń marynarki. Czubkiem buta popchnął drzwi.

– Panie Linz?

Brak odpowiedzi. Upewniwszy się, że ma łatwy dostęp do broni służbowej, Kern przeszedł przez próg. Z kuchni dobiegało gwizdanie czajnika.

Kern ruszył ostrożnie, starając się omijać leżące wszędzie butelki po piwie. Zajrzał do kuchni. Czajnik stał na gazie. Policjant wyłączył go i rozejrzał się po pomieszczeniu. Gwizdanie powoli cichło.

Buty kleiły mu się do podłogi. W otwartych szufladach walały się sztucce, pinezki, notesy i długopisy. Na niebieskim drewnianym regale w rogu stała popękana zastawa, obrusy i książki kucharskie. Nigdzie natomiast nie było zdjęć rodzinnych. Na stole zamiast kwiatów w wazonie piętrzyły się brudne naczynia. Choć od śmierci Barbary Linz minęły niecałe dwadzieścia cztery godziny, dom wyglądał jak niesprzątany od wieków.

Może Linz po prostu była świetną gospodynią u innych, we własnym domu natomiast nie przejmowała

się czystością.

Podobnie jak u sadystów, którzy potrafię zadawać straszny ból innym, lecz sami są wrażliwi jak małe dzieci – pomyślał Kern, spoglądając na hak do mięsa zwisający z sufitu.

Wyszedł z powrotem na korytarz. W starych, zaśniedziałych pucharach piętrzyły się niedopałki papierosów. Na ścianach wisiały niezliczone odznaki ochotniczej straży pożarnej w Lohme i stare obrazy olejne ukazujące scenki z polowania czy morskie wyprawy. Kern stwierdził, że drzwi do pobliskich pokoi były zamknięte. Wszystkie poza ostatnimi, które okazały się uchylone.

Kern wyjął pistolet i oparł się plecami o ścianę.

– Panie Linz, jest pan tam?

Cisza. Kern odbezpieczył broń, policzył do trzech i otworzył drzwi.

Rozejrzał się po ciemnym pokoju. Smród rozlanego piwa, starej wody kolońskiej i papierosów był tu jeszcze silniejszy niż na korytarzu. Kern nie musiał długo szukać sprawcy. W świetle wpadającym przez okna dostrzegł Harolda Linza siedzącego w bujanym fotelu. Wyglądało na to, że mężczyzna zasnął z brodą wspartą na piersi. Na jego kolanach siedział gruby kot.

Kern po raz kolejny rozejrzał się po pokoju, po czym dwukrotnie zapukał głośno we framugę.

Linz po chwili otworzył oczy.

– Kim pan jest? – wymamrotał. – Jak pan tu wszedł?

– Przez drzwi – odpowiedział policjant. Schował broń i wyciągnął odznakę. – Komisarz Magnus Kern, wydział zabójstw z Berlina. Czy możemy chwilę porozmawiać?

Harald Linz ledwo utrzymywał otwarte oczy. Podkoszulek miał brudny, miedziane włosy w nieładzie.

– Panie Linz?

Mężczyzna nie odpowiedział, nie próbował też wstać z fotela. Zamiast tego zaczął spokojnie głaskać kota.

– Panie Linz, chodzi o morderstwo pana żony. Czy mógłbym zadać panu kilka pytań?

– To ona codziennie karmiła tego grubego kocura...

– Panie Linz, ja...

– Każdego cholernego dnia – wyskrzeczwał mężczyzna i zatopił palce w gęstym futrze zwierzęcia. – Kupowała to cholerne żarcie u Grubera.

Kern podszedł do okna i rozsunał zasłony.

– Hej, niech pan przestanie! – Linz zrzucił kota z kolan i zasłonił oczy przed wpadającym światłem.

– Wszystko, co wiem, powiedziałem Petzoldowi i jego ludziom...

– Petzold i jego wiejscy policjanci. Ich kompetencje nie wykraczają poza drobne kradzieże – prychnął Kern bardziej do siebie niż do Linza, po czym przyjrzał się uważnie gospodarzowi. – Skoro wszystko pan już powie-

dział, powtórzenie nie powinno sprawić panu trudności.

Linz popatrzał na niego z krzywym uśmiechem.

– Pan żartuje?

Policjant skrzyżował ręce na piersi.

– A wyglądam, jakbym żartował?

Linz wymamrotał coś pod nosem.

– Zakładam, że nie będzie miał pan nic przeciwko, jeśli rozejrzę się po domu?

– A właśnie że mam coś przeciwko! – zaprotestował Harald Linz. – Dopóki nie wyciągnie pan nakazu, zabraniam panu węszyć po moim domu!

– Panie Linz, chyba panu zależy, żebyśmy złapali sprawcę. – Kern wsadził ręce do kieszeni i zrobił efektowną pauzę. – A może nie?

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko wyciągnął rękę po butelkę leżącą pod marną plastikową choinką stojącą zapewne od zeszłego roku, po czym się napił.

– Moja żona nie żyje i nic tego nie zmieni!

Kern westchnął.

– Potrafię sobie wyobrazić, jak ciężko jest stracić kogoś bliskiego...

– Nic pan nie potrafi! A poza tym co pan w ogóle wie, panie superpolicjant z Berlina? Przyływa pan na Rugię i zgrywa się na superglinę, ale nie ma pan pojęcia, co tu się

dzieje...

– No to niech mnie pan oświeci, panie Linz – odpowiedział policjant z rozdrażnieniem.

Mężczyzna pokręcił głową, wydawał się nieobecny.

– Był pan żonaty?

Kern pogładził się po knykciach.

– Nie. – Tym razem to on pierwszy odwrócił wzrok. – Pańska żona wracała z pensjonatu Burlacher – zmienił temat i przejechał palcem wskazującym po dolnej wardze. – I jeśli się nie mylę, zawsze wracała tą samą trasą przez las. – Przechylił głowę i spojrzał na Linza spod przymrużonych powiek. – Czy jest możliwe, że czasami chodziła inną trasą?

– Czemu by miała? – wykrztusił Linz i spojrzał na butelkę.

Kern odchrząknął.

– Panie Linz, kiedy ostatni raz widział pan żonę?

– No, w niedzielę. Zona wygrała wycieczkę w takiej loterii, od razu jej powiedziałem, że to oszustwo, ale nie chciała mnie słuchać. No i oczywiście to ja miałem rację. Wyjazd wypoczynkowy okazał się nagonką sprzedażową, a żona wróciła już w niedzielę koło piątej, może wpół do szóstej...

– I przez resztę wieczoru nie widział pan żony?

Potrząsnął głową.

Kern zerknął na szafkę, w której piętrzyły się pornosy najróżniejszych kategorii.

– Ma pan ładną kolekcję.

– To nie pańska sprawa!

Kern tylko się uśmiechnął.

– Gdzie PAN właściwie był wczoraj wieczorem?

Linz uniósł na niego zaczerwienione oczy.

– Co to ma znaczyć? Czy pan mnie teraz podejrzewa? Toż to skandal, za co płacę podatki!?

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – chrząknął Kern.

Linz po raz kolejny chwycił flaszkę i napił się alkoholu.

– Wie pan co? Ja teraz po prostu zamknę ryj.

– Panie Linz, dlaczego pan nie pobiegł do masarni jak cała reszta, gdy znaleziono pańską żonę?

Harald Linz skrzyżował ręce na piersi i ze stoickim spokojem gapił się w przestrzeń, nie zwracając na policjanta uwagi.

– No dobrze, jak pan chce – jęknął Kern. – W takim razie porozmawiamy jutro rano na komisariacie w Sassnitz. Proszę stawić się o dziewiątej, i to na trzeźwo! A jeśli pan się nie zjawi, każę wystawić nakaz!

Linz uśmiechnął się i zasalutował.

– Tak jest, panie sierżancie.

Jeszcze ci się odechce śmiać – pomyślał Kern, pokręcił głową i wyszedł.

Mimo że dopiero co poznał tego mężczyznę, zdawało mu się, że Harald Linz coś ukrywa, coś ważnego. Kiedy opuścił budynek, wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i właśnie miał wsiąść do samochodu, gdy dostrzegł wielki regał wypchany puszkami bez opisu.

Zdziwiony podszedł bliżej i wziął jedną do ręki. „Karma dla kota. Masarnia Freerk Gruber. Wyprodukowano na Rugii. Dystrybucja Meat GMBH, Sellerstrasse, Berlin” – nabito na dnie. Kern odstawił puszkę i spisał adres firmy w Berlinie, by później sprawdzić. Przymknął oczy w zamyśleniu. *Więcej tu Grubera, niż mogłoby się podobać staremu Linzowi.*

Powoli zaczynał już wszystko rozumieć.

* * *

– Fabian z klasy równoległej powiedział, że jego ojciec powiedział, że to diabeł porwał panią Linz – krzyknął Henryk z tylnego siedzenia. – To prawda?

Lara, która odbierała Emmę i Henryka ze szkoły, żeby nie musieli wracać sami, zadrżała na samą wzmiankę.

– Henryk, przecież wiesz, jaki jest ojciec Fabiana.

Plecie, co mu ślina na język przyniesie. Nie można wierzyć we wszystko, co ludzie mówią.

– Więc kto to był?

Lara poczuła ucisk w brzuchu.

– To... policja pewnie się wkrótce dowie – powiedziała, zastanawiając się, czy sama w to wierzy.

– Ma pani na myśli panią Hausmann i pana Kerna?

Lara kiwnęła głową i spojrzała przelotnie na Emmę, która przewijała playlistę swojego iPod'a.

– Czy Kern jest prawdziwym komisarzem? – spytał Henryk.

– Tak. – Lara zerknęła znowu w lusterko, by się upewnić, że nikt za nimi nie jedzie.

– A pani Hausmann?

– Wyobraź sobie, ona jest nawet nadkomisarzem.

– Fajnie – wykrzyknął Henryk zafascynowany. – Aleja bardziej wolę Dumbo niż panią Hausmann.

– Dumbo? – zaśmiała się Lara. – Tylko żebyś przy nim tego nie mówił.

Henryk się uśmiechnął.

– Jak będę duży, też zostanę policjantem.

– Tak? – zapytała Lara z uśmiechem. – Jak się parę miesięcy temu paliło w masarni u Grubera, to chciałeś zostać strażakiem.

– W dzisiejszych czasach nie można polegać na jednym zawodzie – odpowiedział jedenastolatek przemądrzale. Wygrzebał z tornistra ulotkę i podał ją do przodu. – Niech pani patrzy, ja i Emma chcemy się tam dzisiaj wybrać!

Lara zatrzymała się na czerwonym świetle. Dopiero po kolejnym kontrolnym spojrzeniu w lusterko przyjrzała się ulotce, z której szczyrzyła się maska klauna.

„Cyrk Ronbelli – widowiskowe przedstawienie na arenie! Po raz pierwszy na Rugii! Pole namiotowe w Bergen”.

Przypomniała sobie klauna, którego widziała ostatnio za oknem. A więc wcale go sobie nie wymyśliła. Ale co, do cholery, robił w ogródku? Odwróciła się do Henryka.

– Skąd to masz? – spytała z pozorną obojętnością. Puls jej przyśpieszył.

– Dostałem to w... w szkole. Możemy tam pójść?

Lara zastanawiała się.

– Zdumiewające, że chcesz coś zrobić razem z Emmą.

– Ale po południu jest wielkie przedstawienie z niedźwiedziami! Emma też chce je zobaczyć! – Potrząsnął od tyłu siedzenie Emmy i pociągnął ją za szalik.

– Prawda?

Ku jego zaskoczeniu Emma odwróciła się i uśmiechnęła.

– Obawiam się, że w tej chwili to nie najlepszy pomysł
– westchnęła Lara.

Henryk zaczął natychmiast protestować.

– Ale Fabian też może tam iść!

Lara schowała ulotkę do kieszeni i w zamyśleniu spojrzała przed siebie. Wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki nie zobaczy klauna na arenie i nie rozejrzy się na terenie cyrku.

– Pogadamy później, dobrze? – spróbowała udobruchać Henryka, przerwało jej jednak trąbienie z tyłu.

– Jedź, do cholery, bardziej zielone nie będzie! – wrzeszczał mężczyzna z furgonetki.

Lara spojrzała na światła.

– No dobrze, dobrze – wymamrotała i nadepnęła na gaz. – Dlaczego nie wybierzemy się do cyrku, gdy wrócą twoi rodzice? – zaproponowała, gdy już jechali. – Pewnie też by chętnie zobaczyli przedstawienie z niedźwiedziami.

– No dobrze... – zgodził się Henryk i zasmucony opadł z powrotem na siedzenie.

Gdy dotarli do pensjonatu, Lara została w samochodzie. Chciała sobie poukładać myśli. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła Torbena, który panicznie uderzał w szyby busa.

Natychmiast odpięła pasy i pospieszyła do samochodu przyjaciela.

– Mój Boże, co się stało?

Torben uchylił drzwi odrobinę.

– Ta bestia nie chce mnie wypuścić! – Wyglądał na wykończonego. Lara roześmiała się, zrozumiałwszy, że miał na myśli starego owczarka leżącego na podjeździe.

– Wybacz... – Całkiem zapomniała, że w dzieciństwie Torben został ugryziony i od tego czasu panicznie bał się psów.

– Hektor, chodź – zawołała i zagwizdała. Lecz pies nie zareagował, leżał na podjeździe, nie spuszczać wzroku z busa. Lara poczuła irytację, pierwszy raz pies zachowywał się tak wrogo wobec gościa.

Dopiero po drugim wołaniu zwierzę wstało i powoli poczępało za Larą do klatki.

– No włącz! – Podrapała go za uszami, po czym zamknęła drzwiczki i wróciła do Torbena. – Teraz lepiej?

Przyjaciół spojrzeli nieufnie na klatkę, po czym ostrożnie opuścili samochód.

– Nareszcie, już się zastanawiałem, gdzie się podziałaś.

– Są jakieś wieści z medycyny sądowej? – zapytała.

Torben zerknął na Emmę, która właśnie wyszła z domu.

– Torben...?

Ponownie spojrzeli na Larę.

– Tak?

– Są jakieś wieści? – powtórzyła zniecierpliwiona.

Pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, jeszcze nie zakończono sekcji Barbary Linz. Nie martw się, jak tylko coś się zmieni, dowiesz się pierwsza – zapewnił, z trudem odrywając oczy od Emmy. – Jest coraz bardziej podobna do ciebie.

Lara przytaknęła i wzruszyła ramionami.

– Czy mogłabym zostawić dzieciaki z tobą na dwie lub trzy godziny?

– Masz na myśli teraz, zaraz?

Lara wydeła usta.

– Jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu?

Zastanowił się.

– Jasne, chętnie – uśmiechnął się w końcu. – Masz jakieś plany?

Potarła się po karku.

– Chcę załatwić parę spraw na mieście. – *Dobre kłamstwo.*

* * *

– Szuka czegoś konkretnego? – zapytała Doris Jakobi z typowym dla miejscowego dialektu zaciąganiem. Stała

za ladą i liczyła gotówkę.

Sylwia Hausmann rozejrzała się po sklepie, po czym położyła odznakę na kontuarze.

– Nadkomisarz Hauptmann – przedstawiła się i wróciła do oglądania sklepu. Na jednej z półek stały wypchane kuny z martwymi ślepiami. Na ścianie wisiała szafka z wiatrówkami i karabinami wyborowymi. Odważna stara kobieta koło siedemdziesiątki zmierzyła policjantkę przenikliwym spojrzeniem.

– Z policji? Jak przyszła w sprawie tego chłopka ostatnio, to przecie ja nie mogła wiedzieć, że on ni majyszcz e osiemnastu, jak żem mu sprzedawała flinte.

Hausmann odchrząknęła.

– Nie, nie, ja w całkiem innej sprawie. Jestem z wydziału zabójstw i prowadzę dochodzenie dotyczące Barbary Linz – powiedziała, mimo że nie było to do końca prawdą. – Wychodzę z założenia, że słyszała pani o tym?

Jakobi wybałuszyła oczy.

– Oczywiście. Wszyscy my słyszeli. Okropność. – Stara kobieta pokręciła głową ze smutkiem. – Kto by mógł zrobić takie coś?

Hausmann wciągnęła powietrze przez zęby.

– Cóż, tego właśnie chciałabym się dowiedzieć.

– Chyba ni myśli, że to był kto z naszych z wyspy? – Jakobi wyglądała na bardzo przejętą.

– To się jeszcze okaże – stwierdziła Hausmann sucho i mimochodem, równie obojętnie, jak obracała łuskę między palcami, spytała: – Co właściwie sprzedaje się najlepiej?

Jakobi odłożyła pieniądze do kasy.

– No, strzyłby i takie tam.

– Co to znaczy „i takie tam”?

Jakobi spuściła wzrok na swoją obrączkę, która wyglądała, jakby z biegiem lat wrosła w gruby palec kobiety.

– Od kiedym pochowała mojego Wilhelma, to sama prowadzę tyn sklep. Już dziesięć lat byndzi, i to w moim wiku! Niech mnie kto ino pokaże, że tyż tak potrafi. – Stuknęła się w czoło. – Niech wierzy lub nie, ale tu, u góry, jyszczе wszystko działa jak trza. Nawet rachunki sama robie. Moi stali klienci mogo nawet u mni na kreche brać i wtydy ja mówię, że zapłaco, jak będo mieli kase. U mnie to się jyszczе ludzkie słowo liczy tyle co piniondz.

Hausmann uśmiechnęła się z przymusem i przyjrzała wystawie noży myśliwskich w gablocie obok lady.

– Czy Barbara Linz i jej mąż też należeli do pani starych klientów?

Pytanie chyba zbiło Jakobi z tropu.

– Czemu chce to wiedzieć?

Hausmann westchnęła i pokręciła głową.

– Proszę pani, nie pytam o kombinację do pani sejfu,

tylko o...

– Ni, nie byli – wpadła jej w słowo Jakobi, zerknąwszy na drugą stronę ulicy, gdzie barczysty mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce właśnie wsiadł na kawasaki i odjechał.

Hausmann, która podążyła za jej wzrokiem, spytała:

– Zna pani tego człowieka?

– Ni.

Nadkomisarz spojrzała podejrzliwie, po czym wróciła do tematu zmarłej.

– Skoro Barbara Linz nie należała do pani klientów, to skąd panie się znały?

– No, jak by to wyjaśnić, ludzie się tu znają po prostu.

– A jaka ona była?

– No a jaka miała być...

Hausmann powoli traciła cierpliwość.

– Mam na myśli, czy była lubiana? Może miała wrogów? – podpowiedziała Hausmann.

– Wrogów? Pani Linz? Ni... ni żeby wiedziała.

– Jest pani pewna?

Stara kobieta wsparła się na ładzie.

– Jest przecie policjantkom, niech się sama dowi.

Hausmann wsunęła rękę do kieszeni kurtki.

– Rozumiem... – wydeła usta. – A co się mówi o Burlacherze, dla którego pracowała?

– To je dobry chłop. – Jakobi pochyliła się konfiden-
cjonalnie. – Ale ta jego panna, ta Wöhler, ta to ni zamieni
z tobo ani słowa wiencyj, niż to je koniczne. Pewno ma sie
lepszym. Czy to je wszystko? – spytała Jakobi niepewnie.

Lecz Hausmann nie dała się odprawić. Odchyliła
głowę i spojrzała na sufit.

– Czy ma pani tu kamery?

– Ni, toż tu mieszkajo same porządne ludzie – za-
skrzeczała Jakobi, rozpakowując karton z lornetkami. –
A czemu pyta?

– Poszukuję ciemnowłosego mężczyzny, który miał
się tu zjawić w piątek przed południem. Miał podarte
dżinsy i skórzaną kurtkę. Nosił plecak wojskowy.

Doris Jakobi poukładała lornetki na półce obok nok-
towizorów i siatek maskujących.

– Ni żebym wiedziała.

– Jest pani pewna? Na szyi miał skórzaną obrozę
z ćwiekami, takiego to się tu pewnie na co dzień nie
uświadczy.

Jakobi zamyśliła się.

– A wi, że ostatnio faktycznie tu taki jedyn przylazł.
Straszno mu było śpieszno. – Pokręciła głową. – Ni miał
żadnych manierów. A na gembie to takie wielkie krosty

miał... – Zgarbionymi palcami pokazała na własnej twarzy, gdzie dokładnie widziała krosty, krzywiąc się z odrazą. – Ni wyglondało to dobrze.

Hausmann spojrzała na nią uważnie. *To on.*

– I co on u pani kupił?

Jakobi uśmiechnęła się zawstydzona.

– No wi co, ni gadam o klientach, to sprawa honoru.

Hausmann spojrzała na nią zimno.

– Święty Boże, ja tu prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa! – zasyczała i ponownie rozejrzała się po sklepie. – Chyba rozumie pani, że w takim razie dla mnie będzie sprawą honoru poprosić kolegów ze skarbówki, żeby przyjrżeli się bliżej pani sklepowi.

Jakobi spojrzała na nią skruszona.

– No dobrze, kupił pułapki.

– Jakie pułapki?

– No takie na zwierza.

Dlaczego akurat pułapki na zwierzynę? To do niego niepodobne.

– I dlaczego pani tego zaraz nie powiedziała?

Jakobi nabrała głęboko powietrza.

– To były potrzaski.

– Chyba pani żartuje! – Hausmann ledwie panowała nad gniewem.

– Wim, że zakazane...

– I nie bez powodu. Niech mi pani nie mówi, że nie wie, jak są niebezpieczne!

Zauważyła, jak ręce starej kobiety zaciskają się na ladzie.

– Miałam jyszcze pare takich z tyłu w magazynku. A on sie tak napalił...

Hausmann zacisnęła zęby.

– Czy mogę je zobaczyć?

Jakobi odmówiła.

– On wszystkie wykupił.

– Wszystkie, pani Jakobi? – powtórzyła Hausmann szorstko.

Stara kobieta spuściła chytrze wzrok.

– No, jedną albo dwie to jyszcze gdzieś mam. – Poczłapała do magazynu i po chwili wróciła z metalowym, około trzydziestocentymetrowym potrzaskiem. – To je raczej... to było – poprawiła się – dla dużej zwierzyny.

Albo dla ludzi – dodała Hausmann w duchu.

– Ile pani mu takich sprzedała?

– Trzy.

Komisarz spojrzała na nią badawczo.

– No dobrze, cztery – przyznała w końcu Doris Jakobi.

Hausmann prychnęła.

– Kupił coś jeszcze?

Stara kobieta pokręciła głową.

Kommissarz westchnęła zrezygnowana.

– Niech zgadnę, płacił gotówką?

– Jo, tak właśnie. I jak mam być szczerą, to się strasznie cieszyła, jak se znowu polazł.

– Czy wie pani, dokąd poszedł?

Jakobi podrapała się po brodzie i zaprzeczyła.

– Ni. Ale takie chłopaki jak on często lubiom się kręcić przy starej chacie na klifie.

Sylwia Hausmann skinęła głową. Wiedziała, że wiele domów na klifie padło ofiarą obsuwającej się ziemi. Teren zamknięto i od tego czasu wiele stało pustych.

– Dobrze, może się tam rozejrzę. – Podała Jakobi swoją wizytówkę i trzymała ją wyciągniętą tak długo, aż stara kobieta ją w końcu wzięła. – Proszę się zgłosić, jak się pani coś jeszcze przypomni.

– Jasne.

Okolo pół godziny po opuszczeniu sklepu starej Jakobi Hausmann dotarła na klif. Zaparkowała passata nieopodal opuszczonego domu, gdy zadzwonił telefon.

– Hausmann.

Słuchała w milczeniu.

– ...tak... rozumiem. Ach, pani Simons, czy przemyślała pani hipnozę? – zapytała na koniec z nadzieją. – Oczywiście zdaję sobie sprawę, że taka sesja jest ryzykowna, i rozumiem, że ten doktor Lange pani odradza, ale to... Nawet jeśli uda nam się połączyć ślady DNA znalezione na czapce z innymi ofiarami, to mamy tylko luźny łańcuch poszlak – wyjaśniła komisarz. – Bez twardych dowodów nie przyjmie tego żaden prokurator. Nie mówiąc nawet o nakazie aresztowania! A kto wie, może Emma powie coś, co... tak, dobrze... do usłyszenia.

Jak tylko skończyła rozmowę, wysiadła z samochodu i skierowała się prosto do opuszczonego domu jednorodzinnego. Drzwi były wyłamane. Sylwia Hausmann zignorowała szyld z napisem „Teren zagrożony zawaleniem – zakaz wstępu” i przeszła pod taśmą policyjną odgradzającą teren.

Zajrzała do sieni. Znajdowały się tutaj wsporniki, jakby bano się, że budynek w każdej chwili może złożyć się jak domek z kart. Kolejne pomieszczenia wyglądały tak samo. Zapaliła latarkę i rozejrzała się po pierwszym. Jedyne małe dziecięce łóżeczko świadczyło, że kiedyś dom ten zamieszkiwała rodzina. Hausmann zbliżyła się do ostatnich drzwi. Za nimi znajdowało się jedyne pomieszczenie, w którym nie zabito okien deskami. Nie bez przyczyny. Drzwi balkonowe, niegdyś prowadzące na werandę, były wyłamane, a za nimi ziała przepaść. Prawie cała weranda już się obsunęła. Wyglądało to jak po trzęsieniu

ziemi lub huraganie. Głęboka, może dwudziestocentymetrowa wyrwa przecinała pokój.

Hausmann postanowiła rozejrzeć się po pozostałych pomieszczeniach. Na ścianach widać było kolorowe grafity. Na starej, podartej kanapie ktoś rozciągnął gruby wełniany koc, a zaraz obok postawił parę wojskowych butów. Komisarz pochyliła się i powąchała otwartą puszkę z chilli con carne. *Stoi tu zaledwie kilka dni.* Odstawiła ją i przesunęła latarką po reszcie pokoju przecinanego smugami światła przesiąkającymi przez szpary w deskach. Nagle usłyszała szmer z piwnicy. Ewidentnie nie była sama.

Uniosła latarkę i pośpieszyła do sieni, skąd wąskie schody prowadziły do piwnicy. Hausmann zeszła ostrożnie po stromych stopniach. Tynk obsypywał się ze ścian. Poczowała silny smród starych, wilgotnych cegieł. Na dole omiotła ciemność latarką. Nagle usłyszała skrzypienie. Przestraszona upuściła latarkę. Lecz okazało się, że to tylko szczury, które spłoszone szybko skryły się za kupą starych gratów.

Hausmann odetchnęła z ulgą i właśnie chciała się schylić po latarkę, gdy odgłos za plecami sprawił, że wstrzymała oddech. I tym razem nie były to szczury, lecz kroki. Ktoś jeszcze był w piwnicy.

Wsunęła rękę pod płaszcz i chwyciła broń, lecz zanim zdążyła wyciągnąć ją z kabury, poczuła lufę przy skroni i usłyszała odciągany kurek.

– Popęlnia pan właśnie wielki błąd! – wysyczała Hausmann.

Gdy tylko się odezwała, zelżał nacisk na jej skroni.

– Sylwia?

Ze zdziwieniem rozpoznała głos swojego partnera.

– Magnus? Co ty tu robisz, do jasnej cholery?!

– To samo mógłbym cię spytać, do diabła! – odpowiedział Kern równie zdenerwowany, po czym schował broń. – Kurwa, przecież mogłem cię zastrzelić!

– No, przynajmniej udało ci się napędzić mi niezłego stracha – odcięła się Hausmann, gdy jej puls wrócił nieco do normy. Podniosła latarkę i ponownie poświeciła po pomieszczeniu.

– Dowiedziałem się, że ten typ się tutaj kręci – wyjaśnił Kern.

– Na to wygląda... – Hausmann poświeciła na ciemny kształt przy drzwiach. – Potrzymaj.

Podawała Kernowi latarkę, założyła lateksowe rękawiczki i podniosła stary wojskowy plecak. W środku nie znalazła nic poza bielizną i paczką gumy do żucia.

– Bingo! – Posłała Kernowi zadowolone spojrzenie. Nagle z góry rozległo się niepokojące skrzypienie i trzaski, jakby dom miał się w każdej chwili zawalić.

– Chodź, spadamy stąd! – zerwał się Kern. – Nie mam najmniejszej ochoty zostać tu pochowany żywcem!

* * *

Jadąc wzdłuż brzegu, Lara nie mogła przestać myśleć o masce klauna. Musiała zbadać tę sprawę.

Morze Bałtyckie rozciągające się po lewej niczym wielka plama błękitu zawsze miało na nią uspokajający wpływ. Nawet przeprowadzka z Berlina nie była dzięki temu aż tak uciążliwa.

Lecz teraz nawet morze nie pomagało.

Po około pół godzinie Lara minęła tablicę z napisem „Bergen” i zaparkowała niedaleko placu. Na afiszu przed wielkim namiotem wypisano: „Następne przedstawienie o godz. 16.00”. W budce biletowej nie było nikogo. Lara rozejrzała się na tyłach cyrku, lecz nieprzenikniona płåtynina wozów, klatek dla zwierząt i mniejszych namiotów świeciła pustkami. *Wyobrażałam sobie, że będzie tu jakoś tłoczno* – pomyślała Lara. Naraz usłyszała za sobą głosy. Odwróciła się, lecz nie zobaczyła nikogo. Zapięła kurtkę i ruszyła w głąb cyrkowego obozu, zaglądając w okna wozów. Ponownie usłyszała kroki, tym razem o wiele bliżej. Odwróciła się, lecz wtedy kroki ucichły. Nikogo nie było widać ani słychać. *Weź się w garść, to tylko wyobraźnia!*

Gdy Lara ponownie się odwróciła, ujrzała karła ciągnącego białą kozę. Pojawił się jakby znikąd.

– Chwileczkę, proszę zaczekać! – dogoniła go Lara. Pochyliła się nad siwowłosym mężczyzną i spojrzała na niego z nadzieją. – Czy może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę klauna?

Zdawało jej się, że zapytany nie rozumie.

– Szukam klauna – powtórzyła Lara. – Rozumie pan, KLAUNA.

Karzeł wzruszył ramionami i pociągnął kożę dalej. Zdezorientowana Lara patrzyła, jak się oddala. Tylko dlatego zauważyła, jak otwierają się drzwi jednego z wozów. Schowała się za wychodkiem i ze zdziwieniem stwierdziła, że z busa campingowego na berlińskich rejestracjach wychodzi Arne.

Pożegnał półnagą brunetkę i właśnie zapinał zamek dzinsów, gdy Lara zastąpiła mu drogę.

– Co ty tutaj robisz?

Arne stanął jak wryty i popatrzył na Larę, jakby ujrzął ducha.

– Śledzisz mnie czy co?

– Może powinnam! – prychnęła. – Co ty wyprawiasz? To raczej nie jest przypadek, że akurat na ciebie tutaj wpadłam!

Podszedł do niej spokojnym, spacerowym krokiem.

– Jestem wolnym człowiekiem i z tego, co wiem, nie ma zakazu wchodzenia na plac – wyjaśnił, ścierając przy

okazji resztki szminki z szyi.

Lara zmierzyła go spojrzeniem, mrużąc oczy.

– To ty byłeś klaunem, którego widziałam za oknem! –
Skinieniem głowy wskazała na wóz, z którego wyszedł. –
Masz tam swoje przebranie? Tak? Tam je ukrywasz?

– Przebranie? Jakie przebranie?

– Maskę klauna, cholera! Tylko się nie zgrywaj! Dokładnie taką, jaką widziałam po otwarciu mojej kawiarni!

– Co?

– Tylko nie zaprzeczaj! Zostawiłeś maskę na zapleczu! Kim ty jesteś, do kurwy nędzy?

Arne tylko się skrzywił.

– Zwariowałaś do reszty? Dlaczego w ogóle tak się przejmujesz jakąś głupią maską? Wyluzuj i przestań wszędzie widzieć duchy!

Larze zaczęło pulsować w skroni.

– Linz też niby nic nie widziała. Co z wami jest, zgadaliście się czy co? Powiedz mi w końcu prawdę, Arne! –
Lara czuła, że zaraz straci nad sobą panowanie.

Arne chwycił ją szorstko za ramię i pociągnął do najbliższego namiotu.

– Cholera, dziewczyno, weź się uspokój! Czyś ty kompletnie zwariowała?

Ale Lara nie chciała się uspokoić.

– Nie dotykaj mnie! – Wściekle odtrąciła jego rękę. W drewnianą tablicę za plecami Lary nagle wbił się długi nóż. Minał kobietę o włos. Cofnęła się przerażona.

– Stary, prawie ją zabiłeś! – krzyknął Arne do ubranego tylko w błyszczące spodnie dresowe mięśniaka, który wyłonił się z półmroku namiotu.

– To jest mój namiot! Wypierdalać! – Mężczyzna rzucał słowa w tym samym tempie co noże, z których następny właśnie wbił się w drewno między Arne a Larą.

– Chyba cię pojebało! – wrzasnął Arne i ruszył na niego. Chwilę później obaj leżeli na ziemi i bili się ostro, przy czym Arne był w o wiele gorszej pozycji. Gdy Lara dostrzegła, że nożownik zbliża się do stołu z kolejnymi nożami, odciągnęła Arne.

– Przestań! Idziemy stąd!

Arne splunął krwią i wybiegł za nią z namiotu.

– Cholera jasna, coś ty myślał?! Żeby zadzierać z tym typem! – wykrzyknęła Lara zdenerwowana, gdy oddalili się parę metrów od namiotu i była pewna, że nożownik ich nie goni.

Arne dotknął dolnej wargi i spojrzał na krew na swoich palcach.

– Co za dupek.

– Pokaż! – westchnęła Lara i podała mu chusteczkę.

Przyłożył ją do pękniętej wargi.

– No to gadaj, czego szukasz w cyrku? – zapytała znowu szorstko.

– Z całym szacunkiem, to naprawdę nie twoja sprawa – odparł. – A w ogóle co to wszystko ma znaczyć?

Lara wiedziała, że Arne zada to pytanie.

Ujął jej twarz w dłonie.

– Posłuchaj, Lara, Karolina, czy jak się naprawdę nazywasz, możesz mi zaufać, rozumiesz?

Spojrzała głęboko w jego błękitne oczy. W głębi serca naprawdę chciała mu wierzyć.

Wczesnym rankiem 25 maja...

Doktor Urs Lange stał przy oknie gabinetu ubrany w beżowy garnitur i popalał papierosa. Spoglądał ponad oczkiem wodnym z karpiami koi na deptak w Binz i dalej na plażę, gdzie starsi goście sanatorium i inne ranne ptaszki kręcili się wokół stoisk, karmili mewy czy też drzemali błogo w koszach plażowych.

– Przyszli, panie doktorze. – Szczupła, ruda pielęgniarka stanęła w drzwiach.

Psycholog zgasił papierosa w marmurowej popielniczce na parapecie i odgarnął długie ciemne włosy.

– Proszę, niech wejda. – Zamknął okno i pokrzyżył ramionami, by je rozluźnić, po czym przywitał gości krót-

kim, acz mocnym uściskiem dłoni.

Hausmann i Kern zajęli miejsce w tylnej części jasnego, nowocześnie urządzonego pokoju utrzymanego w pastelowej tonacji. Na kremowych ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy, które znawca rozpoznałby jako interpretacje makabrycznych dzieł Caspara Davida Friedricha. Obok nich wisiały różnego rodzaju czarno–białe zdjęcia i certyfikaty mające na celu podkreślić kompetencje doktora jako psychologa.

– I jesteś absolutnie pewna? – spytała Lara Emmę po raz kolejny. Najchętniej w ogóle nie puszczałyby jej ręki.

Wszyscy wiedzieli, jak trudne musiało być dla dziewczynki przypominanie sobie krwawych szczegółów owej nocy.

Lecz Emma zdawała się zadziwiająco spokojna. Dzielnie skinęła głową, rozluźniła jedwabny szal i usiadła na skórzanej kozetce.

– No dobrze... pamiętaj, jestem tu z tobą – szepnęła Lara bardziej, by uspokoić własne nerwy, po czym usiadła na krześle koło Emmy. *Emma wie, co robi* – powtarzała sobie w kółko.

Doktor Lange odczekał, aż wszyscy zajęli miejsca, po czym sam z wytrenowanym spokojem opadł na skórzany fotel. Po raz kolejny przypomniał zgromadzonym, że nie ma żadnej gwarancji i Emmie może się nie udać, i dziewczynka nie dotrze do zdarzeń stanowiących przy-

czynę traumy ani nie opisze sprawcy.

Następnie pochylił się do dyktafonu na małym szklanym stoliku obok obowiązkowej paczki chusteczek higienicznych i zwrócił się do Emmy. Odchrząknął, poprosił dziewczynkę, by się położyła.

– Połóż ręce swobodnie wzdłuż ciała, z dłońmi w górę – nakazał niskim, kojącym tonem. – A teraz zamknij oczy... odpręż się... z naszych poprzednich sesji wiem, że są rzeczy, które pozwalają ci się odprężyć. Wiem, że jest miejsce, które lubisz i które cię uspokaja. Wiesz, o czym mówię. Często to miejsce malujesz.

Emma przytaknęła i zamknęła oczy.

Doktor Lange nakazał jej napiąć każdy mięsień, a potem powoli je rozluźnić. Wpierw mięśnie twarzy, potem górnej części ciała, następnie dolnej, nóg i w końcu palców.

Lara widziała, jak córka powoli się odpręża.

– Bardzo dobrze, Emma... – kontynuował Lange. – Z każdym oddechem zapadasz coraz głębiej w sen. A teraz chciałbym, żebyś wyobraziła sobie jeszcze raz to miejsce, aż będziesz miała poczucie, że leżysz na spokojnej słonecznej łące. Odpoczywasz pod wielkim drzewem, które daje przyjemny cień. Obok pasie się twój ukochany koń. Widzisz, jak jego brązowa sierść błyszczy w słońcu...

Dziewczyna leżała zupełnie nieruchomo.

– Chcę, żebyś teraz obeszła drzewo – ciągnął doktor

Lange. – Za wielkim pniem leży małe pudełeczko, w którym trzymasz swoje wspomnienia. Jest już bardzo stare i zwykle zamknięte. Widzisz je?

Emma, choć w całkowitym transie, lekko kiwnęła głową.

– Ale dzisiaj to pudełeczko nie jest zamknięte. Podejdź bliżej i spróbuj podnieść wieczko. Zobaczysz, że się uda. A jak otworzysz wieczko, to chciałbym, żebyś zajrzała do środka.

W pokoju panowała całkowita cisza. Nagle stało się coś niepojętego.

– ...tak – powiedziała Emma cichutko. Głos jej się załamywał.

Kern i Hausmann wymienili spojrzenia. Lara nie mogła uwierzyć. To było pierwsze słowo, jakie córka wypowiedziała w jej obecności od tamtej nocy. Łzy radości spływały Larze po policzkach, podczas gdy Lange mówił dalej:

– Chciałbym, żebyś pośród wszystkich tych wspomnień spróbowała znaleźć wieczór siódmego czerwca dwa tysiące piątego roku. Możesz to dla mnie zrobić?

Po krótkiej przerwie powtórzył pytanie.

– Czy widzisz, co się stało tego wieczoru siódmego czerwca? Opowiedz mi, co widzisz.

– Ja... ja... leżę w łóżku – zaczęła Emma. – ...w po-

koju... jest ciemno...

– I co jeszcze widzisz? – Psycholog sięgnął po notatnik i zapisał coś.

– Trzymam mojego błękitnego pluszowego konika... Mam o wiele za duży T-shirt, który sięga mi prawie do kolan... dostałam go od taty, bo zapomniałam piżamki...

– I co się stało potem, Emmo?

– Leżę i śpię... i nagle... słyszę jakiś dźwięk... ja... ja budzę się i to... to brzmi, jakby ktoś był u drzwi... słyszę stukanie, a potem kroki... w korytarzu. – Oddech dziewczynki przyśpieszył.

– Spokojnie, Emma. Wciąż jesteś na pięknej zielonej łące i nic ci się nie może stać – zapewnił psycholog. – Masz tyle czasu, ile chcesz. Jak będziesz gotowa, opowiedz, co jeszcze widzisz w pudełeczku.

Emma wzięła głęboki wdech.

– Słyszę, jak otwierają się drzwi pokoju obok i... nagle... krzyki, okropne krzyki! Głośno, strasznie głośno! – Emma zatkała uszy. – O Boże! Nie! NIE!

Lara obserwowała w napięciu, jak paznokcie córki wbijają się w obicie leżanki.

– Czyje krzyki? – spytał doktor Lange ostrożnie. Emma nie odpowiedziała od razu. Na czoło wystąpił jej pot.

– Taty... i jego dziewczyny. Nagle ucichli... Zrobiło

się tak cicho... – Po policzkach spływały jej grube łzy, a twarz wykrzywiała się w grymasie.

Larze zjeżyły się włosy, a serce załomotało w piersi.

– I co wydarzyło się potem? – spytał doktor Lange.

– Te kroki... one, one zaczęły się zbliżać. Zatrzymały się przy wejściu do mojego pokoju. – Emma w panice odwracała głowę to w prawo, to w lewo. Nic! Nie! Proszę, nie!

Lara wierciła się na krześle. Spocone dłonie trzymała pod pośladkami. Zauważyła, że doktor Lange zerka na policjantów, którzy słuchali wyprostowani i skupieni. Pozwolił Emmie uspokoić się nieco, po czym kontynuował:

– Spokojnie, jak będziesz chciała, możesz zamknąć pudełeczko i wrócić na polanę. Ale może uda ci się spojrzeć do środka po raz ostatni?

Twarcz Emmy, która już nieco złagodniała, napięła się ponownie.

– Nagle... nagle otwierają się drzwi do mojego pokoju... ledwo mogę cokolwiek zobaczyć, tylko tyle, że stoi tam mężczyzna, trzyma coś. Idzie prosto do mnie!

– Jak on wygląda? – dopytywał doktor Lange.

Lara i policjanci patrzyli na Emmę z szeroko otwartymi ustami i zdawało się, że nikt w pokoju nie śmie nawet odetchnąć.

Emma oddychała ciężko.

– Boję się! Boję się! Tak strasznie się boję!

– Emma, musisz się skoncentrować. Czy możesz opisać tego człowieka?

Usta dziewczynki poruszały się, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Doktor Lange skrzyżował ręce na piersi i dał Larze i policjantom do zrozumienia, że chce przerwać sesję.

– Nie teraz, jesteśmy tak blisko – syknęła Hausmann.

Psycholog zaczerpnął głęboko powietrza. W końcu przytaknął niechętnie i kontynuował hipnozę.

– Emma, spróbuj, proszę, jeszcze raz, ale teraz przyjrzyj się dokładnie. Jak wygląda człowiek z nożem?

Dziewczyna leżała sztywno na kozetce. Atmosfera w pomieszczeniu była napięta do granic możliwości i Lara czuła, że jej córka może w każdej chwili załamać się pod naporem wspomnień. Miała nadzieję, że cierpienie dziecka nie pójdzie na marne.

– Jest wysoki... ma szerokie ramiona... jest zbyt ciemno, żeby widzieć jego twarz... stoi przy moim łóżku! – Broda Emmy trzęsła się, nozdrza się rozdymały. – Ja, ja naciągam kołdrę na głowę... bardzo mocno zaciskam oczy, ale on mnie odkrywa! Wyskakuję z łóżka, jakoś go mijam i wybiegam na korytarz. Biegnę do łazienki, ale on pędzi za mną, dogania mnie! – Emma trzęsła się pod naporem wspomnień, które szarpały jej ciałem niczym elektrow-

strząsy. – On ciągnie mnie za włosy, wbija mi twarz w kafelki, przyciska się do mnie. O Boże! Proszę! Nie! Nieeee! – Emma rzucała się na kozetce i konwulsyjnie łąpała powietrze, jakby miała się zaraz udusić.

– Przestańcie! – krzyknęła Lara. – Mój Boże, niech pan przestanie! – zwróciła się do psychologa. – Niech pan ją obudzi!

Doktor Lange nie odstępował dziewczyny ani na krok.

– Emma, czy to znaczy, że nie widziałaś jego twarzy?
– dopytywał psycholog.

Lecz Emma ponownie zamilkła. Oddychała ciężko i nie poruszała się w ogóle.

Doktor Lange spojrział na Larę i policjantów. Upewniwszy się, że ma ich całkowitą uwagę, powiedział:

– Wiem, że mieli państwo nadzieję otrzymać rysopis mężczyzny. Ale jestem teraz całkowicie pewien, że Emma państwu w tej kwestii nie pomoże.

– Ale nie może pan przecież przerwać w kluczowym momencie! – stwierdziła komisarz Hausmann.

– Pani komisarz, jestem odpowiedzialny za pacjentkę i na pewno nie zaryzykuję. Nie chcę, żeby dziewczyna złamała się na oczach! Kończymy. Policzę do trzech i wybudzę Emmę z transu.

Lara odetchnęła z ulgą.

Hausmann zerwała się wściekła.

– Ale była tak blisko, proszę pana, możliwe, że...

– Sylwia, przecież to nie ma sensu, dziewczyna jest wykończona, sama widzisz! – przerwał jej Kern i pociągnął partnerkę za rękaw, zmuszając, by usiadła.

Komisarz spojrzała na psychologa z urazą.

– I jest pan absolutnie przekonany, że Emma nie widziała jego twarzy?

Psycholog przytaknął.

– A nawet jeśli widziała, zakopała to tak głęboko, że próby dotarcia tam trwałyby co najmniej kilka tygodni.

Berlin–Grunewald, 1980...

– I co? Obiecywałem zbyt dużo? – spytał Andreas, gdy dotarli do polany na szczycie Diabelskiej Góry.

– Żartujesz? Widok zapiera dech w piersiach – powiedziała Izabela Kempitz, przyglądając się panoramie tonącej w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Andreasowi krew szumiała w uszach, a przez głowę przemykały gorączkowe myśli. Ze skrytki na rękawiczki wyjął paczkę marlboro i podał dziewczynie bez słowa.

– Nie, dzięki, rzuciłam – stwierdziła Izabela i spojrzała na tylne siedzenie. – Fajny aparat, to twój?

– Ach, to. Pamiątka po ojcu!

Aparat, jak mogłem tak po prostu go zostawić!

– Masz już jakieś plany na wakacje? – zmienił temat i włożył papierosa do ust.

Izabela pokręciła głową.

– Nic specjalnego. Koleżanki pojechały do Hiszpanii, ale przy moich zarobkach stażystki nie mogę sobie na to pozwolić. Wskoczę na rower i pojedę na parę dni na Pojezierze Meklemburskie.

Andreas przytaknął bez słowa. Więc nikt nie będzie jej szukał przez jakiś czas...

– A ty, co masz zamiar robić teraz, po maturze? – odbiła pytanie.

Andreas wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Będę próbował jakoś się utrzymać.
– Zapalił papierosa, po czym schował zapalniczkę do kieszeni. – Najważniejsze to zwać stąd. Nieważne dokąd, byle daleko!

– Brzmi tajemniczo, jakbyś miał coś do ukrycia – zabrzmiało to trochę jak pytanie.

– Czy każdy z nas nie ma czegoś do ukrycia?

Odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem.

– Może masz rację.

Andreas zauważył, że dziewczyna nerwowo zaciera dłonie. Wydmuchnął dym przez półotwarte okno.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytał. – Podobno jestem dobrym słuchaczem.

Izabela się zastanowiła.

– Ty pierwszy – odpowiedziała z uśmiechem.

– Nie ma mowy! – zaśmiał się.

Dziewczyna uniosła biodra i wygrzebała z kieszeni monetę.

– Orzeł czy reszka?

Andreas zerknął.

– Orzeł.

Podrzuciła monetę i złapała ją wierzchem dłoni.

– Reszka – oznajmiła z zadowoleniem. – Ty zaczynasz.

Andreas zapadł się głębiej w siedzenie i zaczerpnął głęboko powietrza.

– Od czego tu zacząć... – Strzepnął popiół przez okno i popatrzył na ciemniejący las. – Wszystko zaczęło się od tego, że odebrałem paczkę, która była dla taty – podjął w końcu opowieść. – Kiedy zobaczyłem idiotyczną różową wstążeczkę z adresem sklepu z bielizną, od razu wiedziałem, że nie może to być prezent dla mamy. Tyle już – zaciągnął się głęboko dymem – wiedziałem w wieku ośmiu lat. Małżeństwo moich rodziców rozpadało się już od dawna. I szczerze powiedziawszy, nie wierzyłem, że coś się jeszcze zmieni.

– Przykro mi – wymamrotała Izabela.

Andreas ponownie zaciągnął się nerwowo.

– Ojciec był grubą rybą w banku. Kiedyś zaczął wracać coraz później do domu... – mlasnął – i potem przyszła ta paczka. Nie dawało mi to spokoju, więc jak moja szanowna matka poszła następnego dnia na kawę do znajomych, rozejrzałem się trochę po biblioteczkę ojca. Od kiedy pamiętam, zabraniano mi tam wchodzić, dlatego wiedziałem, że paczka na pewno będzie właśnie tam. Poza tym wiedziałem, gdzie ojciec trzyma klucze od biurka. – Andreas zaśmiał się pogardliwie i zgasił papierosa w popielniczce. – Cholera, czułem się jak jakiś cholerny włamywacz. Ale udało mi się znaleźć paczkę w najniższej szufladzie. Kiedy zastanawiałem się, jak ją otworzyć, żeby nie zostawić śladów i nie podrzeć papieru, usłyszałem kogoś przy drzwiach... Prawie umarłem ze strachu. Moi rodzice nie byli zbyt powściągliwi przy karach cielesnych. Więc prędko odłożyłem paczkę do szuflady. Miałem nadzieję, że może przyszła tylko Rosita, opiekunka. Może po prostu pomyliły jej się dni tygodnia albo zapomniała o wolnym dniu. Ale to nie była Rosita. – Andreas spuścił wzrok i spojrzał na swoje dłonie zwinięte na kolanach. – To był mój ojciec. Słyszałem, jak się śmieje. Od wieków nie słyszałem jego śmiechu. Ale potem pojawił się inny głos i zrozumiałem, że ojciec jest w towarzystwie kobiety. I nie mam tu na myśli mojej matki. Pośpiesznie uciekłem do salonu i schowałem się pod kanapą. Stamtąd

dokładnie widziałem otwartą kuchnię. Zrobiło mi się niedobrze na widok ojca z tą kobietą. Zwłaszcza gdy zaczęła się rozbierać! Ta zdzira całkiem zawróciła staremu w głowie! – Andreas wyjrzał przez okno, trzęsąc się. – A potem jeszcze zaczął ją filmować nową kamerą!

– A ty cały czas tam leżałeś i wszystko oglądałeś? – spytała Izabela przerażona.

– A co miałem zrobić? Nie mogłem przecież wyjść spod kanapy i powiedzieć: „Cześć, właśnie was podglądałem”.

– No raczej nie... – przyznała.

– I wtedy naprawdę się zaczęło... co prawda reszty nie widziałem, ale to, co usłyszałem, wystarczyło...

– I co, przyłapali cię?

– Nie, nie przyłapali, ale za to matka przyłapała ich.

– Oho...

– Słyszałem, jak się zbliża, stukając obcasami o parkiet w korytarzu. – Potrząsnął głową. – Oj, muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałem takiej paniki u ojca. Chciał, żeby jego cizia zniknęła w salonie i była cicho, dopóki matka nie pójdzie do łazienki. Ale zdzira odmówiła, wyobrażasz to sobie! Naprawdę myślała, że skoro daje mu dupy, to ma jakieś prawa! – Andreas spojrzął na Izabelę, szukając poparcia. Dziewczyna skinęła jedynie głową. – Nagle ta dziwka całkowicie zwariowała i zagroziła, że wszystko powie mojej matce!

– I co wtedy?

– Nie mam pojęcia, nie widziałem ich, ale słyszałem, jak otwiera się i zamyka okno kuchenne. I potem ojciec upadł zakrwawiony na kafelki! Musiałem zakryć sobie usta, żeby nie krzyknąć!

Izabela popatrzyła na niego przerażona.

– Ta dziwka go zadźgała! Na moich oczach! – Usta Andreasa były suche jak wiór. Znowu ujrzał przed sobą mleczone oczy ojca, pełne cierpienia, zimne i martwe. Spojrzenie, które miało prześladować go do końca życia.

Izabela ledwie śmiała oddychać.

– I... i co się stało potem?

– Nagle w drzwiach pojawiła się matka. – Andreas przełknął ślinę, lecz zdawało mu się, że przełyka żyłki. – O Boże, ale ona wrzeszczała, jak zobaczyła, co się dzieje. Potem pobiegła za tą dziwką...

– Złapała ją? – spytała Izabela.

– Nie, cholera! – Andreas uderzył dłonią w kierownicę. – W salonie już prawie ją dogoniła, ale się potknęła i zobaczyłem, jak uderza głową w szklany stół... – wyszeptał, kręcąc głową. – Głuchy odgłos pękającej czaszki...

Izabela była zupełnie blada.

– Czy... czy ona też...?

Andreas przytaknął. Na jego twarzy malowały się

głęboki smutek i paląca nienawiść.

Dziewczyna złapała się za brzuch, czując gwałtowne skurcze.

– Przepraszam, nie powinienem był ci tego opowiadać – westchnął Andreas.

– Nie, w porządku... – wyjąkała Izabela i rękawem otarła łzę z policzka. – Co zrobiłeś potem?

– Nic.

– Jak to nic?

– No po prostu nic. Narobiłem w majtki ze strachu i przez trzy dni nie wychodziłem spod kanapy. –

Zrobił przerwę, by zaczerpnąć powietrza. – Prawie trzy całe dni.

Izabela wyprostowała się przerażona. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Trzy dni leżałeś pod kanapą?

Ponownie potwierdził skinieniem głowy.

– Byłem zupełnie zakrecony, jakby to wszystko działo się w kiepskim filmie... W końcu zjawiała się Rosita. To ona zawiadomiła policję. – Podbródek mu zadrżał. – Zanim zjawiała się policja, zabrałem nóż.

– Nóż? Czemu?

– Leżał najbliżej kanapy... tuż przed moim nosem... cały czas się na niego gapiłem. – Po chwili dodał, zgrzy-

tając zębami: – Morderczyni moich rodziców nigdy nie została złapana.

Izabela spojrzała na niego zamyślona.

– A jeśli właśnie dlatego nigdy jej nie złapali?

– Nie rozumiem?

– No dlatego, że zabrałeś narzędzie zbrodni.

Andreas spojrzał na nią tępo. Nigdy nie przyszło mu to do głowy. Jednak strasznie go złościło, że właśnie Izabela Kempitz pozwoliła sobie na takie stwierdzenie.

– Zamknij się! – wyrwało mu się.

Uchyliła się przerażona. Chwyciła klamkę i syknęła:

– Chyba powinnam już pójść.

– Nie, przykro mi. – Chrząknął. – Ja tylko...

Izabela przechyliła głowę.

– No dobrze – szepnęła. – To wszystko musiało być dla ciebie strasznie ciężkie – dodała wyrozumiale, lecz nie zdjęła dłoni z klamki.

Jeszcze nie wiedziała o zabezpieczeniu dla dzieci...

– Po całej tej sprawie zostałem z Rositą i przysiągłem sobie, że znajdę tę dziwkę i pomszczę rodziców. – Pokiwał głową. – Jeszcze wiele lat później nie mogłem myśleć o niczym innym – przyznał.

– Naprawdę? – wydukała Izabela.

– Niestety, spóźniłem się. – Pomasował się po karku,

sapiąc. – Gdy w końcu ją wytropiłem, okazało się, że już nie żyje. Jakiś stary dziad mi powiedział.

– Na co zmarła? – dopytywała Izabela sceptycznie.

– Utopiła się w cholernym basenie hotelowym! – wykrzyczał. – Możesz to sobie wyobrazić?! Latami ta morderczyni chodziła na wolności, bawiła się na imprezach i chłapała na umór, żeby potem utopić się w basenie! Czy możesz sobie wyobrazić bardziej widowiskową śmierć!?

– Skąd ty to wszystko tak dokładnie wiesz? – spytała Izabela.

– Z... gazety – skłamał Andreas. Gwizdnał przez zęby i pokręcił głową. – A jak moi rodzice zginęli? Co? Ta dziwka zarżnęła ich jak bydło! – Gestykulował ze łzami w oczach. – Jak bydło! To takie niesprawiedliwe!

Izabela objęła go ostrożnie, lecz Andreas siedział sztywny jak deska. Pierwszy raz się komuś zwierzył i gdy odrobinę ochłonał, zaczął się zastanawiać, dlaczego wybrał do tego akurat Izabelę Kempitz.

Zanim zwolniła uścisk, wiedział dlaczego. Izabela była pierwszą osobą, która naprawdę go słuchała, i wyrzucenie z siebie bólu okazało się bardzo przyjemne. Na dodatek Andreas miał pewność, że dziewczyna nikomu nie zdradzi jego małej tajemnicy.

Z prostego powodu – bo nigdy żywa nie opuści jego samochodu.

– Potem zacząłem nękać kobiety, które wyglądały jak ta dziwka – ciągnął dalej. – Najpierw nie zdawałem sobie z tego sprawy. – Pokręcił głową. – Z początku było mi tych kobiet trochę szkoda, bo w sumie to nie ich wina.

Izabela cofnęła się, wytrzeszczając oczy z przerażenia.

Na ustach Andreasa pojawił się uśmiech, gdy zdjął baseballówkę, starł pot z czoła i ponownie ją założył.

– To wszystko było jak na haju. Widziałem w każdej z nich morderczynię moich rodziców! Wszystkie zasługiwały na śmierć!

Twarz Izabeli była biała jak kreda. Dolna warga dziewczyny drżała, podczas gdy palce prawie automatycznie pociągały za klamkę.

– Daruj sobie... – chrząknął Andreas, spoglądając na nią bez wyrazu. – Zabezpieczenie dla dzieci.

Włożył rękę w kieszonkę na drzwiach i wyjął około trzydziestocentymetrowy nóż. Delikatnie przesunął palcem po ostrzu, jakby było ono częścią jego samego.

– POMOCY! Nie! – krzyczała Izabela, waląc pięściami w szybę. – CZY KTOŚ MNIE SŁYSZY? POMOCY!

Andreas siedział spokojnie, wiedząc, że tutaj, na górze, wśród lasu, nikt jej nie usłyszy, nieważne, jak głośno będzie krzyczeć.

Przed oczyma przewinał mu się znowu ten sam ciąg obrazów, jak film, podczas gdy krew bryzgała mu w twarz.

Kilka minut później przyglądał się, jak Izabela próbuje zatamować krwawienie z krtani i walczy ze śmiercią. Zrozumiał wtedy, że nigdy nie przestanie zabijać. A sezon łowiecki dopiero się zaczynał.

Rugia, wczesnym wieczorem 25 maja...

Tuż po piątej Lara siedziała przed telewizorem z papierosem w ręku i w napięciu słuchała wiadomości. Sylwia Hausmann poinformowała ją kilka minut wcześniej, że złapano mordercę Barbary Linz, ale tak szybkie rozwiązanie sprawy zaskoczyło Larę. Pogłodziła telewizor.

– Tu Wenka Blomberg z kanału dziewiątego. Nadajemy na żywo z Bergen, gdzie mąż Barbary Linz przyznał się do zbrodni i ma być dzisiaj jeszcze przekazany prokuratorze – oznajmiła ta sama reporterka, dzięki której Lara zaliczyła niechciany występ w telewizji podczas derby. – Mieszkańcy Rugii są w szoku, gdyż nigdy wcześniej nie miała tu miejsca żadna podobna zbrodnia. Oskarżony powinien lada chwila zjawić się przed budynkiem sądu.

Kamera przesunęła się na szefa policji na Rugii, który właśnie wysiadał ze swojego opla astry.

– Panie Petzold, chodzą słuchy, że zarówno przebieg, jak i narzędzie zbrodni wskazują na znanego seryjnego mordercę z Berlina, który ma na koncie co najmniej tuzin bestialsko zamordowanych kobiet. Czy uważa pan za

możliwe, że oskarżony Harald Linz odpowiedzialny jest również za te zbrodnie? – Blomberg podstawiła policjantowi mikrofon.

– Myślę, że to absolutna bzdura. Mogę państwu powiedzieć, że autopsja Barbary Linz wykazała, że narzędziem zbrodni był typowy nóż myśliwski, którego ostrze w żaden sposób...

– CZY PAN ZWARIOWAŁ? ZDRADZAĆ STAN NASZEGO DOCHODZENIA? – Magnus Kern pojawił się nagle pośród tłumu i wyciągnął Petzolda z kadru. – Sprzedałby pan własną babcię, żeby dostać się do telewizji, co?

Pojawiła się też Sylwia Hausmann, która zwróciła się do reporterki:

– Jak tylko okaże się coś nowego, dowie się pani o tym wystarczająco wcześnie. A teraz proszę nas przepuścić!

Potem Lara zobaczyła, jak dwoje policjantów odprowadza skutego Haralda Linza. Mieli pełne ręce roboty, próbując uchronić go przed dziennikarzami i gapiami, cisnącymi się do niego niczym muchy. Pośród nich był też Freerk Gruber, który przepchnął się przez tłum.

– Morderca! – krzyknął i na wizji splunął więźniowi w twarz. – Powinieneś smażyć się w piekle! Nie zasługiwałeś na taką kobietę jak ona!

Harald Linz przystanął.

– A ty tak? Myślisz, że nie wiem, że dawała ci dupy?

Lara widziała, jak policjantka wciąga go do czerwonego murowanego budynku. Mimo że nie знаła Harald Linza dobrze, nigdy nie podejrzewała, że byłby zdolny do morderstwa.

Po raz kolejny zdała sobie sprawę, jak łatwo się można pomylić co do człowieka. Ale też olbrzymi kamień spadł jej z serca, ponieważ sprawa została rozwiązana i nie potwierdziły się najgorsze koszmary kobiety.

Lara wyłączyła telewizor i w końcu odebrała nieustępliwie dzwoniący telefon.

– Pensjonat Burlacher, w czym mogę pomóc?

Po drugiej stronie nikt się nie odezwał.

– Halo? Kto tam?

Znowu brak odpowiedzi, ale po cichym sapaniu dało się rozpoznać, że ktoś jednak był na linii. Kiedy po kolejnych kilku sekundach wciąż nikt się nie zgłaszał, Lara porzytowana odłożyła słuchawkę, ale gdy telefon zadzwonił po raz kolejny, aż podskoczyła, jakby zobaczyła na słuchawce jadowitego pająka. Po chwili wahania odebrała. Odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała głos Magnusa Kerna.

– Halo, panie Kern, pańska partnerka już mnie poinformowała. Bardzo się cieszę, że... – lecz nie dane jej było dokończyć.

– Właśnie opuszczam budynek sądu i muszę panią prosić, żeby stawiała się pani na komisariacie w Sassnitz w celu identyfikacji.

Jego ton przeraził Larę.

– Mamy wieści. Funkcjonariusze policji na Rugii aresztowali mężczyznę, który odpowiada opisowi auto-stopowicza – kontynuował Kern. Lara słyszała, że brakuje mu tchu. – Jego DNA pasuje do tego z czapki Red Soxów znalezionej w pani szopie.

Larze zjeżyły się włoski na karku. Jej przedwczesna radość rozwiała się jak dym na wietrze.

To jeszcze nie koniec.

* * *

Lara była już wyraźnie spóźniona, gdy odstawiała swojego saaba przy Bahnhofstrasse. Ze złym przeczuciem weszła na komisariat. Nie zwracała uwagi na Petzolda i jego kumpli, którzy patrzyli na nią podejrzliwie z nad swoich biurek, ruszyła prosto do pokoju przesłuchań. Bez pukania otworzyła drzwi i weszła.

Sylwia Hausmann i Magnus Kern, którzy chyba byli w trakcie trudnej dyskusji, zamilkli nagle.

– Przepraszam – chrząknęła Lara i zrobiła krok w tył.

– Nie, nie, proszę, niech pani wejdzie! – zawołał Kern i wyszedł jej naprzeciw. – Dziękuję, że pani przyszła.

Zamknął za nią drzwi i od razu przeszedł do sedna:

– Mężczyzna nazywa się Jannik Kruse. Czy to na-

zwisko coś pani mówi?

Pokręciła głową.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

Kern przyjrzał się Larze uważnie.

– Mężczyzna ukrywał się w ruinach Prory. W jego kieszeni znaleziono bilet na pociąg podbity tego samego dnia, w którym pani odwoziła męża do portu. – Przechylił głowę. – Niech pani zgadnie, skąd wyruszał.

Serce jej waliło.

– Z Berlina?

Komisarz przytaknął.

Sylwia Hausmann odchrząknęła, wstała od stołu i podeszła do Lary.

– Możemy zaczynać?

Lara założyła kosmyk włosów za ucho.

– Oczywiście... – Poszła za policjantami do pokoju na końcu korytarza. Znajdowała się tutaj ściana z monitorów. Na wąskiej półeczce stała konsola i mikrofon. Jak tylko usiedli na niewygodnych krzesłach, Kern pilotem włączył ekrany, które zamigotały jasno.

Pojawił się pokój przesłuchań pod różnymi kątami, w którym stary policjant ostro inwigilował młodego ciemnowłosego mężczyznę siedzącego naprzeciwko niego. Podejrzany był skuty. Lara dostrzegła podarte dzinsy.

– Jak na razie nie udało nam się z niego nic wyciągnąć, ale mam nadzieję, że to się niebawem zmieni – wyjaśnił Kern.

Lara przełknęła ślinę i ponownie zwróciła wzrok na ekrany.

– Tak, to on. To ten autostopowicz, którego ostatnio podwiozłam.

Policjanci popatrzyli po sobie.

– Jest pani pewna? – spytała Hausmann z boku.

Lara nie miała żadnych wątpliwości. Jednak czuła tylko pustkę. Jakby napięcie wyłączyło jej wszelkie inne emocje.

Drgnęła, gdy Kern nagle włączył głos.

– Cholera, to, że raz przenocowałem w tej szopie i zgubiłem tam czapkę, a na dodatek całkiem przypadkowo jestem z Berlina, nie znaczy jeszcze, że jestem jakimś świrem, co morduje kobiety! – dochodził głos mężczyzny z głośników. Nerwowo bujał się na krześle, lecz zdawał sobie sprawę, że cały czas jest obserwowany. W końcu podniósł głowę i uśmiechnął się paskudnie do jednej z kamer.

Magnus Kern wyłączył dźwięk i wstał z krzesła.

– Ten typ kłamie! – Uderzył pięścią w półkę. Ktoś zapukał do drzwi.

Hausmann spojrzała na Kerna i wzięła głęboki od-

dech.

– Proszę.

Bernd Petzold stał w progu, z czerwoną twarzą i teczką pod pachą.

– No brawo, państwo z wydziału zabójstw po raz kolejny się popisali!

Hausmann i Kern spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Mój Boże! Ten typ, którego tam już od godziny przesłuchujecie, siedział długo w więzieniu.

– Też mi nowina... – westchnął Kern.

– Może pan sobie odpuścić ten sarkazm – sapnął Petzold i rzucił teczkę na półkę z mikrofonem. – To są jego akta policyjne, które OSOBIŚCIE kazałem sprowadzić. No i co? Zapala się lampka? Nie? A powinna! – Wściekle otworzył teczkę i wyciągnął z niej stos wydruków, po czym podsunął je parze komisarzy pod nos.

Hausmann i Kern wymienili spojrzenia.

– Tutaj jest czarno na białym udokumentowane, że podczas ostatnich morderstw Jannik Kruse siedział w więzieniu za napad na bank – powiedział Petzold dumnie.

Lara spojrzała na niego ukradkiem, żeby nie zauważył.

– Tym samym ma kuloodporne alibi – kontynuował Petzold. – Gdybyście odrobili pracę domową, to mogliśmy sobie darować cały ten cyrk! – Zanim wypadł na

korytarz, odwrócił się jeszcze w przejściu i powiedział: – Nie do pomyślenia, jakie okropne historie dziennikarze wypisują w gazetach o naszym pięknym mieście! To przez was! – Drzwi zatrzasnęły się i zapanowała nieprzyjemna cisza.

Sylwia Hausmann spoglądała ze zmarszczonym czołem na Magnusa, który równie wściekły złapał się za głowę.

– Przysięgam, że zamówiłem te akta – zapewnił w obronie.

– Cholera, Magnus, jak to się mogło stać?!

– Nie mam pojęcia, jakoś musiało im umknąć, wiesz, ile chłopaki w Berlinie mają na głowie. – Policzki mu poczerwieniały, jakby właśnie dostał w twarz. – Cholera, ale nam Russbach przygada...

Hausmann nie spuszczała z niego wzroku niczym drapieżnik przygotowujący się do skoku.

– Cholera jasna! – krzyknęła i ruchem ręki strąciła teczkę z półki.

Lara skuliła się przestraszona, gdy plik z trzaskiem uderzył o podłogę.

Zaraz jednak popatrzyła na policjantów z uśmiechem.

– Ale przecież... przecież to wspaniałe! – stwierdziła z entuzjazmem. Wyprostowała się w fotelu i z ulgą odechnęła. – Skoro ani morderstwo Linz, ani czapka znale-

ziona w mojej szopie nie ma nic wspólnego z Wypruwaczem, to znaczy to, że nigdy go tu nie było i że ściągnęłam państwa na darmo! – Lara poczuła, jak łzy radości napływają jej do oczu.

Sylwia Hausmann przytaknęła łagodnie.

– Tak, dla pani jest po wszystkim, pani Simons.

Chwilę później spotkali na korytarzu uśmiechniętego Torbena Landsberga, który ciągnął ze sobą dwójkę dzieci.

– Właśnie dowiedziałem się od Petzolda! – powiedział do Lary. Oczy mu rozbłyły. – Widzisz, mówiłem, że wszystko się ułoży.

Lara objęła starego przyjaciela.

– Nawet nie wiesz, jak długo marzyłam, że to powiesz...

Nagle poczuła, jak Emma łapie ją za rękę. Dziewczynka też zdawała się odczuwać ulgę. Mimo że Lara starała się nie okazywać strachu, by nie niepokoić córki, Emma chyba instynktownie wyczuwała, kiedy matka próbowała coś ukryć.

– Czy teraz mogę się przejechać samochodem policyjnym? – zawołał Henryk, skacząc po korytarzu niczym mała małpka, po czym przykleił się do nogi Magnusa.

– Henryk – upomniała go Lara – przecież mówiłam ci, żebyś...

– Wszystko w porządku – przerwał jej Kern, który widocznie polubił chłopca. – Ma rację, obiecane to obiecane. Proszę się nie martwić. Chłopiec będzie w domu przed zmrokiem. – Przypiął Henrykowi swoją odznakę i po raz pierwszy się uśmiechnął. – W tył zwrot, kolego, jedziemy raz dookoła wyspy.

– A ptaki też pooglądamy? Powiedziałeś, że znasz każdego ptaka po imieniu!

– To prawda – zaśmiała się Hausmann. – Jest prawdziwym ekspertem.

Kern skinął głową wyraźnie zadowolony.

– Mój ojciec był ornitologiem, czasami nawet wypychał ptaki.

– A jaki jest twój ulubiony ptak?

Kern zastanowił się.

– Hmm, chyba zimorodek. Chodź, jak się pośpieszymy, to może uda nam się takiego zobaczyć. – Po czym zwrócił się do Emmy i zapytał: – Czy kobiety udzielą nam wsparcia?

Emma potrząsnęła głową i błyszczącymi oczyma spojrzała na matkę. Lara dobrze знаła to spojrzenie.

– No chodź, zawiozę cię do stajni – powiedziała Lara i ujęła córkę za rękę. Ledwo jednak wyszły z komisariatu, zadzwonił jej telefon. Lara przystanąła, by odczytać SMS-a.

„Wracam niedługo. Kocham cię. Frank”.

Berlin–Kreuzberg, poranek następnego dnia...

W korytarzu unosił się straszliwy fetor niczym mieszanka gołębih odchodów i żrących chemikaliów. Dwóch robotników zatrzymało się przed drzwiami, spod których wysączała się ciemna ciecz.

– Cholera jasna – powiedział Tominsky, łysy, starszy mężczyzna, i pro forma zapukał do starego loftu. – Halo? Jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi. Zoran wyciągnął z kieszeni kombinizonu cienki metalowy haczyk i zaczął otwierać zamek. Chwilę później drzwi otwarły się ze zgrzytem.

Za nimi znajdowało się pomieszczenie przypominające zrujnowaną ciemnię. Żaluzje były częściowo pozrywane, a okna pozaklejane pożółkłymi gazetami i starymi dziecięcymi rysunkami. Nad zapaskudżonymi zlewami, w których powoli zasychały resztki ślimakowatej fiksatywy, wisiały czerwone lampki zatapiające pokój w szarym półmroku. Z sufitu, niczym niesamowite pajęczyny, zwisały niezliczone stare klisze.

– Gdzie myśmy się wpakowali? – wycharczał Tominsky i w gumiakach przeszedł nad pustymi, dryfującymi w cieczy puszkami. – No dalej, Zoran, nie stój tak. Spróbuj zakręcić główny zawór, zanim zaleje nam cały budynek.

Lecz Zoran ani drgnął.

– Kurwa, stary, a myślałem, że to ja jestem zboczony...

Wskazał głową na dmuchaną lalkę przyczepioną kajdankami za ręce i nogi do ściany. Miała na sobie jasno-niebieską perukę.

Tominsky poszedł na zaplecze, skąd dobiegało podejrzane bzyczenie much.

– Spójrz na to! – krzyknął i stanął jak wryty przy załomie ściany.

Zoran skrzywił się.

– Wygląda jak krew. Kurwa, ale to odjechane.

Tominsky zmarszczył brwi.

– Chwileczkę, to są imiona, kobiece imiona.

Zoran spochmurniał.

– Do diaska, chodź, Tominsky, spadamy stąd! Nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

Dwadzieścia minut po tym, jak zadzwonili na policję, na miejscu pojawił się Grzegorz Russbach z dwójką swoich najlepszych ludzi.

Funkcjonariusze służb specjalnych dotarli już na dziedziniec wewnętrzny starej fabryki przy Maybach-Ufer. Podczas gdy kilku tureckich kupców rozstawiało nieopodal stoiska z owocami, szesnaście par butów woj-

skowych załomotało na schodach starego budynku. Funkcjonariusze ustawili się przed wejściem na szóstym piętrze, po czym na znak dowódcy wbiegli do środka i zniknęli w półmroku.

– Hej, szefie, powinien pan rzucić na to okiem – dobiegło z zaplecza, gdy Grzegorz Russbach przekraczał próg mieszkania. Woda przemoczyła mu rozchodzone skórzane buty, gdy stanął przed ścianą z imionami kobiet. Mógłby wyrecytować każde z nich. Znał też na pamięć ich twarze.

Do dziś nie mógł zrozumieć, czemu jemu i jego załodze nie udało się dotąd pochwycić świra odpowiedzialnego za te zbrodnie. Minęła chwila, nim udało mu się oderwać wzrok od krwawych liter.

Z kieszeni marynarki wyciągnął parę gumowych rękawiczek i pomaszerował na zaplecze. Lecz już po kilku krokach zatrzymał się w drzwiach.

Co, do diabła...

Russbach z ciężkim sercem przekroczył próg ciemni zamienionej w izbę tortur.

Granica śmierci.

– Ja... proszę mnie zostawić samego – powiedział Russbach i kazał swoim ludziom opuścić pomieszczenie. Stojąc samotnie w pokoju, pozwolił, by w wyobraźni rozegrała się scena, po której pozostały tutaj wyraźne ślady.

Pośrodku pomieszczenia stało stare łóżko. Po obu

stronach posłania zwisało kilka pasów oraz kajdany mające uniemożliwić ofiarom ucieczkę i pozbawić je możliwości ruchu podczas tortur. Za łóżkiem oparty o ścianę stał staryw.

„Dziwki” – wypisano na ścianie. Ciecz, którą namalowano napis, ściekła cienkimi strużkami na podłogę i miała ten sam brunatny odcień co zacieki na łóżku. Nad plamami krążyły muchy.

Grzegorz Russbach dostał gęziej skórki. Krzyki torturowanych tu kobiet odbijały się echem w jego głowie. Ich daremne wołanie o pomoc. Ich jęki i błaganie. Russbach przymknął oczy.

– Ty pierdolona Świnio... – wymamrotał pod nosem. – Tym razem cię złapiemy. Wtargnęliśmy na twoją ziemię, do twojego leża. I teraz mamy pełno dowodów.

– O kurwa! – usłyszał nagle za sobą. – Jak wy, chłopaki, znaleźliście to pobojojwisko? – głos należał do Kladiusza „Białego” Killinga, który właśnie przyjechał z ekipą techników. – Na pewno nie przez ogłoszenie w gazetce...

Russbach zmarszczył czoło.

– Nie całkiem. – Odwrócił się do swojego kolegi, którego biały kombinezon odbijał czerwone światło i nadawał mu wygląd astronauty. – Dostaliśmy zgłoszenie od hydraulika. Piętro niżej grupa jazzowa ma pokój ćwiczeń. Któryś z nich zadzwonił, bo z sufitu kapłała woda, a nie mógł się dodzwonić ani do właściciela, ani do ciecica.

– Nie wiedziałem, że wy z wydziału zabójstw zajmujecie się teraz też pękniętymi rurami – chrząknął Biały. – Ale jak będę musiał następnym razem czyścić rury, odezwę się do was.

– Później się z tego pośmieję – odpowiedział Russbach i z powagą zwrócił się ku linkom na pranie przeciągniętym przez tylną część pokoju. Ze sznurka zwisały liczne czarno-białe fotografie.

Russbach zmrużył oczy. Oto miał przed sobą zdjęcia robione przez paparazzi, jakie widzi się często w brukowcach. Tylko że na tych nie widać było gwiazd. Częściowo pożółkłe fotografie ukazywały zamordowane kobiety.

– Śledził wszystkie swoje ofiary i znał ich każdy ruch – mruknął do siebie. Ponownie spojrzął na zdjęcia. Obok Franciszki Hoffmann widniała tam również prostytutka Irina Petrova oraz ostatnie ofiary, których zdjęć jeszcze nie udostępniono prasie.

Na fotografiach widać było kobiety przy codziennych czynnościach. Wynosiły śmieci, spacerowały z psem, opróżniały skrzynkę pocztową, jechały kolejką do pracy i tak dalej. Z ich spokojnych twarzy Russbach wyczytał, że nie miały pojęcia, iż są obserwowane.

Przecisnął się pod pierwszą linią zdjęć i spojrzął na dalsze. Tutaj zdjęcia pokazywały kobiety podczas tortur. Widok ten nawet doświadczonemu szefowi wydziału za-

bójstw zaparł dech w piersi.

Oczy, w których widniało przerażenie i strach. Szeroko rozwarte usta świadczące o zaciętej walce. Zakrwawione kończyny. Grzegorz Russbach czuł, jak przewraca mu się w żołądku.

– No proszę, sfotografowałeś też swój nóż rzeźnicki – powiedział głośno. – Wygląda na to, że jesteś strasznie dumny ze swojej małej zabawki.

Jego wzrok natrafił nagle na zdjęcie przyczepy kempingowej.

– Russi, chodź, zobacz, tu mamy jeszcze więcej... – zawołał Biały. Ramieniem popchnął wąskie drzwi, których obrysu prawie nie było widać na ścianie, i zniknął w komorze.

Russbach ruszył za nim ostrożnie, prawie potykając się o pływający w wodzie but kobiety. Silny zapach mocz, wosku i kadzidełek wisiał w powietrzu.

Wygląda na to, że właśnie dotarliśmy do samego dna tego piekła – pomyślał Russbach, spojrzawszy na bukiet kiczowatych plastikowych kwiatów i kilka niedopalonych świeczek na stoliku wciśniętym w najdalszy róg pokoju.

– Zdaje się, że jednak mamy do czynienia z mizoginem – powiedziała Kumiko Kobayashi, która właśnie weszła do pomieszczenia. Pulchna Azjatka ostatnio brała udział w akcji ratowania dzieci znikających z berlińskich żłobków i dopiero niedawno dołączyła do

wydziału zabójstw.

– Nie sędzę, żeby nienawidził kobiet jako takich – zaoponował Russbach i postawił na stół czarno–biały portret, który wyglądał, jakby ktoś go podarł i posklejał. – Wydaje mi się, że nienawidzi tej konkretnej. – Twarz z portretu wyglądała niesłychanie znajomo. *Ale dlaczego akurat ona? Dlaczego akurat ta kobieta wryła ci się w ten chory mózg?*

Kumiko Kobayashi podeszła blisko do Russbacha.

– Czy to nie jest ta kobieta, która miała kawiarnię? Jak ona się nazywała?

– Lara Simons – odpowiedział Russbach, wciąż spoglądając z niepokojem na fotografię.

W tym samym czasie na Rugii...

Deszcz zaczął zacinać mocniej i uderzał o czarne parasole żałobników zgromadzonych wokół grobu.

– Zebraliśmy się dzisiaj, by pożegnać Barbarę Linz, która została nam w tak tragiczny sposób odebrana – ksiądz rozpoczął kazanie. – Bóg zetrze wszystkie łzy i nie będzie ni smutku, ni cierpienia. Niech cię błogosławi Bóg Ojciec, który cię stworzył na swoje podobieństwo...

Lara ujęła Torbena pod ramię i schowała się pod jego parasolem. Pierwszy raz od czasu, gdy pochowała matkę,

była na pogrzebie.

Miała wtedy sześć lat i poza nią nad grobem stali jedynie ksiądz i jej ojciec. Wtedy pierwszy raz widziała łzy w oczach taty. A przecież i przed śmiercią matki też miał wiele powodów do płaczu.

Chłodny południowy wiatr wyrwał Larę z zamyślenia i sprowadził z powrotem nad grób Barbary Linz. Tu i tam słychać było pochlipywania. Podczas gdy ksiądz kontynuował przemowę, Lara rozejrzała się po twarzach zgromadzonych.

– Dobry Bóg, który otworzył ci bramy niebios, niech pobłogosławi twoją duszę. Z prochu powstałaś i w proch się obrócisz. A teraz pożegnajcie się w pokoju.

Lara wzięła od Torbena łopatkę i rzuciła trochę ziemi na trumnę Barbary Linz. Mimo że było to niestosowne, nie mogła przestać myśleć o Franku. Czy, a jeśli tak, to jak długo zdradzał ją z tą kobietą? I czy w ogóle powiedziałby jej o tym, co czuł? Czy dlatego jeszcze nie wrócił? Czy bał się, że jego smutek go zdradzi? Lara nie wiedziała, lecz te myśli ciążyły jej w sercu.

Mimo że nie znalazła jeszcze czasu, by zastanowić się, czy kiedykolwiek wybaczy Frankowi jego zdradę, to jednak cieszyła się, że nie opowiedziała o tym funkcjonariuszom i niepotrzebnie go nie obciążała. Torben też nic nie powiedział. Przekonał Larę tylko do pójścia na pogrzeb Linz, by uniknąć kolejnych niepotrzebnych plotek.

W sporym odstępnie ruszyli za resztą żałobników do remizy. Przy bramie cmentarnej Lara dostrzegła machającą do niej Sylwię Hausmann.

– I tak miałem się zbierać – powiedział Torben, który chciał jeszcze przez kilka dni pozwiedzać wyspę w swoim busie. Zapewnił, że pojawi się jeszcze w pensjonacie, zanim ostatecznie wróci do Berlina, ale już teraz Larze ciężko było pożegnać się ze starym przyjacielem. Przygryzła dolną wargę i spróbowała się uśmiechnąć. *Weź się w garść i nie waz się płakać, dziewczyno.*

Minęli groby i ruszyli w kierunku parkingu. Torben wsiadł do zielonego busa i odjechał, a Lara podeszła do czekającej komisarz.

– Pani też nas opuszcza? – spytała policjantkę.

Hausmann uśmiechnęła się spod parasolki.

– Zdaje się, że najwyższy czas wracać do Berlina. Już się spakowałam. – Skinieniem głowy wskazała passata zaparkowanego zaraz koło saaba Lary w najdalszym końcu parkingu. – Chciałam się pożegnać. Mój kolega jest jeszcze na komisariacie, żeby dokończyć raport.

– Tak, wiem, pożegnał się wcześniej – powiedziała Lara i spojrzała na komisarz wzruszona. – Dziękuję, że przyjechali państwo na Rugię, nawet jeśli był to fałszywy alarm. Nawet pani sobie nie wyobraża, jak się cieszę, że moje życie w końcu znowu się unormuje. – Po czym dodała: – Kiedy zdawało się, że Emma nie przeżyje tego

ataku, to wiedziałam, że umrę wraz z nią. I jak parę dni temu zdawało się, że znowu nas wytropił, to powróciło dokładnie to uczucie.

Hausmann przytaknęła i spojrzała ze zmarszczonym czołem w kierunku lasów opadających ku plaży skąpanej w blasku zachodzącego słońca.

– Czy jest pani szczęśliwa? – spytała wprost.

– Szczęśliwa? – zaśmiała się Lara. Silny podmuch wiatru zgarnął jej zaczesane na twarz włosy. – Ma pani na myśli tu, na wyspie?

– Na wyspie, w życiu, tak ogólnie.

Lara zastanowiła się, po czym skinęła głową.

– Tak, jestem. A pani?

– Ja? – Hausmann wyglądała na zaskoczoną, jakby nie spodziewała się tego pytania. – Ach, wie pani... – Uniosła kąciki ust, ponownie spoglądając w stronę morza. – Nigdy nie należałam do ludzi, którzy głośno wołali: „TUTAJ!”, gdy rozdawano szczęście...

– Mogę zapytać, czy ma pani męża?

Komisarz pokręciła głową.

– Nie... nie, nie mam. – Wymuszony uśmiech pojawił się na jej twarzy. – Chyba chętniej poluję na złoczyńców niż na mężów. Zboczenie zawodowe. – Wzruszyła ramionami. – Wyjeżdżam, nie poznawszy nawet pani partnera.

Lara przytaknęła jedynie i nie kontynuowała tematu.

– Jak się pani z nim układa? – spytała Hausmann. – Tak między nami kobietami?

Lara spojrzała jej w oczy.

– Kocham go – powiedziała i naprawdę w to wierzyła, choć podejrzenie zdrady wciąż było obecne w jej myślach. – Czy ma pani dzieci? – spróbowała zmienić temat.

Hausmann pokręciła głową zakłopotana.

– Och, przepraszam – zmieszała się Lara. – Nie chciałam być wścibska.

– Nie, nie... w porządku – stwierdziła Hausmann i radośnie klasnęła. – Za to mam koty.

Roześmiały się niemal jednocześnie.

W Berlinie...

– Co to jest, do cholery? – Grzegorz Russbach trzymał jedną z jasnoniebieskich buteleczek, których krocie stały na półce w dusznej małej pakamerze.

Biały, który właśnie badał zakrwawioną kępkę włosów przyklejoną do otoczonego świeczkami czarno-białego portretu, podniósł wzrok i uniósł jedną z nich.

– Perfenazyna – stwierdził zdziwiony. – Lek przeciwpsychotyczny, dosyć mocne gówno.

Kumiko Kobayashi przegoniła muchę z ramienia.

– Sądząc po ilościach, jakie nasz kolega tu zgromadził, niezbyt dobrze radzi sobie ze swoim podwójnym życiem...

– Tego by jeszcze brakowało – zachnął się Russbach i podniósł pływającą w wodzie fotografię, na której widać było małego chłopca siedzącego na kolanach ojca. Obaj mieli takie same garnitury. Obok nich stała dosyć korpu-lentna kobieta z mocno umalowanymi ustami i obejmowała mężczyznę ramieniem. Russbach wsunął zdjęcie w woreczek na dowody i schował do wewnętrznej kieszonki marynarki. Zaczął się rozglądać ponownie.

– Czy dotarliście w końcu do tego cholernego właściciela?

– Tak, szefie. Nic z tego – westchnęła Kobayashi. – Ktokolwiek wynajmuje to mieszkanie, zawsze punktualnie płacił czynsz, wrzucając pieniądze w nieoznakowanej kopercie do skrzynki pocztowej. I to już od ponad dziesięciu lat, przy czym właściciel twierdzi, że nigdy nie widział go na oczy. – Zaśmiała się krótko. – Musiałoby zakrawać na cud, gdyby technicy nie znaleźli w tej dziurze czegoś, co naprowadzi nas na trop, prawda?

Russbach nie odpowiedział od razu. Stał teraz po drugiej stronie regału i przyglądał się czemuś uważnie. Zamachał do Azjatki, by podeszła bliżej.

– Hej, Kikki! Spójrz tutaj!

Na bocznej stronie regału wisiała stara, podarta mapa

Berlina.

Kobayashi zmrużyła oczy.

– Popatrz na to, zaznaczył na czerwono wszystkie miejsca, w których złożył ciała ofiar.

Russbach pokręcił głową zdenerwowany. Ta mapa stanowiła jawny dowód jego nieudolności.

– Miejmy nadzieję, że nie pojawią się na niej kolejne kółka... – Właśnie chciał się odwrócić, gdy coś przykuło jego uwagę. – Chwileczkę, pod spodem wisi jeszcze coś innego. – Wyciągnął rękę i delikatnie podważył wywinięty róg mapy. Za nią znajdowała się kolejna mapa. Gdy zorientował się, co przedstawiała, poczuł, jakby stał przed tykającą bombą, która w każdej chwili może wybuchnąć.

– Mój Boże! Hausmann i Kern się mylili! Morderca jest na Rugii!

Na Rugii...

Mewa z wrzaskiem przeleciała nad cmentarzem. W dole Lara i Sylwia Hausmann szły przez parking. Gdy dotarły do samochodów, Hausmann wyjęła dłoń z kieszeni płaszcza i wyciągnęła ją do Lary z ciepłym uśmiechem.

– Cóż...

Lara zacisnęła usta i odwzajemniła silny uścisk funkcjonariuszki, którą ceniła również jako kobietę, skrytą za

policyjną odznaką.

Mimo to gdy wsiadła do swojego starego saaba, cieszyła się z wyjazdu Hausmann – policjantka zabierała ze sobą walizkę pełną strasznych wspomnień.

Komisarz zamknęła parasolkę i wrzuciła ją na tylne siedzenie, zaraz obok walizki i torebki. Drzwi trzasnęły, silniki zostały zapalone i Lara oraz Hausmann odjechały w przeciwnych kierunkach.

Głęboko zakopany w torebce telefon, który Hausmann ściszyła na cmentarzu, właśnie przestał wibrować.

Dziewięć nieodebranych połączeń. Wszystkie od Grzegorza Russbacha.

Wszystkie niezauważone.

Po południu...

Jak zwykle w tygodniu stajnie świeciły pustkami. Lara przeszła przez rozświetloną ujeżdżalnię, skinęła młodemu mężczyźnie prowadzącemu araba na wybieg i rozejrzała się w poszukiwaniu córki.

Jak zwykle Emma prosto po szkole pojechała do swojego konia, ale w hali nie było po niej śladu.

Lara minęła trybuny i skierowała się do boksów. W stajni pachniało sianem i garbowaną skórą. Kobieta wyciągała szyję, by zajrzeć do każdej zagrody.

– Emma? Jesteś tu? – Nagle usłyszała, jak zatrzasną się drzwi do siodłami. Emma stała na końcu korytarza zwrócona plecami do Lary. Miała kask i buty jeździeckie, z uzdą w ręku zamykała zasuwy.

Lara odetchnęła z ulgą.

– Jesteś!

Emma nie usłyszała. Jak zwykle miała w uszach słuchawki iPoda. Lara ruszyła do córki, lecz zatrzymała się przy boksie jej konia, który leżał na ziemi, sapiąc ciężko.

Święty Boże!

Przerażona pobiegła do Emmy, która wciąż jeszcze mocowała się z kłódką przy drzwiach. Chwyła ją za ramię i odwróciła z paniką, lecz zaraz puściła.

– Vanessa! Przepraszam, myślałam, że to... że jesteś...
– Lara zrobiła kilka kroków w tył i uniosła ręce, by nie stracić równowagi. Patrzyła na dziewczynę szeroko otwartymi oczami.

Vanessa Klausner, która od czasu do czasu jeździła z Emmą, zdjęła słuchawki.

– Co się stało, pani Wöhler?

– Widziałaś gdzieś Emmę? – spytała Lara ze strachem.

Vanessa wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Nie. Nawet nie wiem, czy tu dzisiaj była.

Lara poczuła kropelki potu spływające jej po plecach. Próbowwała opanować narastający strach. *Tylko spokojnie,*

weź głęboki wdech, wszystko się zaraz wyjaśni.

– Przepraszam. – Odsunęła Vanesę, trzęsącymi rękoma otworzyła kłódkę i wbiegła do pomieszczenia. Jej tętno przyspieszyło, gdy rozglądała się po dusznej siodłami. Obok kozłów i derek stały buty Emmy. *Była tutaj.* Dopiero po chwili Lara zauważyła, że metalowa szafka, w której Emma trzymała przybory jeździeckie, była otwarta. *Emma wie, jak drogie jest wyposażenie, nigdy by nie zostawiła otwartej szafki!*

Lara słyszała przyspieszone bicie swego serca, gdy podeszła bliżej. Silnym pociągnięciem szarpnęła drzwiczki, po czym wzdrygnęła się jak rażona piorunem. W szafce wisiał zielony jedwabny szal Emmy. A pod nim wiadomość. Larze serce zamarło.

„Dorwę cię, dziwko! Tym razem mi się nie wymkniesz!”

Pobladła jak kreda i zdawało jej się, że pod nogami otwiera się przepaść.

Podczas gdy mózg wciąż próbował przyswoić informację, dłoń powędrowała do kieszeni w poszukiwaniu telefonu. Lara wybrała numer Sylwii Hausmann, lecz nie mogła zrealizować połączenia. Gdy spojrzała na wyświetlacz, zrozumiała, że policjantka jest poza zasięgiem.

Chwyciła zielony szalik Emmy i minąwszy Vanesę, wybiegła. Gdy tylko dotarła na dziedziniec, otrzymała powiadomienie o nieudanych próbach kontaktu od Haus-

mann, Kerna, Torbena, Arne i Petzolda – zdawało się, że wszyscy już wiedzieli to, czego Lara nie chciała zaakceptować.

Lecz wszelkie ostrzeżenia były daremne i równie spóźnione jak karetka i samochody policyjne, które chwilę później na syrenach zajechały pod stajnię.

* * *

Było grubo po północy, gdy Magnus Kern i Sylwia Hausmann powrócili do pensjonatu. Gdy otrzymali szokującą wiadomość, natychmiast zawrócili z drogi do Berlina. Kilka godzin później informacja o porwaniu Emmy pojawiła się w prasie. Z początku jedynie w gazetach regionalnych i bez rozgłosu, jaki kilka dni wcześniej otaczał zamordowanie gospodyni.

Gdy jednak z policji wyciekła informacja, że analiza grafologiczna wykazała zgodność z wiadomościami pochodzącymi od słynnego Wypruwacza, sensacja rozprzestrzeniła się jak pożar po całym kraju. Nim jeszcze pojawiły się pierwsze nagłówki w prasie, wieść krążyła w Internecie. „Berlińska bestia zaatakowała na Rugii” – głosiły nagłówki na wszystkich forach i w magazynach informacyjnych – do niedawna spokojnej wyspie, na której obecnie setki policjantów przeczesywało okolice stajni i pensjonatu w poszukiwaniu śladów Emmy. Sprawdzono

każdą przystań, każdy dworzec kolejowy i każde lotnisko. Helikoptery wyposażone w kamery termowizyjne patrolowały okolicę, by sprawdzić nawet najdrobniejszy zakątek wyspy. Straż wodna patrolowała wybrzeże aż do późnego wieczora.

Wszystko na nic.

Na twarzach Kerna i Hausmann malowało się napięcie, gdy weszli do zadymionej kuchni pensjonatu. Lara, która siedziała przy stole wraz z Arne i Torbenem, uniosła na przybyłych podpuchnięte oczy. Nie musiała pytać.

– Wciąż nic. – Kern pokręcił głową. Położył dłoń na jej ramieniu i z zaciśniętymi ustami dodał: – Będziemy kontynuować poszukiwania o poranku. Zapewniam panią, że każdy policjant w Meklemburgii weźmie udział w poszukiwaniach pani córki.

Lara ledwo zdołała kiwnąć głową.

– Jeśli mógłbym poprosić panów o opuszczenie pomieszczenia – odchrząknął Kern, spoglądając na Torbena i Arne. – Chcielibyśmy porozmawiać z panią Simons na osobności.

Obaj zagasili papierosy w popielniczce i wstali.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć w razie czego – powiedział Torben, nim zamknął za sobą i Arne drzwi.

Lara ledwo zarejestrowała jego słowa. Siedziała skulona na krześle, w dłoniach ściskając jedwabny szalik Emmy, i wpatrywała się w pustkę. Wyglądała jak porce-

lanowa lalka, która może rozprysnąć się na tysiące okrucichów pod dotknięciem palca. Całkiem jakby wcale nie istniała.

– To ja... to moja wina. Ja je wezwałam, prawda? – powiedziała, ledwo poruszając ustami. Głos miała beznamiętny, lekko sepleniała, jakby alkohol jeszcze krążył w jej krwi.

– Wezwała kogo? – spytała Sylwia Hausmann poirytowana, siadając wraz z Kernem naprzeciwko.

– Duchy... – wyszeptała Lara. – To wszystko przez głupią czapkę należącą do jakiegoś włóczęgi. – Zaśmiała się głośno. – A ja, głupia, zrobiłam z tego aferę! A ten drań tylko szybciej mnie odnalazł po tylu latach.

Hausmann przetarła czoło.

– Pani Simons, my też się zastanawiamy, jak on tu panią wytropił. Pani akta policyjne są ściśle tajne, równie ciężko dostać do nich dostęp, jak wejść do budynku Bundestagu z walizką materiałów wybuchowych.

Westchnęła cicho, po czym wyjęła z torebki dużą kopertę zawierającą wydruki zdjęć, które Grzegorz Russbach przesłał jej z Berlina, i rozłożyła arkusze na stole.

– To są fotografie pomieszczenia z owego loftu w Berlinie, gdzie znaleziono między innymi mapy i zdjęcia ofiar.

Lara odwróciła głowę do komisarz i powiedziała, nawet nie spojrzawszy na zdjęcia:

– Wtedy w Berlinie mówiła pani, że pierwsze morderstwa miały miejsce ponad trzydzieści lat temu, co by oznaczało, że ta bestia musi mieć teraz około pięćdziesiątki...

Hausmann wzięła głęboki oddech.

– Wychodzimy z takiego założenia.

– Chyba że miał partnera. – Magnus Kern zawahał się.

– Albo ucznia.

* * *

Lara nawet nie śmiała myśleć, że na świecie mogło być więcej psychopatów. Kern strzelił palcami.

– To nie byłby pierwszy raz, kiedy...

– Nie wydaje mi się to jednak zbyt prawdopodobne. – Hausmann wzrokiem uciszyła partnera. – Zamiast spekulować, powinniśmy zastanowić się nad tym, co już wiemy. – Wskazała kolejne zdjęcie. Był to czarno-biały portret kobiety.

Lara zmrużyła oczy. Poczowała, jak jeżą jej się włoski na karku, gdy popatrzyła w twarz kobiety.

– Wie pani, co myślę? – Hausmann wzięła kolejny głęboki wdech. – Wszystkie ofiary są jedynie wskazówkami, a wszystkie strzałki wskazują na panią, pani Simons. – Komisarz pochyliła się lekko i przenikliwie spojrzała na

Larę. – Pani Simons, czy jest coś, co pani przed nami ukrywa?

Lara uniosła na policjantkę podpuchnięte oczy.

– Na tym zdjęciu... to nie ja. – Zamknęła oczy, a gdy je ponownie otworzyła, wyjaśniła dokładniej: – Kobieta na zdjęciu to moja matka.

Sylwia Hausmann usiadła wygodniej na krześle.

– Jakie pani matka może mieć powiązania z tą sprawą? – spytała. – Dlaczego jej zdjęcie jako jedyne jest oprawione w ramkę, a na dodatek nie jest nawet jedną z ofiar naszego sprawcy?

– Nie wiem.

– Z jakiegoś powodu pani nie wierzę – rzucił Kern, który przyglądał jej się uważnie przez cały czas. – W końcu tylko pani osoba łączy morderstwa, pani matkę i pozostałe ofiary!

– Nie mam pojęcia, do jasnej cholery!

Sylwia Hausmann przeszła Larę uważnym spojrzeniem, po czym zmarszczyła brwi.

– Jak umarła pani matka?

– Utopiła się, już to pani opowiadałam.

– Jak się utopiła?

– Wpadła do basenu hotelowego. Miała ponad cztery promile we krwi. – Lara przełknęła ślinę. – Umarła, zanim ktoś ją w ogóle zauważył. Na próby ratunku było już za

późno.

Hausmann spojrzała na nią badawczo.

– Kiedy to było dokładnie?

– Ponad trzydzieści lat temu.

Komisarz zniecierpliwiła się.

– A da się troszkę dokładniej?

– W marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, dlaczego to takie ważne?

Hausmann wymieniła z Kernem poważne spojrzenie, jakby czuła, że jest blisko rozwiązania.

– Pierwsze morderstwa zdarzyły się zaraz po wypadku pani matki. Można by powiedzieć, że jej śmierć była sygnałem startu dla całej tej serii...

– Może umarła, zanim udało mu się ją dorwać – wymamrotał Kern. – A wszystkie te kobiety, które wyglądały jak ona, były po prostu marionetkami, miały zaspokoić jego pożądanie... – Spojrzał prosto na Larę. – Ale co mogło wywołać pragnienie, żeby zabić pani matkę? Pani Simons? Dlaczego akurat ona była w centrum jego zainteresowania?

Lara zwinęła dłonie w pięści i poczuła ostry ból w głowie, niczym ukłucie szpilki.

– Cholera, miałam sześć lat, jak zmarła! Nie wiem, co to wszystko ma wspólnego z nią, mną czy Emmą! – Zerwała się tak gwałtownie, że butelka z alkoholem spadła ze stołu i z trzaskiem rozbiła się o kafelki. – Ale wiem, że

moja dwunastoletnia córka została porwana przez tę bestię, a państwo nie mają nic lepszego do roboty, tylko zadawać mi pytania, na które nie umiem odpowiedzieć! – wykrzyknęła tak głośno, że napięła jej się żyła na szyi.

– Pani Simons, jeśli chce pani, żebyśmy odnaleźli córkę, musi nam pani powiedzieć całą prawdę! – nakazała Hausmann z równą determinacją.

Podbródek Lary zadrżał.

– Co pani wie! Pani nie ma pojęcia, jak to jest stracić dziecko!

Zapadła grobowa cisza. Nagle Hausmann wstała i z rękoma skrzyżowanymi na plecach podeszła do okna, obserwowana przez Larę i Kerna. Popatrzyła w ciemność, po czym odwróciła się i oznajmiła cicho:

– Myli się pani, pani Simons. Bardzo dobrze wiem, jakie to uczucie stracić dziecko. Moja mała Fabiena była wtedy niewiele starsza od Emmy, gdy niecałe pięćset metrów od domu potrafił ją samochód. Lekarze walczyli o jej życie przez trzy nieskończenie długie doby, zanim serce mojej córki ostatecznie się poddało.

Lara widziała, jak policjantka walczy ze łzami.

– To miało miejsce dokładnie siedem lat i trzydzieści osiem dni temu. Mimo to codziennie budzę się ze świadomością, że nie byłam w stanie uratować mojej córeczki...

Lara spuściła wzrok.

– Przepraszam, ja... nie wiedziałam.

Nagle ukryła twarz w dłoniach i zapłakała.

Kern wstał i spojrzawszy na swoją partnerkę, objął Larę ramieniem, a jego policzki pokryły się rumieńcem. Lara spojrzała na niego, szlochając:

– Musi pan ją znaleźć, słyszy pan? Proszę, musi pan ją znaleźć!

– Staramy się jak możemy, pani Simons.

Lara nie zamierzała zadowolić się taką odpowiedzią.

– Chcę, żeby pan mi to obiecał! – Popatrzyła na policjanta, potem na jego partnerkę. – Oboje musicie mi przysiąc, że znajdziecie moją córkę na czas! – Zbyt późno zorientowała się, że Henryk, obudziwszy się, stał w drzwiach ubrany w piżamę.

– Kiedy Emma wróci? – spytał, pocierając sennie oczy.

Lara wstała i objęła go, a potem, spoglądając na funkcjonariuszy, zapewniła:

– Niedługo, Henryk, niedługo. Państwo z policji mi to obiecali.

Po czym zostawiła policjantów w kuchni i zaprowadziła chłopca z powrotem do łóżka.

* * *

Wokół Emmy panowała zupełna ciemność i przerażająca cisza. Tylko jeśli się dokładnie wsłuchać, dało się wychwycić ciche pluskanie wody, uderzenia skrzydła nietoperza czy pisk szczura.

Powietrze było zimne i przepelnione zapachem ryb, który przywodził Emmie na myśl przystań lub port. Tylko że tutaj woń była o wiele silniejsza. Od tamtej okropnej nocy w Berlinie dziewczynka spała tylko przy zapalonym świetle, a teraz znalazła się w ciemności rozproszonej jedynie przez światło księżyca wpadające przez wąską szparę.

Na suchym niczym pieprz języku czuła słony smak. Dłonie miała przywiązane tak ciasno do starego drewnianego słupa, że prawie nie docierała do nich krew. Lecz gorsze od bólu było przerażliwe zimno. Emma stała po kolana w zimnej wodzie, która zdawała się z każdą chwilą zimniejsza.

Powoli zaczęła dostrzegać wokoło zarysy masywnych skał wystających z fal niczym wielkie włócznie. Emma daremnie próbowała poukładać w głowie strzępki wspomnień.

Po szkole pojechała autobusem do stajni. Minęła wybieg i weszła od tyłu do zagród. Z boksu dochodziło umęczone rzenie. Emma wbiegła do zagrody i ujrzała swoją piękną klacz leżącą na słomie. Dopiero gdy przy-

rzała jej się bliżej, spostrzegła, że jej brązową sierść pokrywa ciemna warstwa krwi. Łzy popłynęły dziewczynce z oczu, a kolana zmiękły. Przytuliła się do zwierzęcia, błagając, by nie umarło. Lecz zanim zdążyła się zastanowić, kto mógł być za to odpowiedzialny, poczuła silną dłoń przyciskającą jej do twarzy śmierdzącą szmatę, po czym straciła przytomność.

Sygnal zbliżającego się statku wyrwał ją z zamyślenia. Ale tak szybko, jak się zjawiał, zniknął ponownie. Zrezygnowana spuściła głowę, lecz wystraszył ją blask latarki przemykający po czerwonych skałach.

Emma z całej siły ciągnęła więzy, dysząc ciężko. Za wszelką cenę chciała zwrócić na siebie uwagę. *Tu! Tutaj jestem! Jestem!* Chciała krzyknąć, lecz nie potrafiła. Światło poruszało się w jej stronę i zrozumiała, że ktośkolwiek trzyma latarkę, dokładnie wie, gdzie Emma się znajduje.

Kroki odbijały się echem przez jaskinię. Coraz bliżej. Bliżej.

Przeszyły ją dreszcze. To nie był nikt z policji. To nie był ratunek, wybawca. Serce waliło jej jak szalone, gdy ciemna sylwetka schodziła powoli po kamieniach.

Dziewczynka rozpaczliwie pociągała za sznury, lecz więzy tylko mocniej kaleczyły jej nadgarstki.

Mężczyzna w gumiakach i kominiarce stał teraz zaledwie kilka kroków przed nią i świecił jej latarką w twarz.

Emma zmrużyła oczy, próbując dojrzeć nieznajomego za snopem światła, lecz im dłużej patrzyła, tym więcej mroczków tańczyło jej przed oczyma.

Zrobiło jej się niedobrze, gdy mężczyzna zaczął krążyć jak kot bawiący się ofiarą, nim ją zabije. Emma przywarła do pala. Dziesiątki małych drzazg wbiło się w jej skórę przez podartą koszulkę. Mężczyzna zatrzymał się za nią i przesunął światło na poluzowane pęta.

Wydał z siebie przytłumiony pomruk, po czym szarpnięciem zacisnął sznur tak, że Emmę przeszedł spazm bólu. Nieznajomy okrążył ją ponownie, po czym wyciągnął rękę, by dotknąć policzka Emmy. Dziewczyna mocno zacisnęła powieki. Gdy poczuła, jak ujmuje ją za podbródek, odwróciła głowę. Palce mężczyzny powędrowały wzdłuż jej szyi i do piersi. Emma nie chciała drzeć, lecz nie mogła opanować ciała. Wszystko w niej krzyczało. Z zamkniętymi oczyma rzucała się w pętach.

Mężczyzna nagle odstąpił. ,

Chwilę później jego kroki ucichły. Gdy Emma odważyła się otworzyć oczy, wokoło panowała zupełna ciemność.

* * *

Lara leżała w mroku, myśląc o losie córki, a łzy bezgłośnie wsiąkały w poduszkę.

Dlaczego Emma? Dlaczego nie zabrał mnie?

A potem wróciły pytania, które zadali policjanci: „Co pani matka ma wspólnego z tymi morderstwami? Dlaczego Wypruwacz tak się na nią wziął? I co ważniejsze, dlaczego wszystkie te kobiety musiały zginąć zamiast niej?”.

Wstała z łóżka, półprzytomna podeszła do okna i spojrzała w ciemność, jakby spodziewała się znaleźć tam odpowiedź na wszystkie pytania.

Nagle z zakamarków umysłu wypłynęło blade wspomnienie. Lara zapaliła lampkę przy łóżku i podeszła do garderoby. Przystawiła krzesło i stanęła na miękkim siedzisku. Na ślepo grzebała na najwyższej półce, między starymi butami i zużytymi torebkami. Wyjęła starą kurtkę dżinsową, a za nią wymacała paralizator, który Torben dał jej kiedyś w prezencie. Lara odłożyła urządzenie na łóżko. W końcu znalazła kopertę ze starymi filmami. Były to jedyne pamiątki, jakie zostały jej po matce. Lara dostała gęsiej skórki. Nie przejrzała wszystkich nagrań. I wcale nie dlatego, że już od dawna nie posiadała projektora. Wyparła je z pamięci i zupełnie nie skojarzyła, że ten materiał mógłby mieć jakieś znaczenie dla śledztwa.

Chociaż wciąż nie wierzyła, że znajdzie się na nich najdrobniejsza wskazówka, wołała nie ukrywać taśm przed Sylwią Hausmann.

Zeszła z krzesła, opisała kopertę tak, by komisarz wiedziała, o co chodzi, i bosko wymknęła się na ciemny

korytarz. Dotarłszy na parter, położyła kopertę przed drzwiami Hausmann. Z wnętrza pokoju komisarz dobiegały urywki rozmowy. Z dłońmi przyłożonymi płasko do drzwi Lara poczęła przysłuchiwać się dyskusji Magnusa i Hausmann.

– Marnujemy zbyt wiele czasu – powiedziała komisarz. – Wypruwacz nigdy nie utrzymuje ofiar przy życiu dłużej niż siedemdziesiąt dwie godziny. A przeważnie krócej.

Lara wstrzymała oddech.

– Bądźmy szczerzy, oboje wiemy, że dziewczyna już od dawna leży w morzu.

– Daj spokój, Magnus!

– Myślisz, że nie wiem, jak bardzo przejmujesz się tą sprawą? Ja także, ale Emma nie ma szans.

Lara przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że wyskoczyła z samolotu bez spadochronu. Ręką zakryła drżące usta i ze łzami w oczach popędziła z powrotem do sypialni.

Ledwo położyła się do łóżka, usłyszała pukanie. Zapaliła lampkę i usiadła. Drzwi się otworzyły, w progu stanął Arne. – Mogę wejść? – Próbował się uśmiechnąć. – Jest coś, co chyba powinienem ci powiedzieć... – wyjaśnił tajemniczo.

Lara z oczami zaczerwienionymi i podpuchniętymi od płaczu nie odpowiedziała, lecz Arne musiał odczytać jej bezruch jako przyzwolenie, ponieważ wszedł i usiadł obok

niej.

– Wyglądasz okropnie.

– Dzięki – szepnęła ochryple.

– Trzymaj, pomoże ci. – Podał jej lampkę czerwonego wina, którą przyniósł.

Lara powoli podniosła wzrok. Jej palce bez udziału woli zacisnęły się na kieliszku. Wypiła łyk, czując, jak wino spływa jej po krtani.

– Aż nie chce mi się wierzyć w to, co się tu dzieje – wykrztusił Arne. Przytulił Larę i pogłaskał ją po włosach. – Po prostu nie możemy tracić nadziei, najważniejsze to mieć nadzieję... – Jego optymizm brzmiał sztucznie. Mimo to Lara chciała mu wierzyć, więc odwzajemniła uścisk. Właśnie tego było jej trzeba.

– Chciałeś mi coś powiedzieć – przypomniało się kobiecie po chwili.

Arne puścił ją, pomasował kark i wziął głęboki wdech.

– Chodzi o te listy, wiesz, te, które znalazłaś w szufladzie Franka – powiedział cicho. – Ja... ja widziałem cię wtedy w jego biurze...

– Obserwowałaś mnie?

– To... był bardziej przypadek niż...

– Skąd wiesz o listach? – przerwała mu zdenerwowana.

Arne opuścił ramiona i odwrócił wzrok.

– Jak by to ująć... chodzi o to, że... że źle oceniasz Franka.

– Ach tak? A skąd ty to wiesz?

Przełknął ślinę.

– Zauważyłaś, że listy nie mają daty?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No, tyle, że romans między nimi miał miejsce lata temu, jeszcze zanim pojawiłaś się na wyspie. – Zmarszczył czoło i westchnął głęboko. – Frank cię kocha i nigdy cię nie zdradził. Wierz mi, proszę, ja to wiem...

Larze drgnęły kąciki ust.

– Wygląda na to, że wiesz wiele rzeczy, których ja nie wiem.

Milczał.

– I dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz, do cholery? – spytała Lara.

Arne przygarbił się, kręcąc głową.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem...

Gdy wstał, unikał jej wzroku. Nie chciał spojrzeć jej w oczy.

– Czy jest jeszcze coś, co powinnam wiedzieć? – rzuciła ostro.

– Nie – odpowiedział Arne i przygryzł dolną wargę.

– On znowu gra, prawda? Miał nawrót i dlatego jesz-

cze nie wrócił.

– Ja... nie wiem. – Wyciągnął dłoń i delikatnie podsunął Larze ramiączko koszulki nocnej. Przesunął palcami po szyi kobiety. Dotknął blizny na lewym ramieniu. Lara prędko nakryła się kocem i ruchem głowy wskazała mu drzwi.

Arne popatrzył jeszcze, ale powiedziawszy cicho: „Dobranoc”, opuścił pokój.

Mijały sekundy, a Lara wciąż zastanawiała się, czy ma być zła, czy wdzięczna. Ulga, że Frank jej jednak nie zdradził, była w obecnej sytuacji marną pociechą. Kobieta wzdrygnęła się z zimna. Powróciło dobrze znane uczucie, jakby miała załamać się pod naporem wydarzeń. Potrzebowała kotwicy. Czegoś, co dałoby jej oparcie.

Przez chwilę walczyła z własnymi myślami, po czym odrzuciła koc i wybiegła z pokoju. Arne był wciąż na korytarzu, odwrócił się, gdy otworzyła drzwi.

– Ja... nie mogę być dzisiaj sama – głos jej drżał.

Arne przytaknął, po czym wszedł za nią do pokoju, a Lara zamknęła za nimi drzwi.

* * *

Ciche buczenie wyrwało ją z płytkiego snu. Całą noc leżała, nie mogąc zasnąć. Uwolniła się z ramion Arne,

który leżał obok w szarej koszulce i dżinsach, obejmując Larę tak mocno, jakby nigdy nie chciał jej puścić. Wymacała swój telefon, wibrujący na stoliku nocnym. Sennie spojrzała na wyświetlacz i zerwała się na równe nogi.

– Frank! – Zamknęła oczy, słysząc jego znajomy głos.
– Kochanie, zostawiłam ci tysiące wiadomości na skrzynce!

Ostrożnie wstała z łóżka.

– Dopiero teraz udało mi się odsłuchać pocztę. Mój Boże, nie mogę uwierzyć w to, co się stało! – usłyszała roztrzęsiony głos swojego partnera. – Wróciłbym o wiele wcześniej, ale promy nie kursowały z powodu sztormu, nawet most był zamknięty.

– No ale dlaczego nie mogłam się do ciebie dodzwonić, do cholery?

– Wyjaśnię ci wszystko później, jestem właśnie na promie, więc spotkamy się za dwie godziny – ledwo słyszała jego słowa, lecz przypisywała to słabemu połączeniu.
– Razem damy sobie radę!

My. Razem.

Lara zastanawiała się, ile tak naprawdę wiedział. Grzbietem dłoni starła łzę z policzka i przytaknęła niemo.

– I proszę, nie rób nic na własną rękę, czekaj, aż przyjadę! – powiedział Frank.

– Ale... – zanim Lara zdążyła zaprotestować, połą-

czenie się urwało. Kręcąc głową, założyła stare džinsy, a koszulkę nocną zamieniła na T-shirt. Spojrzała na Arne. Przekręcił się na drugi bok. Lara wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Schodząc do pokoi komisarzy, słyszała wiatr szalejący na zewnątrz. Zapukała do Kerna, lecz nie było go już w pokoju. Hausmann również wyruszyła o świcie.

Wciąż jeszcze nie znaleźli Emmy.

Wyglądało na to, że Hausmann zabrała kopertę z filmami. Lara poszła do kuchni, wzięła paczkę papierosów i zapalniczkę, którą ktoś zostawił na stole wieczorem. Zapaliła.

Myśl, że miałaby siedzieć beczynn timer, przerażona, czekając godzinami na tę straszną wieść, jaką Hausmann otrzymała po śmierci swojej córki, doprowadzała ją do szaleństwa!

Mechanicznie zaparzyła kawy i włączyła radio. W wiadomościach informowano jedynie o sztormie, który zdążył przewrócić kilka masztów i pozrywać linie komunikacyjne.

Lara pomasowała skronie, krążąc po kuchni, aż zakręciło jej się w głowie. Telefon zawibrował ponownie. Tym razem na ekranie pojawił się numer Torbena. Zaciągnęła się papierosem i bojaźliwie spojrzała na aparat.

Emma nie żyje. Znaleźli ją i wysłali Torbena, żeby przekazał mi złe wiadomości – przemknęło jej przez głowę.

Trwało chwilę, nim przemogła się, by odebrać połączenie.

– Gdzie? – spytała przygotowana na najgorsze.

– Co gdzie? O czym ty mówisz? – zdziwił się Torben. Przerwał swoją wycieczkę, po tym jak Emma została porwana, i wrócił do pensjonatu. Lecz tego ranka wyruszył bardzo wcześnie.

– No jak to o czym? O Emmie! Gdzie ją znaleźli! – powiedziała głośniej, niż zamierzała.

– Przepraszam, ale z tego, co mi wiadomo, nie ma jeszcze nowych wieści – odpowiedział. Połączenie pogorszyło się na tyle, że słyszała jedynie urywki zdań. – Ale... tu chy... na coś natknąłem, co... mo... się przyd...

– Torben? Słyszysz mnie? Torben!

– ...jeste... w drodze... starej... latarni... – usłyszała jeszcze Lara, nim połączenie się zerwało.

Czego on szuka w starej latarni morskiej?

Lara spróbowała oddzwonić ze stacjonarnego, lecz sztorm pokrzyżował jej plany. Trzęsącymi rękoma uniosła papierosa do ust i zaciągnęła się łapczywie, po czym zagasila go w popielniczce. Musi się dowiedzieć, co odkrył Torben.

W biegu chwyciła kurtkę i kluczyki do samochodu. Próbowiła dodzwonić się do Sylwii Hausmann, lecz sygnał był zbyt słaby. Za progiem wiatr smagnął ją w twarz. Przed pensjonatem właśnie zatrzymał się żółty autokar

z napisem „Rugia – wyspa marzeń” na boku.

Wycieczka! Całkiem o nich zapomniałam. Drzwi autokaru otwarły się i wysiadła grupka około dwudziestu emerytów. Lara stanęła przy swoim samochodzie.

– Przykro mi, ale pensjonat jest zamknięty – powiedziała wprost. Jeszcze tylko gości tutaj brakowało.

Niestety, opiekunka grupy nie dała się tak łatwo zbyć.

– Z papierów wynika, że mamy rezerwację na dwudziestego siódmego maja i że zapowiedzieliśmy przyjazd!

– Siwa starsza kobieta z przypinką organizatora na piersi podeszła do Lary, wymachując potwierdzeniem rezerwacji. A Lara poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Ścisnęła kluczyki tak mocno, że metal wbił jej się w dłoń.

– Przecież mówię, że mi przykro! Nie mogą państwo tu zostać! Mamy kryzys rodzinny. Nie mam czasu na wyjaśnienia! Proszę wracać do autokaru i spróbować szczęścia gdzie indziej.

– Nigdzie się stąd nie ruszę, dopóki nie porozmawiam z właścicielem pensjonatu!

Lara miała ważniejsze problemy. Wsiadła do samochodu, zostawiając siwą kobietę samej sobie.

– Hej! A co z naszą przedpłatą? – usłyszała opiekunkę, nim wdepnęła gaz i z piskiem opon ruszyła do latarni morskiej.

* * *

Arne obserwował jej odjazd zza firanki.

– Nie spałeś w swoim łóżku? – usłyszał za sobą głos Henryka. Chłopiec pojawił się jakby znikąd. Ubrany był w szorty i koszulkę zespołu Tokio Hotel.

Arne poderwał się z westchnieniem, podszedł do chłopca i kucnął, by rozmawiać z nim twarzą w twarz.

– Wiesz, pani Wöhler strasznie się martwi o Emmę, wszyscy się martwimy i...

– A ty wiesz, gdzie jest Emma? – przerwał mu Henryk.

Arne przełknął ciężko ślinę.

– Chciałbym wiedzieć.

– Dokąd pojechała pani Wöhler?

– Myślę, że odbiera pana Burlachera z przystani.

– A on już wrócił? Myślisz, że on wie, gdzie jest Emma?

Arne pokręcił tylko głową i przytulił Henryka. Chłopiec zwiesił ramiona, w oczach wezbrały mu łzy.

– Nie martw się, kolego, na pewno niebawem Emma się znajdzie.

– Pewnego razu odbierałem Emmę z panią Burlacher ze stajni i słyszałem, jak rozmawia ze swoim koniem. – Łzy spływały po czerwonych policzkach Henryka. –

I pomyślałem sobie, że Emma to taka oszustka i że jest zbyt zarozumiała, żeby z nami rozmawiać, ale teraz boję się, że już jej więcej nie zobaczę!

Arne poczuł łzy chłopca na swojej skórze.

– Henryk, powiedz, skąd właściwie przyszło ci do głowy, że mógłbym wiedzieć, gdzie jest Emma? – dopytywał się.

– Torben powiedział, że ktoś tutaj wie, gdzie ona jest – szlochał chłopiec.

Arne puścił chłopca i głośno przełknął ślinę.

– Ach tak... a skąd Torben to wie?

Jego wzrok powędrował ku stojącemu za oknem busowi. *Pieprzona ciota!* – Chodź, spytamy go! – zawołał chłopiec i zbiegł po schodach.

– Hej, kolego! Zaczekaj! – zawołał Arne i pognął za nim na podwórze.

Henryk walił pięściami w drzwi busa kołyszącego się lekko na wietrze. Nikt nie otwierał. Porywisty podmuch przyciskał materiał koszulki do drobnego ciała chłopca niczym drugą skórę.

– Gdzie on poszedł tak z rana? Na dodatek przy takiej pogodzie?! – Wiatr był tak silny, że musieli do siebie krzyczeć.

Arne zauważył z irytacją, że zniknął rower Torbena.

– Chodź, lepiej wracajmy do środka!

Chłopiec zmrużył oczy od wiatru, ale posłuchał.

Przechodząc, zajrzał przez szparę w zasłonkach do wnętrza busa. Zatrzymał się jak wryty.

– Co się stało? – spytał Arne.

Twarz chłopca pobladła.

– Tam... tam leży iPod Emmy!

Arne podszedł bliżej i też zajrzał.

– Nie wierzę. Myślałem, że ona nigdy nie wychodzi bez niego z domu!

– Też tak myślałem – wymamrotał Henryk.

Arne przełknął ślinę.

– Słuchaj, powinieneś zapomnieć, co tu widziałeś, słyszysz?

Chłopiec przytaknął nieśmiało. Arne wsunął rękę przez uchylone boczne okno i otworzył drzwi samochodu.

– Zostań tu i nigdzie się nie ruszaj! – nakazał chłopcu, nim zniknął w busie. Panował tu nieopisany bałagan. Szuflady były pootwierane, ubrania porozrzućane po podłodze. Na materacu leżały lateksowe rękawiczki i komplet pasów. Arne podszedł do aneksu kuchennego i chwycił iPoda.

Spięty odłożył go z powrotem. Pojedyncze krople deszczu uderzyły w dach. Arne podnosił materace i zaglądał do szafek. W jednej z nich za paczką kostek do wc odkrył plastikową siatkę zawiązaną na kilka supełów.

Nieźle się zdziwił, gdy zajrzał do środka.

– Co to jest? Co jest w środku? – spytał Henryk, który nagle stanął za nim.

– Spadajmy lepiej stąd – odpowiedział Arne. – Torben nie musi wiedzieć, że tu byliśmy.

– Najpierw chcę wiedzieć, co jest w siatce!

– Chłopcze, to jest coś dla policji... Obiecuję, że ci kiedyś opowiem, ale nie teraz, dobrze?

– A czemu nie teraz? – Henryk nie ruszył się z miejsca.

– No chodź, kolego, przecież ci obiecałem, że ci opowiem! – Arne uklęknął. Wyglądało, jakby szukał czegoś pod łóżkiem.

Henryk spytał nagle:

– Co to jest to czerwone na twoich podszewkach?

Arne spojrział na niego zdziwiony.

– O czym mówisz?

– To czerwona kreda – stwierdził chłopiec.

– Nie mam pojęcia, musiałem w coś wdepnąć.

Henryk rozejrzał się po busie.

– Znam tylko jedno miejsce na wyspie, gdzie można znaleźć taką kredę. W czerwonej jaskini. Ale ona jest właściwie ściśle tajna!

– Nie patrz tak na mnie, nie byłem w żadnej jaskini.

– Ale kreda musiała się jakoś dostać na twoje buty!

Arne westchnął.

– Jezu, kolego, wiem, że całe to zamieszanie działa ci na nerwy, ale naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz!

– Mówię o kryjówce! Tak dobrej, że nawet policja jej nie znajdzie! – wyjaśnił Henryk, przyglądając się Arne uważnie.

Arne położył dłoń na ramieniu chłopca.

– Słuchaj, zadzwonię na komisariat, a ty im dokładnie opowiesz, gdzie się ta jaskinia znajduje, dobrze? – Wyprowadził Henryka z samochodu i wyjął komórkę. Odwrócił się od wiatru i wybrał numer, lecz nie było połączenia. – Cholerny sztorm! – Pospieszył za Henrykiem, lecz ten nagle zatrzymał się w drzwiach.

– Czy nie mówiłeś, że przyplynałeś katamaranem? Czy on jest zacumowany gdzieś w pobliżu?

– Wiesz, jeśli chodzi o katamaran... – Arne zaczął kręcić i przeczesać roztargane włosy. – On był tylko pożyczony.

Henryk przytaknął zasmucony, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Dlaczego w ogóle pytasz? – Arne wszedł za nim.

Henryk przebiegł przez korytarz i zdjął wielki klucz z tablicy.

– Wiem, jak dostać się do jaskini od strony morza!

– Chyba nie chcesz przy takim sztormie wypływać w morze?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Katamaranem bym się nie bał tak bardzo jak starą łajbą Burlacherów, ale może i tak się uda.

– Nie ma mowy! – zawołał Arne, lecz Henryk zdążył już wybiec za drzwi i nie pozostawało nic innego, jak ruszyć za nim.

* * *

Tego ranka ulice były niczym wymarłe. Lara zaparkowała samochód w asfaltowej zatoczce nieopodal klifu niecałe trzydzieści minut po tym, jak wyruszyła z Lohme. Na wzburzonych falach kołysało się kilka samotnych łodzi rybackich. Latarnia morska położona było nieco na uboczu i zdawała się jedynym miejscem na wyspie, gdzie nie kręcili się policjanci.

Jej szybkie kroki chrzęściły na drobnym piasku nawiewanym na popękaną betonową drogę. Rower Torbena stał oparty o pordzewiały płotek za zbutwiałą, porośniętą bluszczem ławeczką, jakieś dziesięć metrów od latarni.

Lara przystanąła i przyjrzała się fasadzie niegdyś pięknej latarni, na której przez lata wiatr i deszcz odcisnęły swoje piętno.

Skierowała się do pordzewiałych metalowych drzwi. Były lekko uchylone, a na progu leżał zerwany łańcuch z kłódką. Otwarcie ciężkich, pordzewiałych drzwi na tyle, aby się przecisnąć przez szparę, wymagało wiele wysiłku.

– Torben? Jesteś tam? – echo odbijało jej głos po wnętrzu latarni, lecz w odpowiedzi usłyszała prześmiewcze krzyki mew. – Torben? Idę na górę! Słyszysz?

Może nie powinnam przychodzić tu sama – pomyślała Lara, wspinając się po wąskich schodach na szczyt wieży. Zapach starego oleju maszynowego nasilał się z każdym stopniem. Na ścianach widniały napisy głoszące: „I was here” czy „The world is a bottle full of shit”.

Lara dotarła do kopuły oświetlonej jedynie słabym blaskiem poranka wpadającym przez brudne bulaje, lecz tu również nie znalazła śladu Torbena.

Odprysnięty lakier sypał się z sufitu. Larze zdawało się, że latarnia się kołysze. Nagle kobieta zamarła i kucnęła. Dotknęła odcisku, który odkryła na kamiennej posadzce. Gdy podniosła dłoń, na palcach została jej czerwono-brunatna kreda.

Czerwona kreda – pomyślała zdziwiona, po czym wyszła na wąski balkonik otaczający wierzchołek latarni. Metal trzeszczał i skrzypiał przy każdym kroku, jakby zaraz miał się zawalić. Wiatr i deszcz smagały twarz Lary, musiała trzymać się niegdyś białej poręczy.

Po raz kolejny zawołała Torbena, lecz słowa utonęły

w szumie wiatru i huku spienionych fal. *Co to ma znaczyć? Torben, gdzie ty się podziałeś?* Ostrożnie przechyliła się nad poręczą i przyjrzała kamieniom odsłanianym przez wzburzoną wodę. Nagle odskoczyła od poręczy jak rażona prądem. Balustrada pokryta była krwawymi odciskami palców! *To pułapka, cholerna pułapka!*

Lara miała wrażenie, że zaczyna tracić równowagę. Jej spojrzenie powędrowało do samochodu.

Paralizator!

Lecz urządzenie schowane pod przednim siedzeniem z pewnością teraz na nic się nie przyda. Lara pośpiesznie wróciła do wnętrza wieży i pomknęła w dół wąskimi schodami. Gdy dotarła na parter, zauważyła, że ktoś zatrzasnął masywne drzwi.

Za plecami usłyszała ciężkie sapanie. Mimo woli zaczęła się trząść. Tak jak wtedy w jej mieszkaniu w Berlinie – wystarczyło, że poczuła oddech mężczyzny, aby wiedzieć, że to on.

Chciała rzucić się ku schodom, lecz napastnik już złapał ją za włosy i zasłonił usta.

Lara szarpała się, próbując złapać oddech. Poczowała ostry zapach, zakręciło jej się w głowie. Świat wokół rozpląnął się i zapadła całkowita ciemność.

* * *

– Jakieś nowości? – spytała gorączkowo Sylwia Hausmann, przekroczywszy próg biura, które Petzold udostępnił na czas śledztwa.

Spartańsko urządzone pomieszczenie wyposażone w dwa biurka, dwa komputery, kilka metalowych szafek, tablicę korkową i drukarkę nie było najpiękniejsze, ale spełniało swój cel.

– Nic... – westchnął Kern i odgarnął mokre włosy z twarzy.

Hausmann zamknęła drzwi.

– Cholera! Cholera! Cholera! Jak to się mogło stać, do kurwy nędzy! Czego, do cholery, Simons szukała przy starej latarni?

– Jeszcze nie wiemy, czy na pewno tam była.

– Tak? To skąd się tam wziął jej samochód? – Nadkomisarz podniosła rękę. – Jakoś wątpię, że sam tam przyjechał!

Kern nie odpowiedział i zaległa niezręczna cisza. Hausmann wiedziała, że on też nie zmrużył oka tej nocy.

Zatrzymała się przy tablicy korkowej, na której wisiały zdjęcia przesłane przed chwilą przez techników z laboratorium.

– Co wiemy o tych śladach w latarni morskiej?

– Wygląda na to, że pochodzą od masywnych butów

rozmiaru czterdzieści cztery. – Kern w dłoniach obracał poogryzany ołówek. – Z rysunku podeszwy wynika, że to produkcja skandynawska, a dokładniej, marka Oerev.

– Czy udało ci się dowiedzieć, które sklepy mają je w swoim asortymencie?

– W tym sęk. Firma Oerev zbankrutowała w dwa tysiące pierwszym roku, więc ten odcisk niewiele nam pomoże.

Komisarz przyjęła tę wiadomość z rezygnacją.

– Przyszło ci do głowy, że nasz przyjaciel może pochodzić ze Skandynawii?

– To wydaje mi się mało prawdopodobne.

Hausmann spojrzała na zdjęcia zmasakrowanej klaczy Emmy i napis na ścianie stajni.

– A co z iPodem dziewczyny? Został już odnaleziony?

– Nie – westchnął Kern.

– Z tego, co wiem, Emma miała go zawsze przy sobie. Możliwe, że zgubiła iPoda podczas porwania, i gdyby go odnaleziono, mielibyśmy przynajmniej jakiś punkt zaczepienia...

– Ale go nie znaleziono, Sylwia – przerwał jej Kern podenerwowany. – Nie. Znaleziono. Go.

Hausmann ponownie popatrzyła na tablicę ze zdjęciami.

– Co wiemy o tej czerwonawej kredzie?

– Nic.

– Do diabła! Wyniki badań kryminalistycznych powinny dawno tu być!

– Cholera, Sylwia, weź się w garść! Wszyscy robimy, co możemy, ale jak stracimy głowę, to nie pomożemy ani Larze, ani jej córce!

Hausmann skrzyżowała ręce na piersi.

– A tak à propos złych wiadomości... – Kern rzucił ołówek na biurko. – Russbach jest w drodze.

– No tego jeszcze brakowało – jęknęła. Do pomieszczenia wszedł Bernd Petzold ze spuszczoną głową.

– Od dziesięcioleci nie mieliśmy tak silnego sztormu – zaczął. – Koledzy ze straży morskiej i helikoptery muszą przerwać poszukiwania.

– Nie ma mowy! – wrzasnęła Hausmann, grożąc palcem. – Jak teraz przerwiecie poszukiwania, to ten szaleniec znowu wygra.

– Przykro mi, ale to wykluczone, żeby moi ludzie pracowali dalej w takim sztormie – odpowiedział Petzold zdecydowanym tonem.

– Dacie się zastraszyć burzy?!

Szef policji na Rugii uderzył pięścią w stół i spojrzał groźnie na funkcjonariuszy z Berlina.

– Moi ludzie mają rodziny. Może wy z miasta nie pamiętacie, co to znaczy, ale dla nas jeszcze liczą się nie-

które wartości. Nie pozwolę, żeby więcej ludzi straciło życie!

– Jak będziemy dalej siedzieć na dupach, to raczej nie da się temu zapobiec. – Magnus Kern wytrzymał srogi wzrok miejscowego policjanta.

– Nie macie pojęcia, co tu się dzieje – zachnął się Petzold, podając Kernowi nieczytelny faks. – Linie telefoniczne działają tylko od czasu do czasu, ale to udało się jeszcze odebrać. Na wybrzeżu, niedaleko latarni, odnaleziono mężczyznę. Z opisu wynika, że może to być wasz znajomy, Torben Landsberg. To tyle na temat niepogody.

Kern wymienił z Hausmann niespokojne spojrzenie i wziął faks.

– Mężczyzna, wiek: około czterdziestki, średniego wzrostu, ciemne szpakowate włosy – czytał na głos. – No świetnie, prawie każdy mógłby pasować do tego opisu! – Spojrzał sponad faksu i westchnął. – Gdzie znajdują się zwłoki?

– Żadne zwłoki. – Petzold zezował na nieczytelną dolną część faksu. – Landsberg przeżył. Został odwieziony do szpitala w Bergen, ale jego stan nie rokuje dobrze.

Magnus Kern zdjął kurtkę z wieszaka.

– Pojadę tam. – Założył okrycie w biegu i zapiął zamki pod szyję.

Sylwia Hausmann tylko patrzyła, jak jej partner opuszcza pomieszczenie. Miała nadzieję, że nie widać było

po niej bezsilności, jaką odczuwała. Wreszcie drgnęła i wybiegła, mijając Petzolda. Udało jej się powstrzymać łzy na tyle długo, by dotrzeć do damskiej toalety.

Zamknęła za sobą drzwi, przyłożyła czoło do zimnej wykafelkowanej ściany i odetchnęła głęboko kilka razy.
Weź się w garść, Sylwia!

Spryskała twarz zimną wodą i oparła się o umywalkę. W lustrze ujrzała policjantkę, która zawałiła na całej linii. Upłynęło już zbyt wiele czasu. Myśl, że jest już za późno dla Simons i jej córki, sprawiała, że nadkomisarz Hausmann z trudem mogła oddychać.

– Zajęte – chrząknęła, gdy zabrzmiało pukanie. Starła czarny tusz, który wymieszał się z jej łzami, wysuszyła twarz szorstkim papierem do rąk i dla pozoru uruchomiła splotkę, po czym wyszła na korytarz.

Tam czekał na nią funkcjonariusz z wąsem. Ten sam, co kilka dni wcześniej przesłuchiwał autostopowicza Janika Kruse i którego imienia za Boga Sylwia nie mogła zapamiętać.

– Rozstawiłem dla pani projektor w piwnicy wedle życzenia. Tam nie powinien nikt przeszkadzać.

Hausmann uśmiechnęła się słabo.

– Dziękuję, jest pan wspaniały – rzuciła przez ramię i już biegła do biura po kopertę z filmami. Chwilę później pospieszyła z nimi do piwnicy.

Piwnica komisariatu cuchnęła stęchlizną. Obok starych, zakurzonych akt i przestarzałych komputerów pod sam sufit piętrzyły się sterty kartonów i materiałów biurowych. Mimo to pomieszczenie sprawiało wrażenie o wiele bardziej uporządkowanego niż piwnica wydziału zabójstw w Berlinie. Nadkomisarz założyła pierwszą rolkę filmu, włączyła projektor i zgasła światło. Chociaż nie spodziewała się znaleźć żadnego tropu, jednak przejrzenie materiału filmowego uznała za sensowne. Możliwe, że na taśmach krył się jakiś dialog, scena, gest, cień czy inny szczegół mający znaczenie.

Przez ekran przewijały się sceny z dziecięcych urodzin.

Hausmann ustawiła sobie metalowy stółek i oglądała uważnie, jak mała dziewczynka, zapewne Lara Simons, razem z ojcem, który wyglądał trochę jak belfer, zdmuchiwała pięć świeczek z tortu. Była ładna. A nawet, można by rzec, śliczna i po jej ruchach widać było, że zdaje sobie z tego sprawę.

Hausmann założyła kolejną szpulę, ale i na niej nie znalazła nic ciekawego. Opadła z powrotem na stółek, przyglądając się scenom dokumentującym pierwsze dni szkolne Lary. Widać było nauczycielkę, która wesoło witała swoje bezzębne skrzaty i ustawiała je do grupowego zdjęcia.

Hausmann założyła nogę na nogę, niecierpliwiąc się coraz bardziej. Czas uciekał, a ona nie znalazła na tych

rolkach nic, co mogłoby się przydać w dochodzeniu.

Szybko włożyła kolejną taśmę i przewijając, obejrzała pierwsze próby Lary w pływaniu.

Hausmann powoli traciła zapał. *Co właściwie prze-
gapiałam?* Wszystkie nadzieje pokładała w ostatniej taśmie. Tym większe było rozczarowanie nadkomisarz, gdy na ekranie pokazały się jedynie czarne kreski i kropki.

Zmarnowany czas!

Powróciła dawna bezsilność. Po raz kolejny musiała się cofnąć i zacząć od początku. Gdyby Lara i Emma zginęły, Hausmann czułaby się winna. Wstała i na miękkich nogach podeszła do projektora, lecz gdy sięgała do włącznika, na ekranie pojawiły się nowe obrazy.

Mina komisarz rozjaśniła się, gdy zobaczyła matkę Lary z butelką szampana, tańczącą po wyjątkowo nowocześnie, jak na tamte czasy, urządzonej kuchni.

Poza czerwonymi szpilkami i wisiorkiem w kształcie serca na złotym łańcuszku była zupełnie naga.

Hausmann usiadła z powrotem i zacierając dłonie, przyglądała się kobiecie, która wciąż tańczyła po ekranie dopingowana przez mężczyznę, z całą pewnością niebędącego ojcem Lary.

Czy było możliwe, że już kiedyś widziała tę twarz? *No dalej, Sylwia, myśl!*

Hausmann gorączkowo przeszukiwała pamięć, lecz

nie znalazła nic, co mogłoby wskazywać na tożsamość mężczyzny. Zmarszczyła lekko czoło, przyglądając się, jak para kocha się na stole kuchennym. Potem przy oknie. Nie skończyli, coś ich spłoszyło. Mężczyzna cofnął się i począł pospiesznie zbierać porozrzucone ubrania. Następnie chwycił matkę Lary za ramię i próbował zaciągnąć do salonu, lecz kobieta sprzeciwiała się zaciekle. Podczas gdy mężczyzna namawiał ją, wymachując rękoma, matka Lary zerwała naszyjnik i rzuciła mu go pod nogi.

Niech zgadnę: obiecywał ci nie wiadomo co – pewnie że rozwiedzie się z żoną, a ty byłaś na tyle naiwna, by mu uwierzyć – pomyślała Hausmann.

Obraz zamigotał i komisarz zobaczyła, jak mężczyzna zakrywa matce Lary usta i ciągnie ją w stronę okna. Otworło się. *No nie wierzę, on naprawdę chce ją wyrzucić... Mój Boże, on naprawdę to robi!*

Komisarz poderwała się z krzesła, widząc, jak matka Lary walczy o życie przewieszona przez parapet. W ostatniej chwili kobiecie udało się złapać nóż ze stołu.

Hausmann stała jak wryta, obserwując broniącą się matkę Lary. Kobieta na filmie zadawała cios za ciosem.

Jednoznacznie obrona konieczna.

Gdy napastnik osunął się na podłogę, matka Lary puściła nóż przerażona.

Wtedy w drzwiach pojawiła się gruba kobieta. Podbiegła do leżącego męża, podniosła nóż i rzuciła się z nim

na matkę Lary. Hausmann obserwowała kolejną walkę, ale nagle obrazy się zamgliły. Strażona w zamieszaniu kamera uderzyła o podłogę.

Hausmann wstrzymała oddech. Urządzenie przetrwało upadek i wciąż nagrywało. Obiektyw skierowany był teraz na salon, w którym oprócz olbrzymiej kanapy znajdowały się gabloty z wypchanymi ptakami.

Gruba kobieta pojawiła się jakby znikąd i upadła głową, uderzając o ostry kant szklanego stołu koło kanapy, na ekranie znajdującego się w lewym dolnym rogu. Kobieta poruszyła się kilka razy, po czym znieruchomiła z rozłożonymi rękoma.

Hausmann stała jak wryta. W tle dostrzegła jakiś ruch. *Tam! Pod kanapą! Święty Boże, dziecko! Zbladła, zrozumiawszy, że chłopiec miał nie więcej niż osiem, może dziewięć lat. Dobry Boże, cały czas ukrywał się pod kanapą! Nadkomisarz złapała się za głowę. Chłopiec, to on jest brakującym elementem układanki! On łączy to nieszczęście ze wszystkimi ofiarami!*

Hausmann czuła, jak oblewają zimny pot. *No dalej, chłopcze, popatrz w moją stronę! Pokaż twarz!*

Komisarz zacisnęła zęby w napięciu, lecz gdy chłopiec właśnie wyłonił się nieco spod kanapy i powoli odwracał głowę do kamery, pojawiła się matka Lary i zasłoniła widok, chociaż nie zauważyła chłopca.

Hausmann zatrzymała film. Jej wzrok skoncentrował

się na kalendarzu wiszącym nad kanapą. Pod obrazem olejnym przedstawiającym wiosenny pejzaż widniała data.

Wiosna 1969. To było czterdzieści cztery lata temu.

Komisarz z walącym sercem pomknęła na górę. Musiała natychmiast sprawdzić w komputerze, czy zbrodnia z sześćdziesiątego dziewiątego została odnotowana w bazie danych. Jeśli tak, to znalezienie nazwisk rodziców będzie łatwe, podobnie jak danych chłopca.

Chwilę później Hausmann siedziała przed komputerem. Miała szczęście, że połączenie internetowe jeszcze działało i udało się otworzyć bazę danych Federalnego Urzędu Śledczego.

Sprawnymi pacami wklepała hasło, lecz na ekranie ukazał się komunikat: PASSWORD INVALID. Poirytowana zmarszczyła czoło i ponowiła próbę. Niecierpliwie spoglądała na monitor, podczas gdy komputer miał dane. Lecz i tym razem hasło się nie zgadzało.

Co, do cholery...?

Hausmann spróbowała się skoncentrować. Nie sądziła, by mogła się pomylić, ale mimo to przeszukała biurko w poszukiwaniu wskazówki do hasła. Lecz i teraz nie znalazła tego, czego szukała. Spojrzała na zegar. Czas uciekał! Pośpieszyła do piwnicy i puściła znowu film.

W napięciu wbijała wzrok w ekran. Matka Lary weszła w kadr, ale potem zrobiła krok w bok, odsłaniając widok na kanapę, tak że Hausmann zdołała przyjrzeć się

profilowi chłopca.

Policjantka cofnęła film nieznacznie i zatrzymała ponownie.

Nagle zabrakło jej tchu.

Czas zatrzymał się na kilka sekund i Hausmann czuła, że chwieje się lekko, gdy rosło w niej podejrzenie: *Czy to możliwe...?*

Im dłużej o tym myślała, tym wyraźniej dostrzegała makabryczną logikę zdarzeń.

Musiała działać.

Zanim mogła podjąć kolejne kroki, potrzebowała stuprocentowej pewności. Dowodów, których nie posiadała. *Chyba że...*

Nadkomisarz przypomniała sobie o starej znajomej pracującej w dziale kadr Federalnego Urzędu Śledczego, która winna była jej przysługę.

Hausmann wyjęła rolkę z filmem i pobiegła do góry w nadziei, że pomimo sztormu uda się wykonać jeszcze jeden ostatni telefon.

* * *

Larze wciąż kręciło się w głowie od chloroformu. Leżała rozciągnięta na drewnianej pryczy, z rękoma i nogami związanymi grubym sznurem. Wokoło dostrzegła

jedynie przerdzewiały miny, torpedy i stare bomby.

Ignorując ból, uniosła głowę i przyjrzała się kamiennym ścianom, które w słabym świetle mieniły się na czerwono. Lara zamknęła oczy w nadziei, że umysł płata jej figle. Próżne nadzieje. Była w wielkiej jaskini z czerwonej kredy. Do niedawna nie wierzyła nawet, że takie miejsce na wyspie istnieje.

Dotarło do niej, że nie zdoła się uwolnić. Zrozumiała, że tu właśnie kończy się jej ucieczka.

Nie miała pojęcia, jak długo leżała, a tym bardziej jak dostała się z latarni w to miejsce. Miała ostre zawroty głowy. Na języku czuła smak krwi. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że rozebrano ją do majtek, a ręce i nogi pokrywa jej niezliczona ilość skaleczeń. Na piersi i płaskim brzuchu widać było pręgi.

Lara szarpała za sznury, próbując podnieść się lekko na pryczy. Osłabiona rozejrzała się w poszukiwaniu Emmy. W głębi duszy czuła, że córka również tu jest. Ze jeszcze żyje.

Przestraszyła się, odkrywszy dziewczynę w dolnej, ciemniejszej części grotu.

– Mój Boże, Emma!

Emma stała w wodzie, przywiązana do pala. Głowę miała spuszczoną i Lara przestraszyła się, że córka nie żyje. Lecz wtedy ciało dziewczynki drgnęło.

– Emma, słyszysz mnie? – zawołała Lara ochryple.

Emma nie zareagowała.

– Tu jestem! Tu, u góry! – spróbowała ponownie.

Dziewczynka jakby cudem zaczęła podnosić głowę.

Lara zobaczyła, że córka rozgląda się otępiała, i zastanawiała się, czy dziewczyna ją widzi. Nagle rozległy się niewyraźne głosy.

Zaczęła nasłuchiwać.

W jaskini odbijało się echem jej imię. Łzy radości napłynęły Larze do oczu, gdy rozpoznała głos Henryka, a potem Arne.

– Tu, tutaj jesteśmy! – krzyczała, dopóki starczyło jej tchu.

Głosy były już całkiem blisko.

– Tutaj! – Lara nie przestawała krzyczeć. – Bądźcie ostrożni...

Nagle huknęło, jakby jedna z bomb wybuchła, pociągnęła za sobą lawinę błota i kamieni i zasypała głosy Arne i Henryka. Cisza.

Wokół zapanowała śmiertelna cisza.

Larze zabrakło tchu, panicznie rozglądała się po jaskini. Ze sklepienia spadały na nią odłamki kamieni.

– Henryk! Arne! Słyszycie mnie? Cholera, powiedzcie coś! – Zza metrowego głazu uniosła się chmura czerwonego pyłu. Zlana potem Lara zamknęła oczy, modląc się, by Arne i Henryk jeszcze żyli.

Wydało jej się, że z tej samej strony słyszy szybkie kroki. Otworzyła oczy i zamrugła oślepiona światłem laski. Ku jej zaskoczeniu w chmurze pyłu nie ukazał się ani Arne, ani Henryk, ale Lara odetchnęła z ulgą, gdy rozpoznała przybyłego.

Teraz wszystko będzie dobrze.

Słabym ruchem głowy wskazała na Emmę.

– Proszę... Proszę najpierw pomóc mojej córce.

Lecz mężczyzna albo nie mógł, albo nie chciał jej zrozumieć. Zaczął schodzić po kamieniach. Lara przyglądała mu się w napięciu. Gdy dostrzegła nóż w jego dłoni, opuściły ją resztki ulgi.

Minęła chwila, nim zrozumiała sytuację, w jakiej się znalazła.

Boże! Nie! Lara chciała krzyknąć, lecz świadomość tego, kto chował się za maską Wypruwacza zbliżającego się do niej prędko, odcinała jej powietrze.

* * *

Sylwia Hausmann zaparkowała passata na podjeździe do pensjonatu „Burlacher Hof ” i wyłączyła silnik, gdy dostrzegła mężczyznę. Twarz miał skrytą pod kapturem ciemnozielonego płaszcza i niósł czarną torbę podróżną.

Gdy dobierał się do drzwi pensjonatu, Hausmann

chwyciła za radio. Niestety, tak jak telefon ono również nie działało podczas sztormu.

Deszcz siekł wąskimi strużkami po przedniej szybie, lecz policjantka nie spuszczała oka z wejścia do budynku. Mężczyzna pojawił się znowu. Zamienił torbę na łopatę i pędził z nią w kierunku lasu nieopodal.

Hausmann wysiadła i popędziła za nim z wyciągniętą bronią.

Gałęzie krzaków uginały się na wietrze, który zmienił las w niepokojący krajobraz powyrywanych, połamanych drzew. Mężczyzna z łopatą wybrał mało uczęszczaną ścieżkę. Przy rzeczce skręcił na klif. Hausmann przyśpieszyła, ale nie mogła utrzymać tempa na podmokłym terenie.

– Ręce do góry! Nie ruszać się! – krzyknęła, gdy znalazła się zaledwie kilka metrów za nieznajomym i po kolana zatoneła w błocie.

Mężczyzna zatrzymał się, puścił łopatę i odwrócił się z uniesionymi rękoma. Hausmann odbezpieczyła broń i zbliżyła się ostrożnie.

– Pan Burlacher? – spytała zdziwiona, gdy wiatr zerwał mu z głowy kaptur i rozpoznała twarz ze zdjęcia wiszącego w kuchni.

Prędko opuściła broń.

Mężczyzna opuścił ręce z groźną miną i ponownie założył kaptur.

– A pani jest...?

– Sylwia Hausmann. Wydział zabójstw. – Deszcz spływał jej po twarzy. – Co pan wyrabia, do diaska?

Podniósł łopate.

– Niech pani idzie za mną, wyjaśnię po drodze. Musimy się śpieszyć! Niech pani się rozgląda za rozdwojonym bukiem.

Komisarz popatrzyła na niego niezdecydowanie, lecz ruszyła za nim, trzymając się blisko.

– Gdy dotarłem promem do Ronne i nigdzie nie było Lary, od razu wiedziałem, że musiało się coś stać.

Przyjechałem taksówką. Miałem farta, że kierowca w ogóle chciał mnie zabrać przy tym sztormie. – Pokręcił głową. – Ale w pensjonacie nikogo nie było i jak zobaczyłem, że na haczyku brakuje kluczyka od łajby, zdałem sobie sprawę, że Henryk musiał nią wypłynąć! Poza mną tylko on na niej pływa. Z pewnością namówił Arne, żeby zabrał się z nim.

– Przy tej pogodzie? – wyrwało się Hausmann.

Frank Burlacher się odwrócił.

– Też tak pomyślałem. Chłopak nie jest na tyle głupi, żeby wypływać przy takim sztormie, chyba że ma ku temu poważny powód. Na pewno wie, gdzie jest Emma. I ja chyba też – powiedział, po czym przyśpieszył kroku.

Hausmann zamrugła zaskoczona.

– I mówi pan to dopiero TERAZ?

– Nie byłem tam od wieków. Zdażyłem zapomnieć, że w ogóle pokazałem Henrykowi tę pieprzoną jaskinię! – Potrząsnął głową i brnął dalej. – Poza tym zabroniłem chłopakowi się do niej zbliżyć!

– Jaką jaskinię? – Hausmann ledwo nadażwała za Burlacherem, głównie dlatego, że zatrzymywała się, próbując wysłać SMS-a z ich pozycją do centrali. Poza tym wciąż miała nadzieję na otrzymanie wiadomości od Rieke Seifert i uzyskanie danych o tożsamości chłopca z filmu. Szalona nadzieja, jeśli wziąć pod uwagę, że linie telefoniczne zostały zerwane i sztorm raczej nie robił wyjątków dla wiadomości Federalnego Urzędu Śledczego.

Burlacher obejrzał się na Hausmann, nie zwalniając kroku.

– Prawie nikt na wyspie nie wie o istnieniu czerwonej jaskini. Nie bez powodu. Podczas drugiej wojny światowej naziści wykorzystywali ją jako tajny skład amunicji. Do dzisiaj leżą tam tony bomb i rakiet. Kiedy okazało się, że Niemcy przegrają wojnę, Hitler kazał wysadzić jaskinię. Podjęto kilka prób, ale nigdy nie udało się zniszczyć jej całkowicie. Wielu mężczyzn zginęło podczas tych prób. – Co kilka kroków badał teren łopata. – Nieliczni, którzy przeżyli i wiedzieli, gdzie ona się znajduje, zmarli potem i zabrali tajemnicę do grobu.

Frank Burlacher przystanął znowu i rozejrzał się za

Hausmann.

– A ta jaskinia grozi zawaleniem! – stwierdził, gdy komisarz go dogoniła.

– No dobra, powoli. Założmy, że Henryk naprawdę popłynął do tej jaskini, ale to nie wyjaśnia, skąd, do diabła, ten świr o niej wiedział!

– Znalezienie odpowiedzi na to pytanie to pani praca, nie moja! – krzyknął Frank przez deszcz. W jego słowach wyraźnie słychać było wyrzut.

– A dlaczego idziemy przez las, skoro chcemy dotrzeć do jaskini?

– Jest drugie wejście od strony łądu. Tędy jest o wiele szybciej! Poza tym wtedy przejdziemy niezauważeni! – Wciąż parł przez krzaki. – Nigdy nie pokazałem chłopakowi tej drogi. Jak mówiłem, nie chciałem, żeby tam chodził.

Hausmann biegła za nim.

– A skąd pan wie o rzeczach, o których nawet szef tutejszej policji chyba nie ma pojęcia?

– Mój dziadek był członkiem ss i dowodził wyburzeniem jaskini... – Frank zatrzymał się przed stromym spadem i zaczął się rozglądać, jakby niepewny, czy uda mu się odnaleźć drogę.

Komisarz oparła się rękoma o kolana i próbowała złapać oddech. Gdy Frank Burlacher ponownie ruszył

przez błoto, popatrzyła na niego, jakby wątpiła, czy wierzyć w jego historię.

– Skąd mam wiedzieć, że mówi pan prawdę? – krzyknęła, nim ruszyła za nim.

– O co pani chodzi? – prychnął prawie z pogardą. – Podejrzewa mnie pani?

– Wie pan, że nie mogę sprawdzić pańskiej wersji przy tym sztormie! – ton Hausmann również stał się nieprzyjemny.

Frank przystanął, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy, po czym ruszył dalej.

Hausmann zacisnęła wargi.

– No dobrze – syknęła i podążyła za nim, rozglądając się uważnie. Nie miała wielkiego wyboru.

– Tam! To drzewo! – zawołał Frank.

Ruszyli do starego rozdwojonego buka. Lecz zanim Hausmann tam dotarła, pośliznęła się i zjechała kilka metrów w dół urwiska. Frank pośpieszył jej na pomoc z łopata. Zaparł się i wyciągnął rękę. Mimo łopaty również miał trudności z zachowaniem równowagi na śliskim podłożu.

– Dziękuję, dam radę – sapnęła Hausmann, po tym jak pomógł jej wstać. Cała pokryta była teraz błotem. Zbliżyła się do drzewa, a Frank zaczął szukać czegoś łopata w mokrym podłożu.

Nagle usłyszeli brzęk metalu.

– Zapadnia, chyba ją znalazłem!

Natychmiast zaczęli odgarniać błoto i mech. Hausmann ledwo wierzyła oczom, gdy chwilę później ukazała się stalowa płyta z wybitą swastyką.

Wymienili z Frankiem spojrzenia i kucnęli, by oczyścić z liści i resztek ziemi wjazd, nie większy niż pokrywa w jezdni. Policzyli do trzech i wspólnie pociągnęli za metalowy uchwyt, lecz kłapa ani drgnęła.

– Cholera, zawiasy pewnie zardzewiały przez te wszystkie lata! – zawołał Frank. – Niech się pani odsunie! – Ujął łopateę i zamachnął się. Z całej siły uderzył w przerdzewiałe zawiasy kantem, aż zaczęły się odrobinę ruszać. – Za długo! To wszystko trwa zbyt długo! – krzyknął i zaczął walić jeszcze mocniej. Odgłos uderzeń metalu o metal ginał porywany przez huk wiatru i deszczu. W końcu Frankowi udało się poluzować jeden z zawiasów na tyle, by wsunąć narzędzie pod płytę. Oparł nogę na łopacie i przycisnął całym ciężarem ciała, unosząc płytę, aż drugi zawias ustąpił z trzaskiem.

Hausmann skuliła się przed lecącymi kawałkami metalu. Frankowi udało się unieść kłapę na nieco ponad pół metra.

– No dalej! – powiedział. – Nie mamy czasu do stracenia! Ja potrzynam płytę tak, żeby pani mogła wejść, a potem się przecisnę i zamknę wjazd!

Sylwia Hausmann zawahała się, walcząc ze strachem. Czy naprawdę mogła ufać Frankowi Burlacherowi?

Ale najważniejsze było odnalezienie Emmy, Lary i Henryka w tej pieprzonej jaskini. Oby nie za późno. Grzbietem dłoni starła deszcz z twarzy i weszła w ciemność.

* * *

Lara wstrzymała oddech, gdy zauważyła ostrze noża. Mężczyzna stał teraz tuż przed nią. Mimo że Lara pogodziła się już z myślą o śmierci, mieszanina irytacji i przerażenia pozbawiła ją tchu. Przerażenia, że osoba, której powierzyła swoje życie, teraz je zakończy.

Mężczyzna odłożył latarkę na kamieniu. Ustawił ją tak, aby światło padało na Larę – jakby chciał dojrzeć strach w jej oczach.

– Ani kroku albo będę strzelać! – rozległo się nagle. Sylwia Hausmann pojawiła się na jednym z wyższych gładów i powoli zaczęła schodzić.

Nadkomisarz do ostatniej chwili miała nadzieję, że się myli. Lecz gdy zobaczyła swojego partnera z nożem, wiedziała, że zbyt długo dała się zwodzić.

– Rzuć nóż i powoli załóż ręce za głowę!

Magnus Kern odwrócił się do niej zdziwiony.

– Sylwia? Co ty wyprawiasz? Jak znalazłaś jaskinię?

– O to samo powinnam zapytać ciebie – odpowiedziała Hausmann i ponowiła groźbę. – Ja nie żartuję, Magnus, natychmiast rzuć nóż albo będę strzelać!

– Sylwia, czyś ty zwariowała? Popełniasz straszny błąd! Właśnie wracałem ze szpitala, gdy otrzymałem wiadomość.

– Bzdury! Henryk pokazał ci jaskinię podczas wazszego wypadu – syknęła Hausmann. – Nie miał pojęcia, że wskazał ci idealną kryjówkę.

– Cholera, co to ma znaczyć? Chciałem je tylko uwolnić!

Hausmann pociekły łzy wściekłości.

– Nie możesz mnie dłużej zwodzić!

Lara wstrzymała oddech, czekając na reakcję Kerna. Odetchnęła z ulgą, gdy w końcu opuścił nóż.

– Na ziemię – krzyknęła Hausmann. – No dalej, Magnus, nie muszę tłumaczyć ci procedury!

Kern niechętnie odłożył nóż na podłogę i nogą kopnął go w jej stronę.

– A teraz ręce do góry, tak żebym mogła je widzieć! – kontynuowała Hausmann. – Tylko nie próbuj sięgnąć po broń służbową! – Nadkomisarz podeszła bliżej z odbezpieczonym pistoletem. – To ty byłeś tym chłopcem, prawda?

Kern podniósł puste dłonie i spojrzał na nią zaskoczony.

– Jakim chłopcem? O czym ty mówisz?

– Ten stary film, obejrzałam go. To ty byłeś chłopcem, który schował się pod kanapą!

Kern znieruchomiał.

– Cholera, Magnus, byłeś moim partnerem! Ufałam ci! Nic dziwnego, że nasze dochodzenie utknęło, obojętnie, jakie ślady mieliśmy...

Lara widziała, jak ręce Hausmann trzęsły się lekko, gdy celowała w partnera.

– Staralam się rozwikłać tę sprawę, ale ty cały czas sabotowałeś nasze dochodzenie – ciągnęła komisarz. – Te wszystkie straszne morderstwa! Nie mogę uwierzyć, że właśnie ty! Wytłumacz mi to, Magnus, jak mogłam się tak bardzo co do ciebie pomylić?

W jego oczach zabłyśły iskierki wściekłości.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz! Całkiem ci już odbiło!

Lecz Hausmann nie dała się zwieść.

– Teraz rozumiem, czemu nigdy nie zamówiłeś akt tego autostopowicza. Jannik Kruse byłby idealnym kozłem ofiarnym. Niestety, Petzold pokrzyżował ci plany...

– Chyba nie wierzysz, że to ja zabiłem te kobiety?

Hausmann ostrożnie zrobiła krok w jego kierunku.

– Mało brakowało, a mielibyśmy kolejną ofiarę. Nie wiem, jak udało ci się odnaleźć Larę Simons, córkę morderczyni twoich rodziców, ale z pewnością miałeś do tego odpowiednie narzędzia...

– Bzdura! Kompletna bzdura! – zaprotestował Kern. – To koniec, Magnus! Zmiana hasła dostępu na nic się nie zdała...

– Hasła? Jakiego hasła!

– Poza mną jesteś jedyną osobą w wydziale posiadającą dostęp do bazy danych Federalnego Urzędu Śledczego. – Pokręciła głową zasmucona. – Za wszelką cenę próbowałeś przeszkodzić mi w znalezieniu danych o zamordowaniu twoich rodziców. Ale pomyliłeś się! Zadzwoiłam wcześniej do starej znajomej z Urzędu, która powiedziała, że twoi rodzice zginęli ponad trzydzieści lat temu. Uzyskała też wgląd w twoje akta. I co się okazało? Za każdym razem, gdy znajdowaliśmy nową ofiarę, to albo byłeś na chorobowym, albo nie miałeś dyżuru!

Wyraz twarzy Kerna zmienił się z wściekłości w zaskoczenie.

Miała go.

– Zwariowałaś? To po prostu przypadek! – syknął. – Opuść swoją pieprzoną broń, zanim się zapomnę!

Lecz komisarz zignorowała go.

– Dlaczego, Magnus? Dlaczego to zrobiłeś? Powiedz mi prawdę!

– Prawdę? Daj spokój, Sylwia, nigdy nie chodziło ci o prawdę! – wypowiedział słowa z sarkastycznym uśmiechem. – Przez lata pracy przy tym dochodzeniu szukałaś winnego, żeby uspokoić swoje sumienie, żebyś mogła lepiej spać po nocach i pogratulować sobie dobrej roboty!

Hausmann stała teraz zaledwie kilka metrów dalej. –

Wielokrotnie zgłaszano mi, że mimo najwyższego stopnia poufności ktoś próbował uzyskać wgląd do akt Lary Simons, żeby dowiedzieć się, gdzie przebywa.

Kern spojrzał na policjantkę z namysłem, tak jakby zastanawiał się nad sposobem uratowania skóry.

– I skąd wiesz, że byłem to akurat ja? Co? Kto to udowodni? Ty?

– Służby specjalne są już w drodze, nie pogarszaj sprawy, Magnus!

Spochmurniał.

– Co za farsa! – krzyknął.

W jednym z korytarzy zabłysło światło kolejnej latarki.

Ta sekunda nieuwagi, w której Hausmann się odwróciła, wystarczyła, by Kern chwycił za broń. Lecz Hausmann szybciej otworzyła ogień. Strzały łomotały niczym pioruny po całej jaskini, lecz żadna kula nie trafiła Kerna. Lara zobaczyła, jak komisarz Hausmann trafiona upadła na ziemię, upuszczając pistolet, który zniknął za występem

skalnym. Z sufitu, w którym tworzyły się coraz większe rysy, sypał się piasek. Lara szarpała więzy. Nagle huknął kolejny strzał.

Ku zdziwieniu wszystkich był to mały Henryk, który pokryty czerwonym pyłem, w podartej koszulce wyłonił się zza występu. W dziecięcych rączkach trzymał broń Hausmann skierowaną prosto na Kerna.

– Cholera, mały, strzelasz do mnie? Myślałem, że jesteśmy kumplami! – zawołał Kern. – Daj spokój i odłóż broń!

– Niech pan zostawi panią Wöhler w spokoju! Niech pan się odsunie! – krzyknął Henryk i strzelił jeszcze kilka razy. Jeden, dwa, trzy strzały, po czym słychać było jedynie klikanie spustu. Magazynek był pusty. Żaden strzał nie trafił nawet w pobliżu Kerna, za to wywołał takie wstrząsy, że zwisające z sufitu stalagmity zakołysały się niebezpiecznie. Henryk upuścił broń przestraszony.

Larze zdawało się, że wszystko wokół niej się trzęsie. Sufit jaskini zaczął pękać.

Olbrzymi głaz spadł na Kerna niczym ostrze gilotyny. Policjant chciał uskoczyć, lecz było za późno. Magnus Kern, a raczej to, co jeszcze z niego zostało, już się nie poruszył.

Henryk stał niczym sparaliżowany, nie mógł odwrócić wzroku od zmasakrowanego ciała.

– Gdzie jest Arne? – spytała Lara ochryple.

– To, to była ta mina – wydukał chłopiec. – Arne jej nie zauważył i oberwał, a teraz nie może wstać!

– O Boże... – wymknęło się Larze.

Coraz więcej kamieni spadało z sufitu. Henryk podbiegł do niej.

– Najpierw Emma! Jest w dole! Pośpiesz się! – krzyknęła.

Chłopiec pośpieszył ku dolnej części jaskini, mijając sterty min. Larze pot wystąpił na czoło, gdy obserwowała, jak dzieciak przedziera się przez wodę do Emmy. Nagle błysnęła kolejna latarka. Lara rozpoznała Franka. On również pokryty był czerwonym pyłem.

W biegu zdjął koszulę, okrył nią Larę i poluzował jej więzy.

– Chodź, szybko! – zawołał Frank, biorąc ją pod ramię, by mogła wstać. Ręce i nogi wciąż miała zdrętwiałe, zbyt długo ciasne więzy odcinały dopływ krwi.

– Boże! – Lara zakryła usta, patrząc, jak Henryk wyciąga nieruchome ciało Emmy z wody.

Ledwo dotarli do dolnej części jaskini. Lara padła na kolana przed ciałem córki i potrząsnęła ją mocno za ramiona.

– Emma... słyszysz mnie? Nie możesz umrzeć, słyszysz! – Kamienie spadały coraz gęściej z sufitu. Emma powoli odzyskiwała przytomność. Lara odetchnęła z ulgą

i przytuliła córkę.

– Wynośmy się stąd, zanim zawali się cała jaskinia! – krzyknął Frank, po czym pomógł kobietom wstać. Ruszył przodem. – Tędy!

– Co z Hausmann? – krzyknęła Lara.

– Widziałem ją. – Potrząsnął głową znacząco. – Chodźcie, nie ma czasu do stracenia!

Lara była obolała, co sprawiało, że miała trudności z dotrzymaniem Frankowi i Henrykowi kroku. Zanim dotarła do na wpół zasypanego wyjścia, przystanąła.

– Arne! Może on jeszcze żyje! Nie możemy go tak po prostu zostawić!

– Za nic w świecie nie pozwolę, żebyś ryzykowała życie dla tego typu! – krzyknął Frank, lecz Lara musiała wrócić. Uwolniła się z uścisku partnera i pobięła z powrotem w głąb jaskini. Nagle przed nią obsunął się olbrzymi głaz, zastawiając drogę. Przestraszona zrobiła kilka kroków w tył. – Szybko! – ponaglił Frank i pośpieszył z dziećmi do wyjścia. – Zanim zostaniemy tu pogrzebani żywcem!

Lara usłyszała wybuchy kolejnych min. Zaraz po tym, jak we czworo dotarli do włazu i przecisnęli się przez wąski otwór, część jaskini zapadła się z łomotem.

Cztery dni później...

Po wydarzeniach w jaskini wieść o tym, że to właśnie zasłużony komisarz był sławnym Wypruwaczem, rozniosła się po kraju niczym pożar.

Szef wydziału zabójstw Grzegorz Russbach w specjalnym oświadczeniu przeprosił rodziny ofiar oraz zapewniał, że kadra jest w równie wielkim szoku jak reszta obywateli. Nigdy nie będzie wiadomo, ile ofiar naprawdę poniosło śmierć z rąk Magnusa Kerna, jako że w mieszkaniu w Berlinie znaleziono jedynie zdjęcia tych, których dotyczyło śledztwo.

Sylwia Hausmann o włos również dołączyłaby do zabitych, lecz dzięki kuloodpornej kamizelce została postrzelona jedynie w ramię i odzyskawszy przytomność, w ostatniej chwili dotarła do częściowo zawalonego szybu, skąd wyciągnęły ją jednostki specjalne.

Lara dzień i noc siedziała przy łóżku szpitalnym córki, która trafiła na oddział mocno wychłodzona i z ciężkim zakażeniem krwi. Kobieta zastanawiała się czasem, jak można przetrwać tyle okropności co Emma przez minione lata i wytrzymać.

Lecz córka okazała się twarda. Nie dość, że szybko stanęła z powrotem na nogi, to jeszcze zaczęła mówić.

Całkiem jakby w zawałonej jaskini pogrzebała straszne wspomnienia.

I chociaż nikt naprawdę nie wiedział, co dzieje się w duszy nieśmiałej dziewczyny, to zdawało się, że otrzymała od życia drugą szansę.

Torben Landsberg również miał szczęście. Po tym jak spadł na kamienie nieopodal latarni morskiej, lekarze na oddziale ratunkowym desperacko walczyli o jego życie, które przez wiele dni wisiało na włosku. Mimo że wciąż jeszcze nie odzyskał przytomności, jego stan ustabilizował się na tyle, by można było przetransportować go do szpitala w Berlinie.

Lara wciąż nie rozumiała, dlaczego przyjaciel w ogóle pojechał do latarni morskiej. Ale przynajmniej ordynator oddziału ratunkowego berlińskiego szpitala, dobry przyjaciel Torbena, zapewnił, że już niebawem ranny wyzdrowieje.

Tego ranka, gdy Emmę w końcu wypisano ze szpitala, majowe niebo było jasne i błękitne. Sztorm minął i jedynie kilka poprzewracanych drzew przypominało o niepogodzie sprzed kilku dni.

Lara siedziała na łóżku ze spakowaną torbą podróżną. Obok niej siedziała Emma. Splotła jasne włosy w luźny warkocz i włożyła koszulkę Tokio Hotel, którą dostała w prezencie od Henryka.

Czekały na Franka, który odwiedzał je, kiedy tylko mógł, i właśnie z uśmiechem wkroczył do pokoju. Frank ściał włosy i miał na sobie drogo wyglądający garnitur, w którym Lara jeszcze nigdy go nie widziała.

– Witajcie, księżniczki! – Uściskał w pierw Emmę, potem Larę.

– Gdzie jest Henryk? – spytała Lara.

– U rodziców. Wrócili z urlopu. – Frank podniósł kubek z półki i podał go Emmie. – Proszę, wypij to do końca, wiesz przecież, co powiedział pan doktor.

Emma skrzywiła się niechętnie.

– Co powiesz na zamianę? – spytał Frank, ku zdziwieniu Emmy wyciągając z kieszeni nowiutkiego iPoda.

– Łał, super! – szepnęła dziewczynka.

Lara spojrzała na Franka. Wciąż jeszcze nie przywykła, że słyszy głos córki.

Ucieszyła się, gdy Emma rzuciła mu się na szyję. Jak pięknie było widzieć córkę szczęśliwą po tak długim czasie. Poza tym Emma chyba wreszcie zaakceptowała Franka jako nowego partnera matki.

– Frank, jest tyle rzeczy, które muszę ci opowiedzieć, że sama nie wiem, od czego zacząć. – Lara ujęła go za rękę, gdy we trójkę opuszczali szpital. Ulga, że nareszcie może przełamać milczenie, była nie do opisania. Kiedy wsiedli do windy, Frank uśmiechnął się tajemniczo.

– Ja też chciałbym ci coś opowiedzieć.

Lara uśmiechnęła się do niego pytająco, powstrzymując kichnięcie, gdy dotarli na parking.

– No już, nie trzymaj mnie w napięciu!

Lecz Frank uśmiechał się jedynie, aż dotarli do samochodu. Z bagażnika wyjął czarną torbę podróżną i podał Larze.

– Otwórz ją.

Lara rozpięła zamek i uśmiech zamarł jej na ustach.

– Łał, tyle kasy! – zdziwiła się Emma na widok stosu banknotów.

– Skąd to wszystko masz? – spytała Lara. – Tylko nie mów, że twoja matka była...

Frank pokręcił przecząco głową, nim dokończyła zdanie.

– Spadek wystarczył zaledwie, żeby pokryć kredyt hipoteczny na pensjonat. – Odłożył torbę do bagażnika. – Nie miałem pojęcia, co tu się działo w tym czasie... I tak, wiem, dałem słowo, że nigdy więcej nie usiądę przy stoliku pokerowym, ale wierz mi, to był naprawdę ostatni raz, kochanie! – Podniósł rękę jakby do przysięgi.

– Przepraszam – westchnęła Lara, przypominając sobie wszystko, o co go posądzała.

– Co? Czemu mnie przepraszasz? – spytał.

– Ach, nieważne, zapomnijmy o przeszłości – za-

śmiała się. – Wygląda na to, że miałeś naprawdę dobry dzień.

Uśmiechnął się.

– W końcu ktoś musi zapłacić za twoją nową kawiarnię.

– Moją kawiarnię?

– Dokładnie, i to w Berlinie! Rugia przynosiła nam tylko pecha. Pomyślałem, że możemy spróbować szczęścia w Berlinie. Zaczniemy od początku.

Lara uniosła brwi ze zdziwienia.

– Ja... nie rozumiem, skąd wiesz, że wcześniej miałam kawiarnię?

Frank uśmiechnął się jedynie i objął Emmę ramieniem. W oczach dziewczynki zapłonął zachwyt na samą myśl o powrocie.

– Ha, zdziwione, co? Widać nie jestem całkiem taki tępy, jak żeście myślały.

I wygląda na to, że nie był też tak przewidywalny, jak Lara sądziła. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

Frank otworzył im drzwi.

– No ale najpierw proszę wsiadać, moje drogie panie!

Emma usiadła z tyłu, Lara natomiast zajęła miejsce obok kierowcy. Wciąż brakowało jej słów.

Podczas gdy szpital powoli nikał w oddali, a Emma

wyczerpana po wysiłku ostatnich dni zmrużyła oczy, Lara zauważyła, że nie jadą drogą do pensjonatu. I chyba domyślała się, dokąd Frank zmierzał.

– Chyba nie chcesz od razu teraz jechać do Berlina?

Uśmiechnął się ponownie.

– Frank, to naprawdę kochane... i doceniam to, ale... zawróćmy, proszę. – Popatrzyła na śpiącą córkę. – Pojedziemy w przyszłym tygodniu, to za wiele dla Emmy... Jest zbyt wyczerpana, ja też. Po tym wszystkim, co się stało, potrzebuję trochę spokoju, żeby pozbierać myśli. – Znowu zachciało jej się kichnąć.

Ledwo wyjechali z Bergen, Frank pogrzebał w kieszonce marynarki i ku zaskoczeniu Lary wyjął pogniecioną paczkę marlboro wraz ze złotą zapalniczką, po czym bez słowa zapalił papierosa.

– Myślałam, że nienawidzisz palenia? – Lara kichnęła. Gdy otworzyła schowek w poszukiwaniu chusteczek higienicznych, poczuła się nieswojo.

Nie wiedziała, co najpierw wzbudziło jej czujność: to, że droga, którą jechali, nie prowadziła ani do pensjonatu, ani do Berlina, czy to, że złoty łańcuszek z zawieszką w kształcie serca leżący w schowku należał do jej matki. Zrobiło jej się niedobrze.

Gdy zastanawiała się, w jaki sposób Frank wszedł w posiadanie łańcuszka, wszystko zaczęło mieć sens. Wszystkie te niewyjaśnione pytania, na które daremnie

szukała odpowiedzi, siedząc w szpitalu.

Na przykład dlaczego Magnus Kern tak gorliwie wypierał się wszystkiego w jaskini, nawet wtedy, gdy przyznanie się nic by nie zmieniło. Albo dlaczego nie mogła dodzwonić się do Franka w Danii.

On już wtedy od dawna był tutaj.

I nagle pojęła, że w czerwonej jaskini ledwo uszła z życiem, lecz koszmar tak naprawdę dopiero się rozpoczynał.

– Ty... ty nas zabijesz, prawda? – szepnęła Lara, unosząc na Franka szeroko otwarte oczy.

Frank Burlacher zaciągnął się głęboko papierosem. Skinął krótko głową i to wystarczyło za odpowiedź.

Lara w panice odwróciła się do Emmy. Córka spała na tylnym siedzeniu. Frank zaśmiał się złośliwie.

– Proszek, który dosypałem jej do herbaty, powinien działać jeszcze przez jakiś czas. Ale nie martw się, nic nie przegapi. Będzie się przyglądać, jak jej matka umiera – zapewnił lodowatym tonem.

Lara popatrzyła na mężczyznę, w którym się zakochała i z którym jeszcze parę dni temu chciała spędzić resztę swojego życia.

– Ale... ten mężczyzna w taksówce... – wydusiła, próbując ukryć drżenie głosu. – Było ciemno, ale...

– Uznam to za komplement – odpowiedział Frank,

zjeżdżając na szybszy pas ruchu.

Brakowało jej słów. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Chciała obudzić się z tego koszmarnego snu. Teraz. Natychmiast! Lecz nie budziła się. Nigdy się nie obudzi.

Szarpnęła za drzwi, ale samochód przyśpieszył. Frank skręcił w mało uczęszczaną drogę prowadzącą na wybrzeże.

– W gruncie rzeczy to twoja wina, że te wszystkie kobiety musiały umrzeć. Twoja i twojej pieprzonej matki – oznajmił Frank, upewniając się, że nikt za nimi nie jedzie. Droga była pusta. – Gdybym zdażył, mógłbym zabić ją własnymi rękoma i w ten sposób pomścić śmierć moich rodziców. Ale nie, ta dziwka musiała kopnąć w kalendarz, zanim ją znalazłem! Gdy dowiedziałem się, że miała córkę, znalazłem nowy cel. CIEBIE! – Popiół dopalonego papierosa spadł na nowe spodnie, gdy Frank odwrócił się do Lary z szerokim uśmiechem. – I tylko dlatego, że wtedy mi uciekłaś z taksówki, musiały ginąć kolejne kobiety. Tak długo, aż w końcu cię wytropiłem.

Lara skupiła się. Pewność siebie i triumf, jakie brzmiały w głosie Franka, mroziły jej krew w żyłach.

Łzy popłynęły jej z oczu.

– Jak mnie znalazłeś?

– Pieniądze rządzą światem. Trochę mnie to kosztowało, musiałem przekupić panów z programu ochrony

świadków. Spłukałem się do suchej nitki, żeby dorwać twoje akta. Dobry dzień przy stole pokerowym uratował mi wtedy skórę. – Na jego twarz powrócił uśmiech, którego Lara nie znała. – Poza tym zgarnąłem trochę kasy od zmarłej Burlacherowej. – Zgasił papierosa i zaśmiał się z satysfakcją. – W sumie komu miałby się przydać ten spadek? Z pewnością nie Florianowi Burlacherowi.

Nie rozumiała, o czym mówi.

– Florian był jedynym synem starej Burlacherowej – kontynuował Frank, spuszczać odrobinę szybę. – Szkoda, że zginął tragicznie...

A więc to, że jego brat zostawił pensjonat, też było kłamstwem.

– Zabiłeś go – szepnęła Lara, patrząc na Franka, jakby był kimś zupełnie obcym.

– Po tym jak odkryłem twoje nowe nazwisko i adres, musiałem wykonać jeszcze kilka telefonów, żeby dowiedzieć się, w jakich pensjonatach pracowałaś...

– Żeby złożyć mi ofertę, której nie będę w stanie odrzucić – wywnioskowała Lara. – W pensjonacie „Burlacher Hof”. Przejąłeś go jako brat, który pojawił się znikąd, żeby ratować sytuację.

– Przyjąłem cię z otwartymi ramionami i każdego dnia odgrywałem miłego, układnego właściciela – przyznał. – Oczywiście były plotki w Lohme. Z początku nikt nie chciał wierzyć, że Florian Burlacher tak po prostu rzucił

wszystko w diabły. – Machnął ręką. – Ale wiesz, jacy są ludzie, przyzwyczajają się i jak tylko pojawi się nowa plotka, stara idzie w niepamięć. Po jakimś czasie nikt już nie wątpił w moją historyjkę. A stara Burlacherowa przez demencję nie mogła już odróżnić salowej od pielęgniarza, a tym bardziej prawdziwego syna od fałszywego.

Którego zdążyłeś zamordować. Lara zacisnęła dłonie na fotelu.

– Torbena też chciałeś sprzątnąć, prawda? To ty. Zrzuciłeś go z latarni!

Frank wzruszył ramionami.

Ta ciota zbyt głęboko wsadzała nos w nie swoje sprawy! Z początku wydawało mi się, że dobrym pomysłem będzie zwrócić podejrzenia na niego, wystarczyło podrzucić mu kilka dowodów, takich jak kominiarka i inne drobiazgi...

– Nie wierzę, chciałeś w to wrobić Torbena?

– Niestety, te pieprzone gliny za cholere nie wpadły na pomysł, żeby zajrzeć do busa. Z czasem twój przyjaciel zaczął węszyć za bardzo, więc musiałem się go pozbyć. Było mi na rękę, gdy zobaczyłem go z rana na klifie. Jechał rowerem, wypytując wszystkich po drodze, czy nie wiedzą czegoś o Emmie. Miałem cholernego farta, że mnie nie rozpoznał. Powiedziałem mu, że w starej latarni widziałem jakąś dziewczynę – wyznał Frank z dumą. – Torben łyknął przynętę, a ja miałem farta.

– Mylisz się! – wybuchła Lara. – Torben przeżył. To jedynie kwestia czasu, zanim się obudzi, a wtedy cię zidentyfikuje i będziesz skończony!

Frank zaśmiał się tylko i przyśpieszył tak, że pędzili teraz po wąskiej, dziurawej drodze z zabójczą prędkością.

– I co z tego? Nic mi nie udowodni! To był wypadek. Moje słowo przeciwko jego!

Lara nie wiedziała, co powiedzieć. Zerknęła na Emmę, która spała głęboko na tylnym siedzeniu. Zmusiła się do zachowania zimnej krwi i oddychania głęboko świeżym morskim powietrzem.

– A Linz? – spytała.

Frank zaśmiał się głośno i zamknął okno.

– Nie, ta nie idzie na moje konto. Muszę przyznać, że to po prostu pech. Stary Linz akurat wtedy wpadł na pomysł, żeby zajebać swoją starą. Przez to ściągnął mi do domu policję. Po śmierci starej doszedłem do wniosku, że lepiej się jeszcze przez kilka dni nie pokazywać.

Każdy jego krok był dokładnie zaplanowany – pomyślała Lara. Tylko jednego nie mogła zrozumieć:

– A ten romans z Linz? Dlaczego Arne mi powiedział, że zakończyliście go na długo przed moim przyjazdem, skoro chodziło o twojego rzekomego brata?

Frank roześmiał się nagle głośno.

– Czy ty naprawdę jesteś taka naiwna, Lara?

Po raz pierwszy zwrócił się do niej prawdziwym imieniem.

– Te listy Linz pisała do Floriana Burlachera, a nie do mnie! Arne kłamał, kiedy tylko otwierał gębę!

– Arne?

– Mieliśmy układ...

– Ty i Arne?! – Lara rozdziawiła usta.

– Przyznaję, ta historia z kuzynem z Berlina nie była jego najlepszym pomysłem, ale uwierzyłaś, a to wystarczyło. Coś musiałem wymyślić, a poza tym ten idiota przyjechał o wiele za wcześnie.

Lara nic nie rozumiała.

– Arne i ja, dzięki Bogu, nie jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Byliśmy sąsiadami i tyle. Wynająłem w Berlinie loft w dzielnicy przemysłowej, a Arne miał swoje studio zaraz po przeciwnej stronie podwórza – wyjaśnił Frank, czy jakkolwiek się nazywał mężczyzna siedzący obok Lary w samochodzie. – Rysował tam akty nieletnich dziewczyn, niewiele starszych niż Emma, a potem gapił się na nie i walił konia. Czasami bawił się też w fotografa, obiecywał im, że zrobią karierę, jak tylko rozłożą nogi. Był jednym z tych biedaków i chyba dlatego myślałem, że jest niegroźny...

Lara się napięła.

Zmusiła się, by patrzeć na morze. Nie chciała, aby

Frank wyczytał strach w jej oczach. Dla kogoś postronnego musieli wyglądać jak szczęśliwa mała rodzinka podczas wypadu nad morze.

– Niestety, nie doceniłem go – przyznał Frank. – Temu dupkowi udało się sfotografować tym swoim cholernym teleobiektywem mnie i to, co robiłem. A nikt nie powinien był tego widzieć. Chciałem własnoręcznie skrócić mu kark, więc poszedłem, ale Arne się mnie spodziewał. Wychodziłem z założenia, że porobił kopie filmów, więc spytałem, ile będzie mnie kosztować jego milczenie. Ale on nie chciał pieniędzy, chciał się przyglądać.

– PRZYGLĄDAĆ?

– Jak zabijam kobiety – odpowiedział sucho Frank.

Lara czuła, jak ściskają jej się wnętrzności.

– No co? – wrzasnął. – Powinnaś się cieszyć, że nie żyje! Mówię ci, ten typ był naprawdę chory!

– Obaj jesteście chorzy!

– Ach tak? – Mężczyzna złapał Larę za włosy i uderzył jej głową o deskę rozdzielczą.

Silny ból rozlał się Larze po czaszce i o mały włos nie straciła przytomności. Z pękniętej wargi i rozbitego, może złamanego nosa zaczęła sączyć się krew. Nie miało to już żadnego znaczenia.

– Z czasem znudziły mu się małe dziewczynki, zaczął szukać czegoś, co dałoby mu nowego kopa – ciągnął Frank

jak gdyby nigdy nic. – Cały czas próbowałem mu wytłumaczyć, że nie zabijam dla przyjemności, tylko dlatego, że te kobiety na to zasługują. Ale nic z tego. Nie chciał zrozumieć. Ty miałaś być ostatnią ofiarą. Potem miał zniszczyć wszystkie kopie...

Krew kapiała na jej jasną tunikę, farbując beżową tkaninę na czerwono. Lara podniosła zamglony wzrok na Franka.

– A co z Emmą? Dlaczego od razu mnie nie porwałś, tylko najpierw złapałeś ją?

– Emma była idealną przynętą. Wiedziałem, że zrobisz wszystko, żeby ją odnaleźć. I dzięki temu mogłem zaciągnąć cię w pułapkę. Jaskinia była do tego idealna. Tam miałbym nieskończenie dużo czasu, żeby zająć się tobą porządnie.

Wskazówka prędkościomierza wspinała się coraz wyżej. Z nieprawdopodobną prędkością mijali znaki drogowe i pojedyncze drzewa. Lara wyglądała przez okno w poszukiwaniu ratunku, lecz tu, poza miastem, nie było niczego prócz gołych kamieni, krętej drogi i morza.

– Niestety, Arne wszystko spieprzył – powiedział Frank. – Ten pieprzony amator musiał jakoś zdobyć moją mapę z oznaczoną drogą do jaskini. Nie wytrzymał i musiał tam pójść przed wielkim finałem, widać wyobrażenie związanej nastolatki nie dawało mu spokoju! – Zdenerwowany pokręcił głową. – Wolę sobie nie wyob-

rażać, co by było, gdyby Emma go wtedy rozpoznała.

Lara wzdrygnęła się.

– Ale teraz masz to, co chciałeś! Wypuść Emmę! – błagała w desperacji, a łzy mieszały się z krwią na jej tunice.

* * *

Larze zdawało się, że temperatura w samochodzie wzrasta z każdym przebytym kilometrem.

– Emma śpi, nie ma pojęcia, co tu się dzieje. Na Boga, przecież to jeszcze dziecko!

Lecz Frank nie słuchał.

Lara nie mogła dłużej znieść jego widoku. Odwróciła się do okna, panicznie poszukując drogi ucieczki. Nagłe przypomniał jej się paralizator. Przy odrobinie szczęścia leżał nadal pod siedzeniem pasażera.

Podczas gdy Frank wciąż patrzył na jezdnię, Lara zsunęła się nieco i prawą ręką próbowała sięgnąć pod siedzenie.

Frank uderzył nagle pięścią w kierownicę i podjął swoją opowieść:

– Niestety, Henryk jakiś czas temu poszedł za mną do jaskini... Dobrze, że go zauważyłem, zanim zorientował się, co tam przygotowuję. Kazałem mu obiecać, że nikomu

nie powie.

– Ale skąd wiedziałeś o istnieniu tej jaskini? – spytała Lara. Próbowała odwrócić uwagę Franka, podczas gdy sięgała coraz niżej w poszukiwaniu paralizatora.

No dalej, przecież musi gdzieś tu leżeć!

– Stary Burlacher był grubą rybą wśród nazistów i wygląda na to, że uczestniczył w jej wyburzaniu. Na strychu znalazłem stare plany, które mnie do niej doprowadziły. – Frank zerknął na Larę. – Na końcu Hausmann przyłapała mnie w drodze do jaskini, więc musiałem udawać wybawcę.

Wybawcę.

– Za żadne skarby nie chciałem ryzykować, że pogrzebią cię kamienie! – Frank uśmiechnął się ponuro.

Przez ułamek sekundy zdawało się Larze, że wyczuwa w jego słowach nutkę współczucia, lecz myliła się.

– Masz zginąć od mojego ostrza, i na moich zasadach! Wystarczy, że twoja matka mi się wymknie.

Zginąć od mojego ostrza.

Nie miała pojęcia, dokąd zmierzali i szczerze mówiąc, wolała nie wiedzieć. Wyobrażanie sobie tego, co czekają i Emmę na końcu drogi, mroziło Larze krew w żyłach.

Wskaźówka prędkościomierza wychyliła się maksymalnie.

– Ale w takim razie skąd Kern wziął twój nóż rzeź-

nicki?

Musiała wiedzieć.

Frank oblizał usta.

– A kto mówi, że to był nóż rzeźnicki? W jaskini nie było specjalnie jasno.

Pędzili coraz bliżej urwiska, za którym rozciągała się pustka. Lara wciąż ręką szukała paralizatora. *Nie ma go!*

Straciła ostatnią szansę ratunku. Ostatnią szansę uniknięcia nieuchronnego losu.

Zapadła się głębiej w siedzenie.

– Dlaczego dopiero teraz? – spytała, by zyskać na czasie. – Mogłeś mnie już o wiele wcześniej...

– Zabić? – dokończył Frank. – Wierz mi, że chciałem to zrobić. Dniem i nocą nie myślałem o niczym innym. Czy masz pojęcie, ile wysiłku kosztował mnie związek z osobą, której nienawidzę najbardziej na świecie? – Rękawem marynarki wytarł usta i wzdrygnął się. – Niedobrze mi się robiło, gdy widziałem cię naga... gdy musiałem cię dotykać... Czułem do ciebie czystą nienawiść. Jedyne, co pomagało mi wytrwać, to myśl o dniu, w którym cię zabiję. Oczywiście, że mogłem cię zabić wcześniej, ale to nie byłoby to samo. Po pierwsze dwudziesty siódmy maja to rocznica śmierci moich rodziców, a poza tym musiałem dotrzymać umowy z Arne.

– Naprawdę myślałeś, że odda ci wszystkie kopie? –

Na zakrwawionej twarzy Lary wykwitł szyderczy uśmiech.
– Nie ma szans! Arne na pewno tego nie zrobił!

– Nie pierdol, dopiero co dowiedziałas się o ich istnieniu, co ty o tym wiesz!

– Na własne oczy widziałam, jak siedział z laptopem i wypalał jedną płytkę za drugą. – Wyjrzała za okno. – Ale to były na pewno całkiem inne ważne dane...

– Zamknij ryj, dziwko! – Kropelki potu wystąpiły mu na czoło, a twarz poczerwieniała. – Blefujesz!

– Dwa razy wybrał się do sklepu po czyste płytki – skłamała Lara, widząc, że Frank się spina. – Całkiem przypadkowo wiem, gdzie je schował...

Jeśli uda jej się go oszukać, to może Frank zawróci po obciążające go dowody. Gra na czas wydawała się Larze jedynym sensownym rozwiązaniem w obecnej sytuacji. Przynajmniej dopóki nie wymyśli lepszego planu.

– Zamknij ryj, powiedziałem! – Frank zamachał jej przed twarzą nożem. W jego oczach pojawił się morderczy błysk. – Zabiję cię, Laro Simons...

– Nie, nie zrobisz tego! – zabrzmiało nagle z tyłu.

Emma wstała z tylnego siedzenia i chwyciwszy paralizator, który wysunął się spod fotela matki, z piskliwym krzykiem wbiła urządzenie w kark Franka.

– Wcale nie wypiałam twojej głupiej herbatki!

Napięcie rzędu tysiąca woltów wstrząsnęło mężczy-

zną. Stracił panowanie nad pojazdem, w kabinie zaczęło cuchnąć spalonym mięsem. Frank opadł na kierownicę. Rozległo się długie trąbienie, a stary saab skręcił ostro na prawo.

– Urwisko! – krzyknęła Emma, widząc, że wóz zmierza wprost na krawędź klifu. Wspólnymi siłami spróbowały ściągnąć ciało z kierownicy, by odzyskać panowanie nad samochodem. Na nieszczęście noga Franka zaklinowała się pod pedałem – saab wciąż przyśpieszał.

– Trzymaj się! – krzyknęła Lara i zaciągnęła ręczny.

Koła zablokowały się i samochód zaczął hamować. Lara uderzyła głową o boczną szybę. Koła wzbily chmurę kurzu, gdy samochód z piskiem opon skręcił tuż nad urwiskiem. Po trzech czwartych obrotu zatrzymał się na skraju przepaści. Przednie koła zawisły nad klifem i saab zakołysał się niebezpiecznie.

Zapanowała przeraźliwa cisza.

Lara odwróciła się do córki.

– Wszystko OK?

Emma przytaknęła niepewnie, nie waząc się nawet oddychać. Nagle rozległo się szuranie, które nie zapowiadało nic dobrego.

– Szybko! Musimy się stąd wydostać! – krzyknęła Lara. Samochód wychylił się niebezpiecznie. Lara wdrapła się na tylne siedzenie, po czym za Emmą wyczołgała się z kabiny.

Gdy dotknęły stopami ziemi, Lara wytarła krew z twarzy i przytuliła córkę.

Następnie trzęsącymi palcami wybrała numer ratunkowy na komórce.

– Pomocy! Nasz samochód zaraz spadnie z klifu! – wykrzyknęła, zapominając podać swoje imię. – Tak, znaczy nie, zdaje mi się, że jesteśmy gdzieś na wybrzeżu na odcinku B-96 – wyjaśniła, odpowiadając na pytania operatora po drugiej stronie słuchawki. Nagle wstrzymała oddech, widząc na horyzoncie nadlatujący helikopter.

Obie zaczęły machać. Maszyna zeszła do lądowania niecałe trzydzieści metrów za nimi. Ze środka wysiadła Sylwia Hausmann.

Jej płaszcz łopotał w podmuchu z obracających się śmigieł.

– Mój Boże! Jesteście całe? – spytała. Na jej twarzy malowała się niewypowiedziana ulga.

Lara przytaknęła pośpiesznie.

– Frank wciąż jest w samochodzie!

Komisarz podeszła do saaba z wyciągniętą bronią, lecz mężczyzna pozostał nieruchomy, bezwładnie wsparty na kierownicy.

– Mamo, torba! – pisnęła Emma cicho.

Lara odwróciła się do córki i spojrzała jej głęboko w oczy.

– Poczekaj tu! – nakazała i podbiegła z powrotem do samochodu. Hausmann zbliżyła się ostrożnie do Franka, a Lara otwierała bagażnik. Gdy tylko chwyciła czarną torbę podróżną z pieniędzmi, samochód osunął się z hukiem w dół skarpy.

– Odsunąć się! – krzyknęła Hausmann.

Lara uskoczyła. Z przerażeniem obserwowała, jak samochód spada w przepaść.

Emma podbiegła do niej i obie patrzyły, jak saab powoli tonie w morzu.

– Jak nas pani znalazła? – spytała Lara. Hausmann właśnie skończyła referować straży przybrzeżnej sytuację.

– Właśnie dotarłam do Berlina i chciałam obejrzeć do końca ten film, zanim odłożę sprawę do akt. I nagle nie mogłam uwierzyć własnym oczom, gdy pani matka przesunęła się i dostrzegłam twarz chłopca. – Złapała się za głowę oszołomiona. – Jeszcze przed końcem taśmy zrozumiałam, jak bardzo się pomyliłam. Zrozumiałam, że ten chłopiec to nie był mój partner, tylko Frank Burlacher – odchrząknęła i ciągnęła dalej: – Dzięki pani komórce nie było problemu ze zlokalizowaniem pani i Emmy. Nie do pomyślenia, co by się stało, gdyby wszystko potoczyło się inaczej... – Pokręciła głową. – Może teraz wezmę urlop...

Lara przytaknęła i mocno przytuliła córkę.

– Ta torba, co jest w środku? – spytała Hausmann.

Po chwili wahania Lara otworzyła zamek i pozwoliła

jej zajrzeć.

Komisarz wstrzymała oddech, zastanawiając się, co powiedzieć.

Podczas gdy Lara próbowała wymyślić wymówkę, by zatrzymać pieniądze, nadkomisarz zapytała poważnie:

– Co pani zamierza z tym zrobić?

– Ja... hmm, jeszcze nie wiem – Larze głos się łamał. – Frank, on... mówił, że wygrał to w pokera, i... pomyślałam, że... że może spróbuję jeszcze raz otworzyć kawiarnię...

Hausmann spojrzała na nią poważnie. Obejrzała się na pilota i uśmiechnęła konspiracyjnie.

– Skoro tak, to chyba lepiej będzie, jak nie wspomnę o tej torbie w raporcie...

Lara uśmiechnęła się, ujęła córkę za rękę i nie mówiąc ani słowa więcej, podążyła za policjantką w stronę helikoptera.

Nieważne, co pocznie z tymi pieniędzmi i dokąd zaprowadzi ją dalsza droga, życie nareszcie należało do Lary i nikt nie zdoła go jej ponownie odebrać.

PODZIĘKOWANIA

Co skłania człowieka do morderstwa? Z tego pytania wyłoniła się koncepcja mojego drugiego thrillera „Om .

Kiedy spojrzysz się na listę osób zaginionych znajdującą się na stronie policji, nie widać wśród nich prostytutek czy handlarzy narkotyków, tylko ludzi jak ja i ty. Czy to studentka, pani domu, emerytka czy chłopiec z sąsiedztwa – kategorie, w które może wpasować się każdy z nas. Dlaczego więc jesteśmy tacy pewni, że nigdy nie staniemy się częścią tej mrocznej statystyki?

Co więcej, zastanawiała mnie kwestia, co dzieje się, gdy z dnia na dzień zmienia się całe nasze życie? Jeśli nie ma powrotu? Gdy zostaje się wyrwanym z własnego małego świata i trzeba nagle zniknąć z powierzchni ziemi? Każdego roku wiele osób na terenie Niemiec trafia do programu ochrony świadków ze względu na bezpieczeństwo własne lub rodziny.

Z nową tożsamością rozpoczyna się nowe życie, a stare odchodzi w niepamięć. Życie, na które nie mamy wpływu i którego nie można dobrać wedle własnego upodobania. To wyprawa w nieznane bez biletu powrotnego. Lecz kto gwarantuje nam, że nasza nowa osobowość pozostanie tajna? Do dziś słabo znamy zasady działania programu ochrony świadków, ponieważ Federalny Urząd Śledczy ze względów bezpieczeństwa nie podaje żadnych

konkretów. Chciałabym podziękować ekipie doradczej z policji w Berlinie za pomoc przy wszystkich kwestiach kryminalistycznych.

Przede wszystkim chciałam jednak podziękować moim czytelnikom, dzięki którym mój pierwszy thriller „Die Spur der Kinder” znalazł się na liście bestsellerów.

Poza tym dziękuję mojej redaktorce za fantastyczną pracę nad tekstem oraz niezwykle cenne sugestie, dzięki którym moja powieść z pewnością wiele zyskała. Chcę również gorąco podziękować mojej agentce, która tak zaciekle dla mnie walczyła. Dziękuję również działowi marketingu, który dbał o to, by jeden lub dwóch czytelników kupił moją książkę. A także wszystkim, których zapomniałam tu wymienić, choć pracowali przy jej współtworzeniu.

Wyrazy wdzięczności należą się Lene Christian i przede wszystkim Katharinie, której wysyłam moje manuskrypty aż do Tel Avivu, a ona czyta, nawet gdy siedzi po kolana w bagnie i zupełnie nie ma czasu. Nigdy nie byłam dobra w dotrzymywaniu terminów.

No i najlepsze na koniec: Dziękuję Aleksowi, który mimo chaosu powstającego (nie wiem jak) wokół mnie podczas tworzenia powieści ciągle jest przy mnie. Dziękuję, że w każdej chwili mogę wpaść do Twojej pracowni i nękać Cię pytaniami. (Stwierdzenie: „Przy następnej książce będzie inaczej” nie odnosi już wielkiego skutku). Dziękuję!